

Data wypoż.	Nr. czyteln.	Data zwrotu	Data wypoż.	Nr. czyteln.	Data zwrotu
-------------	--------------	-------------	-------------	--------------	-------------

BIBLIOTEKA i MUZEUM Z.N.P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

10 PROŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

- I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!
- II. Nie dotykaj mnie brudnymi rękami.
- III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
- IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
- V. Nie mniż kartek i nie zaginaj rogów.
- VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
- VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
- VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!
- IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
- X. Nie wrywaj i nie niszczyć obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Biblioteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych prośb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA,

DP

C. 704

IA

PRELUDYÅ

FERDYNAND HOESICK



PRELUDYA

MONTE CARLO – W MONTMORENCY – ŚMIERĆ
JULIUSZA DE GONCOURT – Z WRAŻEŃ PARY-
SKICH – PRZED OBIĄDEM



WARSZAWA
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA
1904

WYDAWCA

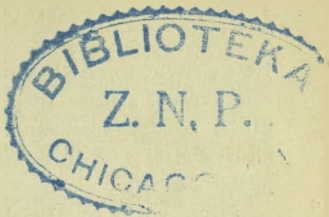
PRELUDY

WYDAWCA



Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

MONTE CARLO



I.

Przez cały czas *table d'hôte*'u sąsiadka Henryka de la Valière, piękna baronowa Nelly van Newstraten, znana w całej Nizzy, jako królowa ostatniej *bataille des fleurs*, siedziała jak na rozżarzonych węglach. Dość było spojrzeć na nią, na jej owalną główkę blondynki, uczesaną jak «Śpiąca Wenus» Giorgione'a, na jej habrowo-fiołkowe oczy, wyglądające z pod ciemnych brwi i rzęs, a w tej chwili błyszczące gorączkowo, aby zgadnąć odrazu, że spieszyła się czegoś, że ledwo mogła usiedzieć spokojnie. Widocznie liczyła minuty, ażeby jak najprędzej wstać od stołu, a nie zważała wcale, że przeszło 60 osób, siedzących przy tem hotelowem *diner*, najczęściej spoglądało ku niej: mężczyźni z wyrazem nietajonego zachwytu, kobiety zaś z tem zainteresowaniem, z jakim się zwykły przypatrywać każdej kobiecie pięknej, z którą się nie mogą mierzyć pod względem urody. Baronowa, wachlu-

jąc się ciągle, co czyniła nerwowo raczej, niż z gorąca, czuła te natrętne spojrzenia, a ponieważ wiedziała, że dziś budzi większe zaciekawienie, niż kiedykolwiek, więc ją to drażniło i denerwowało jeszcze bardziej.

Jakoż, gdyby to zależało od niej wyłącznie, wcaleby nie była zasladała do dzisiejszego obiadu: raz dla najzupełniejszego braku apetytu, a powtórę, że miała swą śliczną główkę nabitą czem innem, nie obiadem.

Tymczasem irytowało ją wszystko, począwszy od garsonów, którzy dzisiaj — jak się jej zdawało — usługiwali nieudolniej, niż zwykle, a skończywszy na Henryku, który, siedząc obok niej, siedział tak spokojnie, jakby nie wiedział, co się z nią działo w tej chwili: zachowywał się poprawnie, jak przystało na człowieka wykwinionych manier, bawił ją rozmową, dolewał wina, wymawiał, że nic nie je, etc. etc. Nie mogła mu darować tej zimnej krwi, bo choć wiedziała, że jest to komedia, to jednak grał ją w jej przekonaniu za dobrze.

Ostatecznie — myślała sobie — po co się maskować?! Przecież i tak wiedzieli wszyscy, że przed dwiema godzinami wróciła z Monte Carlo, przegrawszy blisko 10.000 franków (to jest wszystko prawie, co jej przed kilku dniami zostawił mąż, kiedy, powołany nagłymi interesami, musiał wrócić

do Paryża). Po co więc, w jakim celu, tać się z tem, o czem wiedzieli wszyscy w całym domu? Wszak widzieli ją, jak zapłakana wróciła do hotelu...

Tak było w istocie. Nie upłynęło pół godziny, a już cały hotel wiedział o tej fatalnej przegranej, nie tylko goście, ale i służba. W godzinę później wiedział już o tem nawet chłopiec od windy.

Od niego dowiedział się Henryk, kiedy powrócił do hotelu, co spotkało baronową. Od niego dowiedział się również, że baronowa, wypłakawszy się w *Salon de lecture*, po jakimś kwadransie przeszła do swego numeru... Na wiadomość tę, nie namyślając się ani sekundy, wskoczył do klatki *lift'u*, i wjechawszy na pierwsze piętro, pobiegł do drzwi baronowej. Stanąwszy pod niemi, zapukał silnie. Nie odpowiedziano mu. Począł chwilę, a przez ten czas patrzył na przeciwległe drzwi swego pokoju, do którego się był wprowadził przed tygodniem (nazajutrz po wyjeździe barona van Newstraten). Po niejakej chwili zastukał powtórnie. Tym razem usłyszał zapraszające *Entrez!* Wszedł. Baronowa siedziała na szeslongu, z oczyma zaczerwienionemi jeszcze, ale suchemi już.

— Widzę, że już pan wiesz o wszystkim, rzekła, spostrzegłszy, że Henryk wpadał wyraźnie zaaferowany.

— Więc naprawdę przegrałaś pani? zapytał, siadając przy niej.

— Tak jest, zgrałam się.

— I to prawda, żeś pani przegrała dziesięć tysięcy franków?

— Bez dwustu.

— I cóż pani teraz uczynić zamierzasz?

— Już się zdecydowałam.

— Na co?

— Zaraz po obiedzie, o ósmej, wracam do Monte Carlo.

— Jakto, aby znowu grać?

— Tak jest. Albo się odegram, albo przegram i te tysiąc kilkaset franków, które mi pozostały. Mam przeczucie, że się odegram.

— A jeżeli pani przegrasz?

— O tem nie pomyślałam jeszcze. Cokolwiek-bądź, jadę.

Usłyszawszy to Henryk, zaczął perswadować, prosić, zaklinać, przemawiać do rozsądku; widząc jednak, że na nic się nie zdają jego perswazyje, że baronowa uparła się i pojedzie, rzekł:

— Ha, skoro to jest nieodwołalne, że pani jedziesz, w takim razie zastrzegam sobie jedno.

— Cóż takiego?

— Pozwolisz pani, że pojedziemy razem. Do

tego bowiem, żebyś pani miała jechać bezemnie, stanowczo nie dopuszczę — jak panią kocham.

— Ależ nie mam nic przeciwko temu. Owszem, będzie mi bardzo przyjemnie. Może mi pan przyniesiesz szczęście. Popołudniu byłam bez pana, zgrałam się. Wieczorem będę z panem, może wygram. Tymczasem — i przy tych słowach powstała — proszę mnie zostawić samą, bo za kwadrans zadzwonią na obiad, a jeszcze muszę się przebrać. Ubiorę się w tę pańską ulubioną suknię. Może mi sprowadzi szczęście... Ale, ale, *a propos* naszego wyjazdu razem. Chyba nie potrzebuję panu mówić, że nikt nie wie o moim zamiarze. W hotelu, przy *table d'hôte*'cie, powiem wszystkim, że wieczór dzisiejszy spędzam z kuzynowstwem, którzy mnie zaprosili na *Otella* do swojej łoży. I pan musisz powiedzieć, że się wybierasz na *Otella*, że mnie nawet odwozisz do teatru. O tem, że mamy jechać do Monte Carlo, ani słowa nikomu!

— *C'est entendu.*

Jak postanowili, tak uczynili. Skoro na zegarze, wiszącym w wielkiej sali jadalnej, wybiło wpół do 8-ej, baronowa, która prawie nic nie wzięła do ust, dała znak Henrykowi, żeby odłożył widelec, poczem zaraz, wytłómaczywszy się przed swymi najbliższymi sąsiadami i sąsiadkami, co ją skłania do zrezygnowania z reszty obiadu, po-

wstała z miejsca. Henryk, otarłszy usta, powstał również.

W pięć minut później, jedna z karetek, których długi sznur stał przed hotelem, pędziła przez *Promenade des Anglais* w kierunku dworca kolejowego: to baronowa i Henryk jechali na kolej.

Pogoda była fatalna. Ulewny deszcz siekł w podniesione szyby okien. Silny wiatr dął od morza.

— Kto inny, rzekł przekomarzając się Henryk, wołałby na taki czas zostać w domu.

— Ja zaś, odrzekła zniecierpliwiona baronowa, wołałam pojechać do Monte Carlo.

A kiedy on, nie dostrajając się do jej rozdrażnienia, zaczął dowcipkować na temat kobiecego uporu, ona, którą irytował ten jego dobry humor, przerwała mu nagle:

— Ach, gdybyś pan wiedział, co się ze mną dzieje w tej chwili, nie byłbyś taki niezdolny.

Powiedziała to z takim wzruszeniem w głosie, jakby była bliską płaczu, co spostrzegłszy Henryk, zaczął ją uspakajać, przeproszać, całować po rękach. Kiedy zajeżdżali przed stacyę, baronowa wyrывая się, rzekła z rozpaczą prawie, a głosem drżącym, zmienionym:

— Ach, puść mnie pan już! Boże, Boże! co ja robię, co ja robię!!!

Na stacyi, na peronie, podczas gdy Henryk ku-

pował bilety, baronowa miała chwilę zastanowienia, chwilę walki. Ogarnął ją jakiś nerwowy niepokój, a jakiś głos wewnętrzny zdawał się szeptać jej: «Nie jedź! Zostań. Wróć do hotelu». Możeby i wróciła, gdyby była sama, ale była z Henrykiem, więc wstydziła się przyznać do tej chwilowej słabości. A nuż przegra? Co pocznie wtedy? O ile dotąd miała przeczucie, że wygra, że się odegra, o tyle teraz, ni stąd, ni zowąd, zaczęła wątpić o możliwości odegrania się. Była prawie pewną, że jeżeli pojedzie, to po to tylko, żeby przegrać i tę resztę. Po chwili znowu zaczęła nabierać nadziei, ale jednocześnie przypomniła sobie — o czem aż dotąd nie pomyślała ani razu — że jest matką i żoną, że w Paryżu zostawiła dwoje dzieci; że kiedy wyjeżdżała do Nizy, one, żegnając się z nią, płakały rzewnie, tak im było ciężko rozstawać się z mamusią; że prócz tych dzieci ma męża, który ją kocha, otacza zbytkiem i wygodami, dostarcza wszelkich przyjemności, a nadto, co najważniejsza, wierzy jej, ufa; że od tego męża ma codzień czułe listy, pełne najpięszczośliwszych wyrazów, niczem listy zakochanego studenta. A ona tymczasem — pomyślała sobie — jak się zachowywała?! Kokietowała Henryka, igrała z jego miłością, którą w nim wzbudziła i podsycala sama; nie sprzeciwiała się, kiedy po wyjeździe barona oświadczył

jej, że się sprowadza do *Hôtel de l'Elysée*, żeby z nią sąsiadować drzwi we drzwi; jednym słowem flirtowała z nim, a choć miała świadomość niebezpieczeństwa tego ognia, do którego sama ciągle dolewała oliwy, nie cofała się przed nim. Wiedziała, że ten swawolny i lekkomyślny flirt może ją zaprowadzić za daleko, bo doskonale zdawała sobie sprawę, że ten młody i przystojny psycholog-powieściopisarz, którego utwory czytała z takim zajęciem, wywierał jakiś magnetyczny wpływ na nią. Rozumiała bardzo dobrze, że choć mu się opierała zwycięsko, to jednak zdarzały się chwile, w których jej to przychodziło trudniej, wobec niego bowiem, dziwna rzecz, czuła się słabszą i powolniejszą, niż wobec tych wszystkich, którzy przed nim starali się o jej względy... napróżno. Wiedziała o tem, a jednak nie przestawała z pewną filuterną lubością krążyć około tego płomienia, choć to był płomień — w jej oczach nawet — w którego pobliżu czuła, że sobie w nim łatwiej może opalić skrzydła, niż w jakimkolwiek innym. A jednak, mimo to przeświadczenie, tak zbawienne, jak w danym wypadku, nie starała się zawrócić z tej zdradliwej drogi, na którą już była weszła. Uważała to za flirt, za zabawkę *pour passer le temps*, za nic więcej, ale kobieta uczciwa, którą ona była przedewszystkiem, powinna unikać takich

sezonowych flirtów. Ona tymczasem, zamiast zerwać z Henrykiem, póki czas, lub go nie dopuszczać do takiej poufałości, spędzała z nim dni całe, w listach zaś, pisywanych do męża, ani słowa mu nie donosiła o tym flircie, tak zupełnie, jakby się wcale nie widywała z Henrykiem, kiedy tymczasem w rzeczywistości codziennie robili wspólne wycieczki do Monte Carlo, do Cannes, do Mentony. A najwięcej do Monte Carlo!... Mąż jej, wnosząc z jej listów, które otrzymywał codziennie, a które zawsze były bardzo długie i czułe, mógł przypuszczać, że przebywała wyłącznie w towarzystwie swych kuzynostwa, z którymi jeżeli nawet jeździła czasami do Monte Carlo, to nie po to z pewnością, żeby grać. Wszak przyrzekła mu, kiedy wyjeżdżał, że grać nie będzie... Przyrzekła, ale nie dotrzymywała przyrzeczenia! A nadto zwodziła człowieka, który, gdyby się był dowiedział, że nie tylko grała, ale przegrała 10.000 franków, z pewnością osiwiłby ze zmartwienia, to jest osiwiłby jeszcze bardziej. Tu mimowoli przypomniały się jej szpakowate włosy barona...

Kiedy się tak karciała i strofowała za swą lekko-myślność, ukazał się Henryk. W jednej ręce trzymał mokry parasol, w drugiej miał jakieś niewielkie pudełko, owiązane czerwoną wstążeczką, i kilka prześlicznych róż.

— To dla pani, rzekł, oddając róże.

— *Merci*, odrzekła, przyjmując kwiaty. A to? zapytała, wskazując owo pudełko.

— To jest i dla mnie także.

Okazało się, że były to fiołki smażone w cukrze, specyałność nicejska.

Po chwili zajechał pociąg, t. zw. *train de luxe*. Na peron wysiadło kilkadziesiąt osób, zaczęła się krzątania, krzyki, nawoływania, a wszystko to odbywało się przy wtórze sapania lokomotywy, raz po raz szumiącej wypuszczaną parą. Tymczasem Henryk i baronowa wsiedli do wagonu.

II.

Pociąg, nigdzie nie zatrzymując się po drodze, pędził z taką szybkością, że nie odróżniałeś prawie, kiedy mijał tunele, których tu jest mnóstwo, a kiedy przebiegał nad samem morzem. Czuło się tylko, że deszcz leje, jak z cebra, że niebo jest powleczone chmurami, a wiatr, zagłuszany monotonnym turkotem kół, hula w czarnem powietrzu. Wszystko migotało tylko, uciekało w tył, ku Nizy. Pociąg pędził w stronę Monte Carlo, gwiżdżąc przeraźliwie, ile razy wpadał do tunelu, a mnóstwo iskier, buchających z komina lokomotywy,

widziane z okien wagonu, czyniło wrażenie nitek ognistych.

Baronowa i Henryk, siedząc obok siebie w osobnym *coupe*, wśród szlifowanych luster i ponsonowych aksamitów, oświetlonych górnem światłem lampy w suficie, zajadali smażone fiołki. Henryk był wesół i wielomówny, jakby jechał na bal, baronowa zaś, przeciwnie, jechała zamyślona, z zaszęzionem czołem. W miarę, jak się zbliżali do celu, czuła, że jej serce bije coraz mocniej, a mimo smażonych fiołków, któremi ją Henryk częstował nieustannie, czuła jakąś gorycz w ustach.

Miała gorączkę. Policzki piekły ją, a w skroniach czuła jakby bijący puls. Była coraz niespokojniejsza, coraz bardziej zdenerwowana. Wszystko ją drażniło, irytowało; począwszy od Henryka, który nie zawsze był na swoim miejscu, a skończywszy na konduktorze, który raz zajrzał do ich *coupe*, i to w takiej chwili właśnie, kiedy Henryk obejmował ją wpół... Zawstydzona, zapłonila się tak, że myślała, iż jej krew tryśnie oczyma.

W ten sposób upłynęło czterdzieści minut. Pociąg, gwizdząc żałośnie, wjechał w ostatni tunel, sławny z tego, że w nim wielu przybyszów, przegrawszy wszystko, rzuciło się pod koła pociągu. Henryk, pragnąc rozerwać swą towarzyszkę, a prze-

dewszystkiem chcąc położyć koniec dość długiej chwili milczenia, zawsze kłopotliwej i nieprzyjemnej dla mężczyzny, gdy jest sam na sam z kobietą, rzekł:

— Czy nie czyni na pani szczególnego wrażenia ten przeraźliwy świst lokomotywy w tym tunelu, gdzie tylu nieszczęśliwców dało się zmiażdżyć na szynach, a gdzie — kto wie — może i w tej chwili przejechaliśmy po świeżym, jeszcze drgającym trupie?

— *Fi donc!* przerwała mu, otrząsnąwszy się baronowa, która wcale nie była w nastroju do słuchania takich ponurych refleksyi.

Henryk jednak, którego bawiło to zdenerwowanie baronowej, widząc, że poruszony przezeń temat drażni ją i podnieca jeszcze bardziej, powodowany jakimś złośliwym duchem przekory, ciągnął dalej:

— Ja bo zawsze, ile razy przejeżdżam ten tunel, mimowoli myślę o tych ofiarach *febris aureae*, a świst lokomotywy, który tu brzmi jakoś rozpaczliwie, ba! poprostu tragicznie, obija mi się o uszy, niby jakieś zagrobowe wycia samobójców, co tu znaleźli śmierć. Powiadają, że co rok wynoszą po kilku takich desperatów, pomimo że od szeregu lat osobny strażnik, niby Cerber, strzeże wejścia

do tego śmiertelnego tunelu. Właśnie minęliśmy budkę tego Cerbera...

Baronowa, zacisnąwszy wargi, lubo słuchała, co mówił Henryk, słuchała w roztargnieniu. Kiedy umilkł, nie odrzekła ani słowa, co nie było dodatnią oznaką, ale powstawszy z miejsca, podeszła do okna, a przetarłszy kawałek zapotniałej szyby, zaczęła wyglądać niemi, zamyślona, milcząca, dygocząca od rozigranych nerwów.

Widząc to Henryk, przysunął się do niej, wziął ją za rękę, odpiął rękawiczkę i zaczął całować obnażoną dłoń; baronowa zaś, pogrążona w swych myślach, nie broniła mu tego...

Dojeżdżano do Monte Carlo. Począwszy od stacji Monaco, której oświetlony peron mignął, jak błyskawica, pociąg, zwolniwszy biegu, jechał wśród eleganckich willi. Oświetlone okna, latarnie gazowe, sztachety ogrodów, kępy drzew, mokre trotuary i dachy, wszystko to, znikając kolejno, migało przed oczyma. Tymczasem lokomotywa, gwiżdżąc nieustannie, robiła wrażenie, jakby wyła, jakby wołała: «Z drogi!»

W końcu pociąg zatrzymał się na stacji.

— *O mon Dieu, comme je tremble!* rzekła baronowa, opuszczając *coupe*.

Istotnie drżała, jak liść, jakby w febrze. Nadto zauważył Henryk, że miała ogromnie powiększone

żrenice, a w oczach, błyszczących gorączkowo, taki wyraz, jaki mają oczy zranionej sarny. Mimo to nie mógł się nie uśmiechnąć, spostrzegłszy, że baronowa, w chwili, kiedy miała schodzić po schodkach wagonu, nim podała mu rękę, przeżegnała się. Była pewna, że nie zauważył tego, zwłaszcza, iż nie chcąc jej drażnić nadmiernie, nie zdradził się, że i to jego baczności nie uszło.

Na mokrym peronie było prawie pusto. Nie widziałeś nawet owych żandarmów w trójkątnych kapeluszach, którzy przy nadejściu każdego pociągu tworzą rodzaj kordonu (z obawy, ażeby kto nie rzucił się pod nadjeżdżający pociąg); zwykle stoją na skraju peronu, uniemożliwiając zbytnie zbliżenie się do szyn; w tej chwili stał jeden tylko, przy wyjściu, gdzie odbierano bilety,

Henryk oddał swój i baronowej, a po chwili znaleźli się po drugiej stronie stacji, na obszer-nym placu, gdzie mokło kilka dorożek i omnibusów hotelowych, a skąd doskonale widać słynne kasyno i mnóstwo okolicznych zabudowań i willi. Henryk zaproponował baronowej, ażeby go wzięła pod rękę, co jej pozwoli skryć się pod jego parasolem, a gdy się zgodziła na tę propozycję, zapytał jej: czy woli pojechać *ascenseur*'em, czy też chce iść po schodach?

Swoją drogą, kiedy zadawał jej to pytanie,

z góry był pewien odpowiedzi, nie wątpił bowiem, że pojedą *ascenseur*'em, w którego żelazno-szklanej altance można się bez żadnego trudu dostać aż na najwyższe piętro tarasów kasyna. Jazda podobna, zważywszy, że kasyno leży na znacznym wyniesieniu, oszczędza niemało fatygi. Tymczasem wchodząc po wspaniałych schodach, prowadzących od placu dworca kolejowego przez wszystkie piętra tarasów aż do ogrodu kasyna, jest się narażonym na takie zmęczenie, o jakie przyprawia np. wejście na szóste piętro.

To było powodem, dla którego Henryk nie wątpił, że baronowa będzie wolą pojechać *ascenseur*'em, niż iść po schodach, w taki deszcz. Bo deszcz nie ustawał ani na chwilę, a wiatr był tak silny, że nietylko podwiewał suknie, ale już zdążył rozkołysać morze, które z ponurym szumem rozbijało się o pobliskie wybrzeże. Baronowa jednakże, ku niemałemu zdziwieniu Henryka, oświadczyła, iż chce iść schodami.

— W południe, rzekła, wjechałam *ascenseur*'em i zgrałam się; spróbujmy, czy schody nie przyniosą mi większego szczęścia.

— Spróbujmy, odrzekł Henryk, a gdy tymczasem wszyscy, co przyjechali z nimi razem, śpieszyli ku *ascenseur*'owi, on, skręcając na lewo, w stronę schodów, nie bez żartobliwej ironii ciągnął dalej:

— Będzie to prawdziwe umartwienie, które nam może zjedna uśmiech Fortuny, choć nie wątpię, że na tem najgorzej wyjdą bućki pani. I nóżki się zamoczą, i *redingote* trochę zmoknie, przyczem nazajutrz katar nie jest całkiem wykluczony. Ale jeśli za tak małą cenę można sobie kupić względy kapryśnej bogini, co kołem się toczy...

Baronowa, choć myślała była już w sali gry, odczuła, ile ironii było w słowach Henryka, więc zachnąwszy się zlekka, przerwała mu:

— Panie Henryku, jeśli mię pan choć trochę lubi, proszę, nie drażnij mię pan. Czyż pan nie widzi, iż już i bez tego jestem zdenerwowana.

— Widzę nawet więcej, bo widzę i to, iż jesteśmy trochę przesądni.

— Ach, panie, każda kobieta jest przesądna, zwłaszcza, gdy nie jest w zgodzie z sumieniem, gdy czuje, że nie postępuje tak, jak powinna. A zresztą w Monte Carlo wszyscy są przesądni, nawet mężczyźni.

W istocie, nigdzie się nie jest tak przesądnym, jak w tym przybytku gry hazardowej, gdzie wszystko zależy od przypadku, od szczęścia. Zwłaszcza kobiety, jako bardziej żądne wygranej, niż mężczyźni, ulegają tym przesądom. Baronowa, która, podkaszawszy suknię, szła wsparta na ramieniu Henryka, kryjąc się pod jego parasol, nie stanowiła,

jak się okazało, wyjątku pod tym względem. Owszem, była typowym okazem tego nastroju...

Tymczasem weszli na schody, oświetlone gęstym szeregiem latarni elektrycznych, a wszedłszy na pierwsze piętro przepysznych tarasów, przystanęli, ażeby wytchnąć cokolwiek. Nigdy nie byli tu o tej porze, a przynajmniej w taką noc makbetową, jak ta, która w danej chwili swym ciemnym kirem powlekła całe wybrzeże. Zawsze bywali tu w dzień, w południe, gdy jasna *Riviera di Ponente* kąpała się w blaskach słońca; kiedy, stojąc na tym tarasie, zdobnym rozłożystemi aloesami w białych marmurowych wazonach, miało się prawdziwie wymarzony widok na szafirowo-fioletowe morze, upstrzone białymi żaglami jachtów; na skalisty półwysep Monaco, z jego murami, ogrodami i książęcym pałacem; na Mentonę, majaczącą w opalowej mgie oddalenia; na olbrzymie skały wapienne, stromo spiętrzone nad uśmiechniętem kokieterjnie Monte Carlo. Ale ten sam widok, który w dzień, w słońcu, ze swemi przepyszniemi willami i hotelami na tle podzwrotnikowej roślinności robi wrażenie jakiegoś ziemskiego raj, teraz, w nocy, w niepogodę, wśród nieprzejrzanych ciemności, nie pozwalających widzieć ani bezmiaru morza, ani nadbrzeżnych skał, przesłoniętych chmu-

rami i mgłą, sprawiał wrażenie przejmujące trwogą i jakimś nerwowym lękiem.

Nad schodami, pustemi w tej chwili, jak wymiecionemi, i nad ścianami tarasów, obramowanych balustradami, jak koronką, a gęsto wysadzonych latarniami, jak topazami, unosił się fantastycznie piękny fronton kasyna, podobny do jakiegoś zaczarowanego pałacu z baśni arabskich, a rzęście oświetlony wewnątrz; we wszystkich oknach jarzyło się różowo-złote światło, przeświecające przez pozapuszczane zasłony.

Te okna, pozasłaniane nawpół-przejrzystemi roletami, czynią dziwnie tajemnicze wrażenie; mimowoli się myśli, że wewnątrz tych ścian, w tem różowo-złotem świetle, dzieć się musi coś, co woli się kryć przed okiem świata.

Wrażenie to potęgował jeszcze szum wiatru, który targał parasolem Henryka, oraz głuchy pomruk bałwanów morskich, dochodzący z dołu. Morza nie było widać, ale wnosząc z monotonnego a ponurego łoskotu, z jakim się rozbijało przy brzegu, czuło się, jak musiało być wzburzone.

Nagle dał się słyszeć przeraźliwy świst lokomotywy.

• — To nasz pociąg odjeżdża ze stacyi, rzekł Henryk, a baronowa, obejrawszy się w stronę dworca, ujrzała ognisty słup iskier, buchający z ko-

mina lokomotywy, i długi szereg oświetlonych okien wagonów, wysuwających się z poza muru stacyi. Po chwili pociąg znikł w ciemnościach, a baronowa rzekła:

— No, idźmy dalej. Już wypoczęłam.

I znów zaczęli wchodzić po schodach. Minawszy kilkadziesiąt szerokich i wygodnych stopni, znaleźli się na piętrze najwyższego tarasu, pod samym gmachem kasyna, w południowej stronie słynnych ogrodów Monte Carlo. Szli aleją, wśród klombów i palm, których ciemne pióropusze, targane wiatrem, szumiały nad ich głowami. Zdaniem Henryka, który jakoś był w doskonałym humorze, szum ten wiatru miał w sobie coś maeterlinckowskiego, coś z *Intruza*, coś ze złowrogiego powiewu śmierci...

— Panie drogi, mówiła baronowa, com panu zawiniła, że mię pan straszysz i jeszcze bardziej rozstrajasz. Już i tak dygoczę od rozigranych nerwów, a pan zamiast mię uspokajać, wciąż poruszasz jakieś śmiertelne tematy.

Ale Henryka bawiło zdenerwowanie baronowej, więc zamiast zwrócić rozmowę na inny temat, przez cały czas, dopóki szli ogrodem, prawił o tem, iż przechodząc temi ogrodami niepodobna nie pomyśleć o tem, ilu ludzi zabiło się w pośrodku tych palm i róż, ile strzałów rewolwerowych rozległo

się w tym Edenie, ile krwi wsiąknęła ta ziemia, ile trupów znoszono po tych schodach, trupów znalezionych w ustronnych zaułkach i altankach tej uroczej a piekielnej oazy, tego prawdziwego parku samobójców.

— Panie Henryku, przerwała mu rozpaczliwie baronowa, zabraniam panu mówić o tych rzeczach. Jeszcze jedno słowo o tych trupach i samobójcach, a puszcę pana i pójdę sama.

Henryk jednak, zamiast się ulęknąć tej groźby, tylko mocniej przycisnął ramię baronowej do siebie, i tak ciągnął dalej;

— Co do mnie przynajmniej, zawsze, ile razy przechadzam się po tym rajskim ogrodzie, doznaję takiego uczucia, jakbym spacerował po cmentarzu, wśród mogił i krzyżów; bo z pewnością, gdyby na tych cudownych klombach, w cieniu tych palm rozkosznych, pozatykać tyle krzyżów, ilu ludzi odebrało sobie tu życie, wówczas te ogrody, choć tak przestronne, nie pomieściłyby wszystkich. Jednocześnie z łez ludzkich, które wogóle wypłakano z powodu tego *Cercle des Etrangers*, mogłyby bić fontanny, nie brzydsze od wersalskich...

— Panie Henryku, rzekła baronowa głosem, w którym gniew mieszał się z tonem błagalnej prośby, przestań pan znęcać się nade mną. Czyż pan nie widzi, co się ze mną dzieje... Pan się

śmiejesz, a ja muszę się hamować, aby nie wybuchnąć płaczem.

— Słyszysz pani? zapytał nagle Henryk, w chwili, gdy się zbliżali do wspnianiałego frontonu kasyna.

I przystanęli, bo przez wielkie romańsko-rene-sansowe okna sali teatralnej, gdzie właśnie grano *Romea i Julię* Gounoda, dały się słyszeć dźwięki orkiestry, pomieszane z tenorowym śpiewem.

Henryk, który operę tę umiał na pamięć, rzekł, posłuchawszy przez chwilę:

— Drugi akt. Arya Romea pod balkonem Julii... Warto posłuchać. A śpiewa dziś Jan Reszke z Melbą.

I umilkł, nasłuchując. Baronowa, wsparta na jego ramieniu, słuchała także. I stali tak, pod jednym parasolem, zasłuchani i milczący, z zapor-tym oddechem, przez dobrą chwilę. A tymczasem Romeo-Reszke, przy melancholijnym akompaniame-cie orkiestry, naśladowującej ciszę nocy włoskiej, śpiewał swą cudną aryę, która niebawem zamie-niła się w słynny duet z Julią-Melbą. Na dworze zaś, oprócz plusku ulewy, pomieszanego z oddalo-nym pomrukiem wzburzonego morza, pogwizdywał wicher, który, potrząsając koronami palm, także zdawał się zawodzić jakąś aryę, jakby jakieś ża-łobne *requiem* za dusze samobójców. W końcu dały się słyszeć huczne oklaski, a baronowa przy-

pomniała sobie, że nie po to przyjechała tu dzisiaj, ażeby, moknąc na dworze, słuchać śpiewu Reszkego i Melby. Żeby jeszcze w teatrze! Ale pod oknami teatru?...

— Chodźmy już, rzekła do Henryka. Nie traćmy drogiego czasu. I tak już późno!

I poszli dalej.

Na placu, przed głównem wejściem do kasyna, pomimo niepogody panował ruch, przypominający paryzkie bulwary. Pod olbrzymią werandą *Café de Paris*, po prawej stronie kasyna, tłoczono się przy kilku rzędach stolików, a wielka oszklona altana *Hôtel de Paris* zdawała się aż buchać jaskrawem światłem swych kryształowych żyrandolów. Przed szerokie schody, prowadzące do kasyna, a skąpane w mlecznym świetle lamp elektrycznych, wciąż zajeżdżały karety i automobile... W przed-sionku uwijało się mnóstwo osób, z których jedne wychodziły już, inne zaś, jak Henryk i baronowa, przychodziły dopiero.

Na to, ażeby móż wejść do salonów gry, trzeba mieć bilet wstępu, t. zw. *Carte d'admission personnelle*, które wydają w sali na lewo. Henryk i baronowa udali się tam przedewszystkiem, bo za każdym razem, gdy się przyjeżdża do Monte Carlo, należy się zaopatrywać w nową kartę. Jest to formalność, która nie należy do przyjemności,

w «kancelaryi» bowiem, gdzie się dostaje owe bilety, a gdzie kilku urzędników, ubranych w czarne tuzurki, siedzi za długim czarnym kontuarem, mimowoli doznaje się takiego uczucia, jakby się z nieczystym sumieniem stawało przed sędziami śledczymi. Nazwisko pańskie? Rodzaj zajęcia? Miejsce zamieszkania? Dokładny adres? etc. Oto szereg pytań, na które trzeba odpowiedzieć jednemu z tych urzędników (robiących wrażenie zbirów, a co najmniej żandarmów, starających się czytać w duszy człowieka), bo w przeciwnym razie, gdyby się kto nie chciał poddać tej indagacyi, nie sposób wejść do salonów gry.

Stamtąd już, z żółtą kartą w ręce, przechodzi się do przyległej garderoby, gdzie się zostawia wierzchnią odzież i parasole, a gdzie o każdej porze, od godziny 11 rano do 11 wieczorem, to jest tak długo, dopóki otwarte jest kasyno, trzeba się tłoczyć i prosić o wzięcie lub oddanie rzeczy.

Dla kogoś, co jak baronowa, był rozgorączkowany i pałający żądzą jak najrychlejszego dostania się do salonów gry, cała ta procedura poprzedzająca wydostanie się z kontramarkami, jest wysoce niemiłą i drażniącą. Jakoż baronowa, gdy weszła po odbiór kart wejścia, dla pośpiechu nie zaprotestowała, gdy ją Henryk podał za swoją żonę, na coby pewno nie zgodził się baron

van Newstraten, a wskutek czego oboje otrzymali jedną kartę, ani mu się sprzeciwiła, gdy w kontramarkarni oddał jej rzeczy i swoje na jeden numer, czego się nigdy nie był odważył uczynić przedtem... Z tego wynikło, iż gdy z kontramarkarni przeszli do olbrzymiego przedsionka z kolumnami, podobnego do wnętrza greckiej świątyni, Henryk, którego ogromnie bawiła ta mistyfikacja dla pośpiechu, nie przestał sprzeciwiać się baronowej, którą w dodatku zaczął nazywać swoją żoną, utrzymując, iż ma do tego najzupełniejsze prawo, skoro na karcie wstępu najwyraźniej napisano: Mr. et M-me de la Valière. Być może, iż w innych warunkach nie uszłyby mu podobne dowcipki, ale baronowa była już myślą gdzieindziej i mało do tych żartów Henryka przywiązywała wagi.

Ponieważ przedsiónek ten, z góry oświetlony szeregiem wspaniałych kandelabrow nad kolumnadami, służy zarazem za *fumoir*, t. j. że jest jedynym salonem w całym kasynie, gdzie panowie mogą palić, nie dziw więc, że powietrze, którem się tu oddycha, przesysane błękitnawym dymem, nie zaleca się czystością i świeżością.

— Cóż tu za upał i zaduch, rzekła baronowa. Tchu złapać trudno.

— Nie pójdzie pani włosów poprawić? rzekł Henryk, kiedy przechodzili koło miejsca, gdzie

kilkanaście osób z zadartymi do góry głowami czytało wypisane kredą na tablicy świeżo nadeszłe depesze z całego świata.

— Nie zależy mi na tem, aby się dziś specjalnie komu podobać.

— Ani mnie?

— Panu się i tak podobam.

— Nie radzę być zbyt pewną siebie, zwłaszcza tutaj, gdzie na każdym kroku widzi się tyle pięknych kobiet. Ot, niedaleko szukając, ta np. która idzie naprzeciwko nas.

— Kokota!

— W moich oczach nie jest to wcale wadą. Raczej zaletą.

— Ach, nieznosny pan jesteś.

— Od czegoż występuję w tej chwili w roli męża pani?

Tak rozmawiając i przekomarzając się, przedelfilowali przez całą salę, w której, jak w ciągu dnia, tak i teraz, z powodu antraktu w teatrze, rojno było i gwarno: mnóstwo kobiet w dekoltoowanych toaletach i panów we frakach spacerowało tam i z powrotem, lub tworzyło oddzielne grupy po kilka osób. Miało się wrażenie, iż się jest w *foyer* któregoś z teatrów paryskich.

Kiedy się zbliżyli do drzwi, nad którymi ja-

śniej złoćmi literami wyryte *Entre*, Henryk za-
pytał:

— Czy już wchodzimy?

— Wszak po to tu przyjechałam, odrzekła ba-
ronowa. Dziwnie panu dziś nie pilno. Ale muszę
być bardzo czerwona na twarzy?

— W każdym razie bardzo z tem pani ładnie.
Do zwykłej dozy pieprzyku, jaki pani posiada, ko-
lory te są jednym ziarnkiem więcej...

— Ma pan przy sobie dużo pieniędzy?

— W każdym razie tysiącem franków mogę
pani służyć na wszelki przypadek.

— A sam grać pan nie zamierza?

— Nie wiem. Zdaje się, że nie. Będę się przy-
patrywał pani, a stojąc za panią, będę się starał
być magnesem, przyciągającym *wenę*.

— Dobrze, ale gdybym, broń Boże, zaczęła
przegrywać, wtedy zrobisz mi pan jedną przy-
jemność.

— Wolno wiedzieć, jaką?

— Oddałśz się.

— Dobrze, choć wolałbym i życzyć pani, że-
bym się oddalać nie potrzebował, choćby dlatego
tylko, że mi najlepiej przy pani...

— Dobrze, dobrze, ale tymczasem chodźmy.

Przy tych słowach zbliżyli się do jednego
z dwóch wygolonych kamerdynerów w niebieskich

liberyach, a gdy Henryk okazał bilet wejścia, wielkie ciężkie drzwi odrazu otwarły się przed nimi.

Drzwi te, ukryte w półcieniu, w głębi kolumnady, mają swoją sławę: sławę melodramatyczną. Nie brakło takich, co opisując dom gry w Monte Carlo, widzieli oczyma swej wyobraźni, zamiast prostego wyrazu *Entre*, płomiennymi zgłoskami wypisane dantejskie: *Per me si va tra la perduta gente!* do wszystkich zaś, co przekraczali ten próg, zwracali się, jak do potępieńców z dantejskiego *Piekle*, z beznadziejnymi słowami: *Lasciate ogni speranza voi ch'entrate!* Inni wyrażali się o drzwiach tych, jako o nowożytnym Sezamie, gdyż jak ów Sezam z arabskiej bajki o Ali Babie prowadzą do «zbójeckiej jaskini»! Jeszcze inni szli tak daleko, iż zbliżając się do tych drzwi, na widok dwóch kamerdynerów, kontrolujących bilety wejścia, przypominali sobie aż owe dwie alegoryczne postacie Grzechu i Śmierci, które w *Raju utraconym* Milтона strzegą wrót piekielnych... Naprawdę drzwi te nie czynią żadnego wrażenia, ci zaś, co niemi wchodzą, nietylko nie «zostawiają nadziei», ale przeciwnie są najlepszej myśli i nadziei, a wszystkich, co grać zamierzają, ożywia nadzieja wygranej.

Nadzieja ta — najczęściej płonna — ożywiała i płkłą baronową van Newstraten, gdy teraz

w towarzystwie Henryka przekraczała próg tych słynnych drzwi. Pochłonięta myślą o grze, z niepokojem w sercu, a nerwami rozigranymi, baronowa szła tak szybko, że Henryk ledwo mógł za nią nadążyć. Falująca pierś jej — co nie uszło baczności postępującego tuż przy niej Henryka — zdawała się rozsadzać obcisły stanik, serce biło gwałtownie; twarz paliła od napływającej krwi, a chłodne ręce pocily się pod rękawiczką: prawą podtrzymywała tren sukni, w lewej zaś ścisnęła nerwowo złoty woreczek z pieniędzmi.

III.

Minąwszy pierwszy i najmniej ozdobny ze wszystkich salonów, w którym kilkadziesiąt osób tłoczyło się dokoła dwóch stołów rulety, baronowa i jej towarzysz przeszli do następnej sali, t. z. *Grande salle des jeux*, która, jako najnowsza, jest też i najpiękniejszą ze wszystkich, nie mówiąc o tem, iż jest największą, bo mieszczącą aż sześć stołów. Przy wszystkich sześciu roiło się od fraków i jasnych tualet. Cała sala tonęła w powodzi złotego światła, rozlewanego przez cztery ogromne żerandole o kilkuset lampkach elektrycznych. W sali, jak zwykle wieczorem, gorąco było i duszno, w po-

wietrze unosił się jakby tuman, po przez który zielone marmury kolumn, o kapitelach ze złoczonego bronzu, różnobarwne freski na ścianach, wraz z bogatemi szlukateryami sufitu i gzymsów, kapiących od złota, tworzyły wspaniałe tło dla tej wykwintnej publiczności kosmopolitycznej, przechadzającej się pomiędzy stołami, bądź też cisnącej się dokoła tych ołtarzy hazardu.

— A jednak, rzekł Henryk, pod pierwszym wrażeniem tej gorączkowej atmosfery, jaka tu panuje, a którą niesłychanie lubił oddychać, niech sobie mówią co chcą, tu jest pięknie.

Baronowa jednak, którą w tej chwili najmniej interesowała estetyczna i malownicza strona salonów gry, nie słyszała co mówił Henryk: myślała o czem innem. O czem? Oto, choć zwykle grała wyłącznie w *trente et quarente*, tym razem postanowiła zniżyć się do rulety.

— Trzeba raz spróbować rulety, rzekła do Henryka. W *trente et quarente* ostatecznie byłam zawsze przegraną, a dziś karta mi przyniosła prawdziwe nieszczęście. Może mi się powiedzie w ruletę...

To mówiąc, podeszła do jednego ze środkowych stołów, przy którym, na podobieństwo opilek żelaznych, nagromadzonych dokoła magnesu, tłoczyły się dwa żywe pierścienie grających. Prze-

cisnęła się przez zwarty szereg kobiet i mężczyzn, stojących za swymi siedzącymi towarzyszami i towarzyszkami; popatrzyła na ruletę, której pokratkowane czerwono-czarne koło zdawało się uśmiechać śmiertelną białością swych pomieszanych cyfr; spojrzała na zielone pokratkowane i ponumerowane sukno stołu, na którym już leżało mnóstwo monet złotych i srebrnych; przyjrzała się twarzom niektórych grających, którzy siedząc dokoła stołu, znaczyli na małych pokratkowanych tabliczkach papierowych, jaki kolor wychodził najczęściej; rzuciła okiem na *croupier*'ów, siedzących *vis à vis* przy samym kole rulety; spojrzała na bank, a więc na długie rulony monet złotych i srebrnych, równo poukładane obok paczek stufrankówek papierowych; wreszcie obejrzała się na Henryka, stojącego za jej plecami, a że *croupier* rzekł właśnie: *Messieurs, faites le jeu!* co znaczy, że gra się zaczyna, więc wyjęła z portmonetki złotą 20-frankówkę, rzuciła na stół, a następnie małemi drewnianemi grabkami, leżącemi przed jakimś panem, przesunęła na numer 10.

— Cóż to, chce pani grać na numer? zapytał Henryk. Byłby to jakiś szczególny traf, gdybyś pani wygrała.

— Wiem o tem, ale poświęcam 20 franków.

Przegrałam 10.000, więc zacznę od tej fatalnej dziesiątki.

Tymczasem wszyscy popostawiali swoje pieniądze, tak, iż zielone sukno prawie znikło pod banknotami, złotemi 20-frankówkami i srebrnemi 5-frankówkami; *croupier* wymówił swoje stereotypowe: *Messieurs, le jeu est fait!* poczem wzięwszy kulkę we dwa palce, puścił ją na zakręcone koło rulety. Biała gałka najprzód toczyła się po gładkim brzeżku nad czarnemi i czerwonemi przegródkami o parzystych i nieparzystych numerach, z kolei zaczęła skakać po przegródkach, a po chwili dało się słyszeć decydujące: *Rien ne va plus!* którem *croupier* przecina możliwość dalszego stawiania pieniędzy. Tymczasem ruleta zaczęła się obracać coraz wolniej, kulka traciła pierwotny pęd, skakała coraz leniwiej, aż w końcu, urągając tym wszystkim spojrzeniom grających, którzy z wytężoną uwagą śledzili jej ruchy, wpadła w czerwoną przegródkę, oznaczoną numerem 10. Przyjaciółka Henryka, która z bijącym sercem oczekiwała ostatecznego rezultatu, aż klasnęła w dłonie, uradowana, gdy zobaczyła, że wygrała.

— *Quelle chance, n'est ce pas?* zawołała, zwracając się do Henryka.

W tejże chwili *croupier*'owie, oznajmiwszy grającym, że *rouge gagne, noir perd!* poczęli

drewnianemi grabkami zgarniać przegrane pieniądze, a załatwiwszy się z tem, jeśli wypłacać wygrane. Pierwszą osobą, której wypłacono wygraną sumę, była baronowa, ponieważ wygrała *en plein*, t. j. dostawała 35 razy tyle, ile postawiła, a więc 750 franków.

— *Vous avez de la chance, Madame*, rzekł do niej *croupier*, który się jej już od pewnego czasu przypatrywał, widocznie zachwycony jej nadzwyczajną pięknnością.

Baronowa zgarnęła wygrane pieniądze, które jej wypłacono papierami i złotem, i korzystając z tego, że jedna z dam właśnie powstawała od stołu, zajęła jej krzesło, postanawiając grać w ruletę.

Henryk stał za nią, wsparty o poręcz krzesła. Jako powieściopisarz ze szkoły Bourgeta, a więc psycholog i obserwator, lubił bywać w Monte Carlo, choć sam nie grał prawie nigdy. Wogóle nie miał namiętności do gry, a bywając tutaj, wołał być, jak mówił, «trzeźwym pomiędzy pijanymi», t. j. studyować namiętność, którą sam nie był opętany.

I teraz, choć postanowił być dobrym geniuszem dla swej przyjaciółki, której pragnął sprowadzić szczęście w grze, mimowoli, przypatrując się grającym, zapominał o swej roli, a wracał do swego «nałogu», do obserwacyi, do analizy; bo

należał do tego pokolenia literatów-artystów, które «tworzy» na podstawie sumiennych studyów nad życiem, a utrzymuje, że pod tym względem ma pokrewieństwo z malarzami, którzy malują źle, gdy malują z pamięci i fantazyi, a malują dobrze, kiedy malują z natury. I on, jak malarze, trzymał się tej metody; nim zaczął pisać, poprzednio robił studia. To nawet było powodem, że tę zimę spędzał w Nizy, nie zaś, jak zwykle, w Paryżu; przyjechał tu, aby wystudyować tutejszą atmosferę Monte Carlo, gdyż «miał w głowie» powieść współczesną, której akcja miała się rozegrać na Rivierze. Słynne kasyno w Monte Carlo, to arcydzieło architektoniczne Garniera, miało w tej powieści grać rolę świątyni nowego religijnego kultu, który wyznaje cała dzisiejsza znieprawiona ludzkość, a który nazywa się po łacinie *febris aurea*. Kiedy pokolenia z pierwszej połowy naszego stulecia, tej epoki młodzieńczych porywów, wołały przez usta umierającego Goethego: *Licht, mehr Licht!* nasza zgrzybiała i zmateryalizowana generacja pożąda tylko *Geld, mehr Geld!*... Taką miała być myśl przewodnia tej «powieści współczesnej» młodego a już rozgłośnego powieściopisarza, powieści, do której przywiązywał wielką wagę, a o której myślał w tej chwili, choćby dlatego tylko, że postanowił ją zadedykować baronowej.

Ona tymczasem, już zdążywszy zdjąć rękawiczki, zapalała się coraz bardziej, coraz bardziej dawała się opanowywać demonowi gry, a stawiając raz na *rouge* lub *noir*, raz na *pair* lub *impair*, myślała o jednym tylko: żeby wygrać, żeby się odegrać. Jakoż miała szczęście; prawie ciągle wygrywała, w miarę zaś, jak widziała, iż ma *wenę*, powiększała stawki; zrazu stawiała po 20 franków, ale wystarczyło jej, żeby wygrała kilka razy z rzędu, aby zaczęła stawiać po 50, po 100, po 200 i 500 franków. Widząc, jak się dawała porywać grze, jak traciła spokój i równowagę, jak zapatrzona w kolo rulety, śledziła wszystkie skoki gałki, jak wygrawszy, zgarniała wygrane pieniądze, jak się gorączkowała przytem, a jak jej natychmiast opadały skrzydła, jeżeli przegrała raz i drugi, Henryk przestrzegał ją, że ryzykuje zbyt wielkie sumy, namawiał, żeby zmniejszyła stawki, ale im życzliwsze były te rozsądne rady, tem mniej odnosiły skutku; baronowa coraz bardziej traciła panowanie nad sobą, aż w końcu zaniechała wszelkich kombinacyj, tylko grała tak, jak jej radził chwilowy instynkt. Okazało się, że jej radził dobrze, bo nie upłynęło pół godziny, a była już wygrana na jakie 3.000 franków, pomimo że kilka razy zdążyła w ciągu tego czasu przegrać znaczniejsze sumy.

Henryk nie grał zupełnie. Wsparty o krzesło baronowej, podziwiając jej przepyszne włosy i cudnie zaokrągloną szyję, którąby pocałował chętnie, przypatrywał się, jak grała; obserwował innych grających, zwłaszcza kobiety, które się bardziej zapalają do gry, niż mężczyźni, a stare bardziej niż młode; podziwiał zręczność *croupier*'ów, którzy, wypłacając wygrane, z bajeczną sztuką rzucali złote lub srebrne pieniądze, a rzucali tak, że monety układały się przed grającym jedne przy drugich, jedne zachodząc na drugie, jakby jeden nieprzerwany łańcuch cekinów; ale przedewszystkiem doznawał przykrego uczucia, widząc, jak baronowa, w której był zakochany naprawdę, nie stała na wysokości tego ideału, jaki on pragnąłby w niej widzieć. Czuł, że w tej chwili nie istniał dla niej prawie, tak samo, jak nie istniały dzieci, rodzina; grała i chciała wygrać, to było jedyne uczucie, jedyna namiętność, którą wzbierało jej łono, jedyna nadzieja i obawa, które przyspieszały bicie serca. Wiedział, że to serce coraz bardziej lgnęło ku niemu, że był na drodze do zdobycia sobie miłości tej przepięknej a płochej kobiety, ale czuł jednocześnie, że w tej chwili kochanym nie jest, że jest obojętnym dla niej, że cała jej istota, cała dusza jest nie za tem krzesłem, gdzie stoi on, ale nad tym stołem, gdzie

kręci się koło rulety, a leżą stosy banknotów i złota.

Był pewny, iż gdyby w tej chwili zażądał od baronowej, by na dowód, że go kocha, przestała grać, nie uczyniłaby tego; był pewny, że w tej chwili żadna siła nie zdołałaby jej odciągnąć od tego zielonego stołu, chyba złośliwy los, któryby jej kazał przegrać wszystko. Tylko wtedy zaniechałaby tej demoralizującej — i znieprawiającej duszę kobiecą — gry, choć i wtedy nie zbudziłaby się w niej miłość dla niego, bo jedynem uczuciem, któreby wówczas miało i szarpało jej istotą, byłaby rozpacz po ostatecznej przegranej. A zanimby się opamiętała, odepchnęłaby go zniecierpliwiona, gdyby jej np. wspomniał o swej miłości ku niej, o uczuciu, które w nim wzbudzić potrafiła.

Wiedział o tem, i dlatego, widząc, że baronowa pochłonięta grą, zdawała się nie pamiętać o nim, a przynajmniej nie zwracać najmniejszej uwagi na niego, że jej było obojętnem, czy stał za nią, czy nie, oświadczył jej, że idzie pospacerować po innych salach, że ją zostawia samą.

— Dobrze, odrzekła, nie odwracając się nawet, bo właśnie gałka była w ruchu. A gdybyś mnie pan, powróciwszy, nie zastał przy tym stole, to

w każdym razie o wpół do 11-ej spotkamy się tutaj w tej sali, jak zwykle, pod zegarem.

— *C'est entendu*, odrzekł Henryk, odchodząc.

Przeszedłszy do następnej sali, w której, jako najmniejszej ze wszystkich, stoją tylko dwa stoły rulety, Henryk, trochę zmęczony długim stanieniem za krzesłem baronowej, odrazu skierował kroki ku palmie, której wachlarzowate liście zieleniły się pośrodku sali, zwieszając się nad okrągłą, aksamitną kanapą. Na kanapie siedziało kilka osób. Za ich głowami pstrzył się ogromny klomb świeżych kwiatów, otaczających cały pień palmy, tak, iż go nie było widać zupełnie.

Henryk usiadł na kanapie, a ledwie spoczął, odrazu poczuł odurzający zapach tuberoz, pomieszany z bardziej mdłą wonią róż, rezedy, fiołków i narcyzów. Co za kontrast — pomyślał sobie — ten cudowny zapach kwiatów, składający się na taki wyszukany akord najrozmaitszych woni i aromatów, i ten zaduch, panujący w sali, zaduch, złożony z ciepła kaloryferów, z gorąca gazu, z wyziewów ludzkich, z jakiegoś niezdrowego odoru potu, i wreszcie z najrozmaitszych woni najwyszukańszych perfum, zaduch, w którym powonienie wyczuwało zmysłowy zamach ciała kobiecego! Henryk zerwał jedną tuberozę, bo szczególnie lubił narkotyczny zapach tego kwiatu, i wą-

chając biały kwiatek, rozglądał się po całej sali. Upłynęła chwila, a on wciąż siedział nieruchomy, patrząc przed siebie, z kwiatkiem w ręce, obserwując ten różnorodny tłum obywateli, co się przechadzali po sali, a mówili najrozmaitszymi językami. Choć nie wszyscy sprawiali wrażenie podnieconych, prawie wszyscy mówili o jednym wyłącznie, o grze. Jedni prawili spokojnie, że im się nie udało, że przegrali; inni, gestykulując żywo, chwalili się, że wygrali.

Tymczasem sala poczęła się wypełniać publicznością z teatru, gdzie właśnie skończył się akt trzeci *Romea i Julii*. Według zwyczaju, wszyscy przechodzili na antrakt — jak do *foyer* — do salonów gry, aby w przerwie pomiędzy aktami spróbować szczęścia.

Jest zwyczajem w Monte Carlo, że na antrakty — które umyślnie bywają bardzo długie — idzie się grać. Wtedy to we wszystkich salach panuje największy ruch; wtedy też jest na co patrzeć. I nic dziwnego! Wszak widzi się tu najbogatszych ludzi z całego świata, najpiękniejsze kobiety, najwspanialsze toalety damskie, najcudowniejsze brylanty. Ostatnich widzi się takie mnóstwo, że poprostu oczy bołą patrzeć. Gdzie spojrzeć, wszędzie błyszczą cudowne kolczyki, bajeczne kolie i bransolety, przepyszne pierścionki i pierście-

nie, olbrzymie gwiazdy brylantowe; wszędzie lśnią rubiny i szafiry, mienia się opale i perły, biją tęcze ognie dyamentów; wszędzie, udrapowane w efektowne fałdy, połyskują najwspanialsze plusze, aksamity i atłasy; wszędzie szeleszczą jedwabie, pomieszane z najkosztowniejszymi koronkami; co moment widzi się alabastrowe biusty niewieście, głęboko wydekoltowane, i obnażone ramiona; na każdym kroku spotyka się prześliczne twarze kobiece, cudownie uczesane, przeważnie o farbowanych rudo-złotyach włosach, z powpinanymi kwiatami, z brylantowymi gwiazdami lub półksiężycami; wszędzie czernią się najmodniejsze fraki, kontrastujące z śnieżno-białymi gorsami i krawatami, z gwoździkami lub fiołkami w butonierach. A wszystko to uwija się na tle najpyszniejszych salonów, na tle marmurów, bronzów, najwymyślniejszych ornamentacyj i sztukateryj, na tle olbrzymich gobelinów i olejnych fresków, skąpane w złotawem świetle niezliczonych kinkietów i żyrandolów elektrycznych

Oczarowany, a jednocześnie oszołomiony pięknością tego widoku, Henryk zaczął przechadzać się po wszystkich salach, przypatrując się pięknym kobietom, a zwłaszcza pięknym boginiom z półświatka, od których piękniejszych i piękniej ubranych nie widuje się nigdzie na kuli ziemskiej...

Co chwila zatrzymywał się przy stołach, gdzie grano kartami w *trente et quarante*, gdzie złote stufrankówki, widywane tylko w Monte Carlo, gęsto błyszczały obok niebieskawych banknotów tysiąco-frankowych; gdzie za każdym razem nieprawdopodobne sumy zalegały zielone sukno stołów; gdzie nie brakło i takich, co zawsze stawiali *maximum*, t. j. po 12.000 franków; gdzie już nie widzi się srebra, tylko złoto i banknoty; gdzie najmniejsza stawka wynosi 20 franków, a gdzie gra wielki świat, cały kosmopolityczny arystokratyczno-plutokratyczny *high-life*. Tutaj grywa Rothschild, tutaj zgrywa się Rochefort, tutaj widuje się Vanderbildta i innych sławnych miliarderów amerykańskich, tutaj można się napatrzeć przedstawicielom najznakomitszych arystokracji, poczynawszy od lordów angielskich, a skończywszy na wielkich panach i półpankach polskich, ci bowiem, niepomni sławetnej mowy Bismarcka, nie przestają jeździć do Monaco!

Gdy na zegarze wybiło wpół do 10-ej, dał się słyszeć donośny odgłos elektrycznego dzwonka, co znaczyło, że antrakt się skończył, że ci, co są na operze, powinni wracać do sali teatralnej. Miał się zacząć 4-ty akt *Romea i Julii*; Jan Reszke i Melba mieli odśpiewać nieporównany duet w scenie pożegnania kochanków. Henrykowi przyszło na myśl,

że możeby mu się udało dostać do teatru; z rozkoszą wysłuchałby tego duetu. Nie namyślając się długo, postanowił spróbować szczęścia. W tym celu, wyprzedzając cały barwny tłum fraków i toalet, zmierzających ku wyjściu, szybkim krokiem podążył w tę samą stronę. Spieszył się, bo nietylko pragnął dostać się do sali teatralnej — na co koniecznie musiał wejść w odpowiednie porozumienie z kontrolerem biletów — ale chciał jeszcze zobaczyć przedtem, co porabia baronowa, jak się jej wiedzie od czasu, gdy odszedł od niej: wygrywa czy przegrywa?

Okazało się, że wygrywała i przegrywała; ale widocznie przegrywała więcej, niż wygrywała, oznajmiła bowiem, że zaraz przechodzi do innej sali, że już ma dosyć rulety, więc idzie grać w *trente et quarante*.

— A możeby to odegranie się odłożyć do jutra? zagadnął Henryk, który poznał po głosie baronowej, jak była zemocyonowana.

Ale zamiast odpowiedzi na to pytanie, baronowa poprosiła go, żeby jej kazał podać szklankę limonady, co usłyszawszy Henryk, zaraz poszukał jednego z lokajów w niebieskiej liberyi, roznoszących tace ze szklankami różnych napojów (którymi częstują gratis), i wtedy dopiero, gdy baronowa ugasiła pragnienie, pospieszył ku sali teatralnej.

Po krótkiej pertraktacyi z oddźwięnym, popartej srebrną pięcio-frankówką, gdy w końcu znalazł się w teatrze, właśnie podnoszono kurtynę, tak, iż nie stracił ani jednej nuty z tego boskiego aktu, w którym Romeo żegna się z Julią...

Stojąc z boku, oparty o marmurowy cokół olbrzymiej karyatydy, podtrzymującej renesansowy fryz nad głównem wejściem, całkiem się oddał rozkoszy muzykalnej, a owładnięty nią, oczów nle odrywał od sceny, nie widząc ani przepychu tej sali teatralnej, która pod względem bogactwa może się równać tylko z jednym *foyer* Opery paryskiej, ani publiczności, która zapelniając wszystkie fotele, pstrzyła się malowniczo, zasluchana w cudny śpiew nieporównanej pary artystów.

W całej sali panowała niczem niezakłócona cisza; wszyscy słuchali z zapartym oddechem, nikt nie chrząknął, ani zakaszał. Ze sceny tymczasem, przedstawiającej piękną komnatę romańską, oświetloną jedynie blaskiem księżyca, wpadającym przez otwarte okno, rozlegał się miękki głos tenorowy, pomieszany z rozmarzającym sopranem, orkiestra zaś, złożona z najprzedniejszych solistów, zawodziła tęskne i tragiczne zarazem *pianissimo*, w którym prym trzymały skrzypce i wiolonczela, a niekiedy odzywał się flet, naśladujący śpiew słowika lub skowronka. Aż w końcu nadeszła chwila, bę-

dająca szczytem natchnienia Gounoda, chwila, gdy Romeo śpiewa: *Ce n'est pas l'alouette, c'est le doux rossignol!*... Kiedy opadła zasłona, Henryk przypomniał sobie, iż baronową zostawił w salonach gry, więc choć jeszcze trwały frenetyczne oklaski, wywołujące Reszkego, pospieszył zobaczyć, co się dzieje z jego przyjaciółką? Czy zgrała się do reszty, czy też jest na drodze do odegrania się? Nucąc melodyę z pożegnalnego duetu Romea i Julii, wszedł do wielkiej sali rulety, ale kiedy zbliżył się do stołu, przy którym był zostawił baronową, spostrzegł, że już kto inny siedział na jej miejscu. Zrozumiał, że musiała się udać do salonów *trente et quarante*, nie zwłócząc więc, poszedł dalej, pewny, że ją tam zastanie przy jednym ze stołów. Jakoż nie zawiódł się pod tym względem: baronowa siedziała w ostatniej sali, ale żeby ją dostrzec wśród tłumu, jaki otaczał stół, należało, jak Henryk, mieć sokoli wzrok człowieka zakochanego...

Najmniej ze stu pięćdziesiąt osób skupiło się w środku sali, tworząc kilka pierścieni dokoła stołu, ci zaś, co byli w ostatnich rzędach, najdalej od *croupier'ów* i grających, stawali na krzesłach, ażeby móżdż widzieć to, co się działo na zielonem suknie stołu. A działy się tam rzeczy nie lada, gdyż miano nadzieję — jak o tem Henryka poinformował jeden

z tłoczących się panów — że chwila jeszcze, kilka szczęśliwych pociągnięć, a bank zostanie rozbity.

— Już dziesięć razy z rzędu, mówił Henrykowi jeden z obecnych, wychodzi kolor czerwony, już dziesięć razy z rzędu wszyscy wygrywają, bo nikt nie stawia na czarne. W ciągu dwudziestu minut niespełna bank przegrał przeszło sto tysięcy franków. Niech jeszcze przegra kilka razy, a stół nakryjemy czarnem suknem.

Zaciekawiony tem opowiadaniem, Henryk przeszedł na drugą stronę stołu, gdyż stamtąd mógł lepiej zobaczyć, co się dzieje z jego ukochaną; przystawił sobie krzesło, a gdy, stanawszy na niem, dostrzegł baronowę, osłupiał. Siedziała z roziskrzonymi oczyma, prawie ponsowa na twarzy, z potarganym włosiem, z rozpiętym stanikiem, tak, iż patrząc z góry, zobaczył różowy brzeżek gorsetu i białe koronki pod gorsetem... Zdawała się nie widzieć nic, tylko złoto, banknoty i karty, od których zależała wygrana. Przed nią leżało kilkadziesiąt pomiętych biletów tysiącofrankowych, przyniesionych całym stosem złotych stufrankówek.

Henryk przetarł oczy, nie dowierzając własnemu wzrokowi; zdawało mu się, że śni, zwłaszcza, gdy zobaczył, że baronowa, odliczywszy dwanaście banknotów po tysiąc franków, położyła je na stole na kolor czerwony, gdzie w tej chwili leżały takie

masy złota i banknotów, że pod niemi znikło zielone sukno stołu. Po chwili prowadzący grę *croupier* wyciągnął kartę, i znowu dało się słyszeć przeciągłe westchnienie radości, bo znów wygrał kolor czerwony, a *croupier* wygłosił swoje stereotypowe *Rouge gagne, noir perd!* Z kolei zaczęło się wypłacanie wygranych, co trwało dosyć długo, zważywszy, że bank musiał wypłacić olbrzymią sumę.

Stojący na krześle Henryk, widząc jak *croupier* wypłacał baronowej 12.000 franków, zawołał głośno, że jej winszuje, a baronowa, poznawszy go po głosie, spojrzała w jego stronę, uśmiechnęła się, poczem zaraz postawiła nowe *maximum*, znowu na *rouge*. Henrykowi serce poczęło rozsadzać piersi, gdy patrzył na nią, a jednocześnie, widząc to prawdziwe rozbewstwienie się kobiety, którą kochał, doznawał niewypowiedzianie przykrego uczucia. Uczucie to, jak się przekonał po krótkiej chwili, było tak silne, że w końcu zeskoczył z krzesła, na które zaraz znalazł się amator, i odszedł na drugi koniec sali, gdzie usiadł na aksamitnej kanapie. Miał dosyć tego widoku!... Jakoż w jednej chwili ogarnął go dziwny smutek... Nie wiedział, co mu jest, ale dużoby dał za to, żeby mózg opuścić ten przybytek, aby mózg wyjść z tej dusznej a zatrutej atmosfery; czuł bowiem, że w nim coś bankrutuje,

że traci coś, co mu było drogie, czegoby utracić nie chciał, bo tem czemś była wiara w lepszą część człowieka, były pewne złudzenia, z którymi nam jest tak dobrze w życiu, a bez których żyć niepodobna. Ale musiał czekać na baronową, którejby teraz nikt nie zdołał odciągnąć od tego fatalnego stołu. Bo był to — w oczach grających — błogosławiony stół szczęścia, przy którym w tej chwili wygrywano fortuny, a bank przegrywał krocie.

I przegrywał ciągle, raz po raz. Ciągłe wychodził kolor czerwony, na który stawiali wszyscy, kiedy ta połowa stołu, gdzie było *noir*, ciągle pozostawała pusta, świecąc swem zielonem sukniem. Tymczasem druga połowa była formalnie zasypana stosami banknotów i złota. I powtórzyło się to 18 razy z rzędu, a baronowa aż 15 razy wygrała po 12.000 franków. Jeszcze jedna szczęśliwa karta, a bank będzie rozbity! Niestety, Fortuna odwróciła się nagle: wyszedł kolor czarny. Tym razem wygrywał bank. *Croupier* rzekł tryumfująco: *Noir gagne, rouge perd!* a kiedy wymawiał te słowa, dokoła zaległa cisza. Zaraz kilkanaście osób powstało ze swoich miejsc, a w ich liczbie powstała także i baronowa.

Spostrzegłszy, jak przeciskała się przez zwartą obręcz grających i spektatorów, Henryk natych-

miast podbiegł ku niej, a dobrze uczynił, zdążając na jej spotkanie, gdyż ledwo mogła unieść zabrane złoto i banknoty. Niosła je w zakasany przodzie sukni, jak w fartuchu, obu rękoma przytrzymując ściągnięte brzegi falbany, i aż nieco pochyłona nad tym niezwykłym ciężarem. Na to, iż jednocześnie pozwalała widzieć żółtą jedwabną halkę z czarnymi koronkami u dołu, nie zdawała się zwracać uwagi. A zresztą innego sposobu, by zabrać wygrane pieniądze, nie było; więc choć manipulacya z suknią, do której się uciekła w potrzebie, mogła razić niejednen zmysł estetyczny, to jednak, w braku innej lepszej, i ta nie była do pogardzenia, zwłaszcza w tak wyjątkowej okoliczności!...

Odprowadzana wzrokiem wszystkich obecnych, którzy nie bez zazdrości a ze zdumieniem patrzyli na ten jej tryumfalny odwrót, eskortowana przez Henryka, baronowa przeszła na koniec sali, gdzie, zajmwszy miejsce na wygodnej otomanie, zaczęła obliczać wygraną. Dopomagał jej w tem Henryk. Ona liczyła papiery tysiącofrankowe, których zdołała naliczyć 205, a ręce jej drżały, kiedy te banknoty układała jedne na drugie, w jeden równy pakiet; Henryk zaś rachował wielkie sztuki złota, których naliczył kilkadziesiąt sztuk, nie licząc małych 20-frankówek, których było za 3.000 fr. przeszło.

Nadto pomiędzy papierami znalazło się mnóstwo papierów 100 i 500-frankowych, oraz kilkanaście po 50 franków. Jednem słowem ogólna wygrana wynosiła 237.800 franków z okładem.

Baronowej zdawało się, że śni; patrzyła na te pieniądze, które już były fortuną, i nie mogła uwierzyć, że to są jej pieniądze, wygrane, wydarto z paszczy tego molocha, który rujnuje swoje ofiary, ale ich nie zwykł z bogacać. Musiała wmawiać w siebie, że to nie sen, że to rzeczywistość, że wygrała naprawdę. Uszczęśliwiona, rozpromieniona i podniecona do hyperekscytacji, z oczyma roziskrzonemi, z gorączkowemi wypiekami na twarzy, z włosami w najwyższym nieładzie, nie posiadała się z radości, a jednocześnie wątpiła o swem szczęściu, choć jej Henryk wieszował, choć przypominał, że nie ona jedna wygrała tak wielką sumę, bo i ci wszyscy, co wstali od stołu, kiedy bank wygrał w końcu, także obłowili się znacznie.

— Szkoda tylko, że za tym 19-tym razem nie postawiła na *noir*, a tak przegrałam 12.000 franków.

I żałowała tej ostatniej stawki, jakby zapominała, że wygrała prawie dwadzieścia razy tyle.

Upłynęło parę minut. Baronowa, nie mogąc dać sobie rady z grubym pakietem banknotów 1000-fr. dała go w końcu do przechowania Henrykowi, ten

zaś, zmieniawszy dopiero co u głównego *croupier'a* wygrane złoto na papiery, zdawał się upadać pod brzemieniem kolosalnej sumy, którą miał w tej chwili na piersiach. I tak siedząc obok siebie, milczeli, oboje zamyśleni czegoś, a przede wszystkim jeszcze nie mogący ochłonąć z nadmiaru wzruszeń, doznanych w ciągu ostatniej półgodziny. Nagle baronowa oparła się o niego, tak, iż poczuł jej rozluźnione włosy na swojej szyi, a gdy spojrzał na nią, aż się przeląkł, tak była blada,

— Co pani jest? spytał zaniepokoiony, bo przstraszyła go ta raptowna bladość na twarzy baronowej, którą przed chwilą jeszcze widział zbyt czerwoną i rozgorączkowaną.

— Słabo mi się zrobiło odrazu, odrzekła zmienionym głosem. Tak mi jest, jakbym była blizką zemdlenia. Tak mnie to wyczerpało.

Na szczęście, Henryk miał przy sobie maleńki flakonik z solami angielskimi, który zaraz dał wachać baronowej. To orzeźwiło ją cokolwiek...

— *Merci*, rzekła, powoli przychodząc do siebie, a kiedy mówiła to słowo podziękowania, z taką wdzięcznością spojrzała na Henryka, że on, gdyby nie to, iż nie byli sami, rzuciłby się jej do nóg, całując jej ręce, jej suknię. Albowiem to *Merci* brzmiało tak, było wypowiedziane takim głosem, tak słodko, tak czule, że można je było wziąć za

Je t'aime. Henryk ucałował rękę baronowej, zapominając o tem przykrem uczuciu, jakiego doznawał na jej widok, kiedy ją widział grającą. Zapomniał o tem wrażeniu, a patrząc na tę śliczną główkę, na koronkowy przód stanika, którego baronowa nie zdążyła zapiąć, i czując ciepło tego cudnego ciała, które wyczerpane i osłabione, swym lubym ciężarem opierało się o jego ramię, mimowoli zatopił się w jakimś erotycznym marzeniu, a to marzenie wcale mu się nie wydało niepodobnem do osiągnięcia...

I znów nastała chwila milczenia, którą tym razem pierwsza przerwała baronowa; to zaś, co powiedziała, brzmiało bardzo prozaicznie.

— Jestem głodna. Dopiero teraz czuję, żem prawie nie jadła obiadu.

Henrykowi, kiedy usłyszał te słowa, błysnęła szalona myśl, myśl, która go podnieciła w jednym mgnieniu oka, a z którą zdradził się o tyle tylko, że się oświadczył z następującą propozycją:

— A co byś pani powiedziała na to, gdybyśmy tak poszli do *Hôtel de Paris*...

— Na kolację?

— Na kolację.

— Kiedy indziej może bym nie poszła. Dziś pójdę. Najprzód dlatego, że jestem szalenie głó-

dna i koniecznie coś zjeść muszę, a powtóre, nie codzień wygrywa się przeszło 200.000 franków.

I poszli. Myśl, iż idą na kolację, rozweseliła i bawiła oboje. Mówiąc o tem, dowcipkując na ten temat, raz po raz wybuchali śmiechem. Jeszcze nie pili szampana, a już byli, jak po szampanie. Baronowa, na propozycję Henryka, żeby go wzięła pod rękę, nie widziała w tem nic *shocking*, a i on także w jednej chwili nabrał jakiejś szczególniejszej fantazyi i awanturniczości. W przedśionku, gdy przechodzili pod zegarem, wskazującym 3 kwadrans na 11-tą, Henryk mimowoli zaczął się uśmiechać do siebie, a w oczach miał jakiś płomień, któryby mógł zaniepokoić barona van Newstraten.

IV.

Kiedy wybiła jedenasta, w jednym z saloników zbytłownej restauracyi *Hôtel de Paris*, przy kwintnie nakrytym stoliku na dwie osoby, baronowa, siedząca *vis à vis* Henryka, który jej właśnie dolewał szampana, była w doskonałym humorze. Śmiała się co chwila, gdyż bawiła ją ta «kolacya w gabinecie», spożywana w towarzystwie młodego, i to bardzo przystojnego mężczyzny. I on był w znakomitym humorze. Nie tał nawet, iż wszyst-

kłegoby się spodziewał po dzisiejszej eskapadzie, tylko nie podobnego epilogu (tembardziej, że zaczął już uważać ten epilog, chociaż się nie przyznawał do tego, za właściwy prolog dopiero). Baronowa rada była niezmiernie, że się zdecydowała na ten szalony wybryk, dowodząc sofistycznie, że w takim dniu, jak dzisiejszy, kiedy się wygrało taką sumę, można chwilowo zapomnieć o konwensansie, o tem, co wypada, a co nie wypada. Henryk był tego samego zdania...

Tymczasem wszystko, co podawano, było wyśmienite, począwszy od angielskich ostryg tuczonych *Selected*, a skończywszy na szampanie *Cremant Rose*. Właśnie delektowali się niezrównaną doskonałością po mistrzowsku przyrządzonych *filets de chevreuil*, kiedy nagle, od strony dworca kolejowego, dał się słyszeć świst lokomotywy... Wesołej i rozbawionej towarzyszce Henryka, gdy usłyszała ten świst, widelec wypadł z ręki.

— Co znaczy ten świst? zapytała poważnie, z odcieniem gniewu w głosie, zwracając się do Henryka, którego mierzyła druzgocącym spojrzeniem.

— Znaczy to, odrzekł Henryk, że jest wpół do 12-ej, i że ostatni pociąg, który stąd jedzie do Nizy, właśnie odjechał. Prześlepiłszy go.

— I cóż będzie teraz?

— Trudno, musimy tu, chcemy czy nie chcemy, zostać do następnego pociągu, który odchodzi o 9-ej rano.

.
.
.
.
.
.

I stało się, jak powiedział Henryk: do Nizy wrócili dopiero nazajutrz, i to nie pierwszym pociągiem, o 9-ej, lecz drugim, o wpół do 12-ej. Wrócili razem, a w całkiem odmiennym nastroju, aniżeli wyjeżdżali wczoraj. Henryk sprawiał wrażenie, że się uważa za najszczęśliwszego z ludzi, a baronowa, choć jej się ciągle zdawało, że się jej wszyscy przypatrują jakoś dziwnie, była jeszcze piękniejszą, niż zwykle. Henryk nie mógł się jej dosyć napatrzeć; tak samo zaś, jak ona wczoraj, kiedy liczyła wygrane pieniądze, nie wierzyła, że to jawa nie sen, podobnie i on w tej chwili, kiedy pomyślał o wszystkim, co świeżo przeżył, nie wierzył własnemu szczęściu: zdawało mu się po prostu, że śnił rozkosznie.

Mimo to z kolei nie wracali razem. Tak chciała baronowa. Ona pojechała pierwsza, już z ułożoną wymówką, usprawiedliwiającą ten spóźniony po-

wrót; Henryk zaś, stosownie do polecenia swej *chérie*, został na stacyi, skąd, zanim powrócił do hotelu, wysłał następującą depeszę:

Baron Feliks van Newstraten,

Rue de Longchamps, 140, Paryż.

*Wygrałam w Monte Carlo 287 000 franków.
Dałam słowo, że więcej grać nie będę. List w drodze.*

Twoja Nelly.



W MONTMORENCY.

SIELANKA

Z ŻYCIA JENERAŁA KNIAZIEWICZA

(1834)

Był świeży poranek lipcowy. Słońce już stało dość wysoko, a obfita rosa, której rzęsiste krople, niby miriady dyamentów, błyszczały na wszystkich trawach przydrożnych, zapowiadała dzień pogodny i upalny. Na niebie, jak okiem sięgnąć, nigdzie nie bielita się chociażby drobna chmurka: przesłonięte lekkim oparem, zdawało się uśmiechać, jak się uśmiecha narzeczona młoda poprzez muślin ślubnego welonu. Opar ów, unosząc się nad nierówną powierzchnią ziemi, rozsnuwał się nad rozległymi obszarami łąk, pól i zakrzewionych nieużytków, a okoliczne wzgórza i ciemno-zielone szmaty lesistych dąbrów, owiane jego mlecznymi smugami, nabierały jakiegoś fantastycznego uroku, zdawały się jakby wyższe. Podobne wrażenie czynił i gotycki kościółek poblizkiego miasteczka Montmorency, kościółek stary niezmiernie, który, wieńcząc szczyt dość wyniosłej góry, nie tylko stanowił najwyższy punkt malowniczego krajobrazu, ale wystreślał ponad czerwone dachy domostw, kąpiących

się w różnorodnej zieleni sadów. Wszystko to, w łagodnem oświetleniu słonecznem, tchnęło spokojem, rzekłbyś: jeszcze nie przebudziło się ze snu. W powietrzu, wilgotnem i orzeźwiającem swym porannym chłodem, już rozlegały się dzwonienia skowronków; a jednak wystarczało spojrzeć na pustą drogę, biegnącą środkiem doliny, ażeby się domyślić, że godzina była wczesna, że dopiero wstały skowronki: nawet bydła jeszcze nie wypędzono na paszę. W wylocie doliny od strony Paryża, który stąd widać zwykle majaczejący na krańcu wldnokręgu, tuman był tak gęsty, że przysłaniał nawet niedalekie Anghien.

Z tumanu tego, w którym także gubił się jeden koniec drogi, zaczęła się wyłaniać postać jeźdźca, zdążającego ku Montmorency. Jechał szybko, dobrym kłusem, a gdy się zbliżył o tyle, że już można było dosłyszeć wesołe prychanie konia, okazało się, że wierzchowiec był zwykłym konikiem chłopskim, gniadej maści, jeździec zaś, barczysty, słusznego wzrostu, o twarzy wygolonej i czerstwej, nie wyglądał na więcej, niż na lat sześćdziesiąt. W dużym słomianym kapeluszu pasterskim na głowie, w obcisłym, mocno wytartym surducie brązowego koloru, na koniu trzymał się prosto, a z tego, jak siedział w siodle, jak trzymał nogi w strzemionach, nie trudno dawało się

odgadnąć, że co najmniej pół życia musiał przesiedzieć na koniu, i to na koniu żołnierskim. Od całej postaci jego, pięknej i silnej, a sympatycznej już na pierwszy rzut oka, biło coś żołnierskiego, coś bohaterskiego. Zresztą legitymował się napoleońską Legią honorową, której wielki krzyż komandorski, zwieszony na czerwonej wstążce obok halsztuku, zdobił mu piersi pod szyją. Widocznie był dumny z tej odznaki, skoro się z nią nie rozstawał nawet na czas rannej przejażdżki.

Jeźdźcem tym, z którego błękitnych słowiańskich oczu zdawała się wyglądać jeszcze i polska fantazja, był generał Karol Kniaziewicz, ten sam, który niegdyś «rozkazy dawał z Kapitolu

I zwycięzca, wydartych potomkom Cezarów
Rzucił w oczy Francuzom sto krwawych sztandarów».

Obecnie bawił w Montmorency, w którym już od lat paru — odkąd osiadł wraz z większością emigracyi na paryzkim bruku — stale spędzał letnie miesiące. Lubił tę zaciszną wioskę: raz dla ciszy i spokoju, za którymi tak się tęskni wśród rozgardyaszu ulic paryzkich, a powtórę, że mu okolica tutejsza, górzysta i lesista, pełna rozdołów i jarów, przypominała krajobrazy litewskie...

Ale były jeszcze i inne powody, dla których generał tak sobie upodobał Montmorency: mieszka-

jąc tutaj, był oddalony od denerwującej wrzawy emigracyjnej. Tutaj nie słyszał zażartych dysput politycznych przy ulicy Taranne, gdzie jedni gardłowali za sejmem, a drudzy, pomimo kompletu 33 posłów, dowodzili jego bezużyteczności; tutaj nie słyszał, jak wojskowi powstawali na reprezentantów sejmu, a ci całą winę za wszystko, co się stało, zwalali na wojskowych; tutaj nie słyszał namiętnych wystąpień demokratów, zarzucających zdradę arystokratom, i arystokratów, zarzucających zdradę demokratom; tutaj nie potrzebował się stykać ani z «obłąkanymi i wściekłymi» jakobinami Lelewela i Mochnackiego, ani z rewolucjonistami w rodzaju Gurowskich, Pułaskich i Krępowieckich, ani z monarchistami Czartoryskiego i Platera (choć z tymi, jako najbardziej umiarkowanymi i dojrzałymi politycznie, solidaryzował się na wielu punktach). Już miał dosyć tego babilońskiego pomieszania języków, tego emigracyjnego *charivari*! Za bardzo go irytowała ta atmosfera sejmikowych dyskusyj, kończących się kłótniami, kłótni, kończących się obelgami, i obelg, kończących się pojedynkami!...

W Montmorency był poza tem wszystkim: żył sobie zacisznie, jak ongi w swoich rodzinnych Zielińcach; prowadził życie wiejskie, sielskie, wolne od wszelkich zgrzytów. Raniutko, o godzinie pię-

tej, zaraz po wschodzie słońca, odbywał długie przejażdżki konno ¹⁾, potem malował, co mu przyjemnie czas skracało; niekiedy zaś, skoro się stęsknił za Ursynem, zaglądał na kilka godzin do Paryża, by pogawędzić ze starym przyjacielem. Czasami zaglądał znów Niemcewicz do niego do Montmorency, a nieraz i pozostawał tu dłużej. Wtedy, w czasie wspólnych spacerów, które sędziwy autor *Śpiewów historycznych*, jako słabszy na siłach, odbywał na wynajętym osiołku, wspominali sobie dawne czasy, jak to *illo tempore* bywało, a gdy wrócili do domu, również woleli mówić o przeszłości, aniżeli o teraźniejszości.

W tym roku — a był to rok 1834 — dotrzymywał im towarzystwa jeszcze i przezacny Włtwicki, który na całe lato także osiadł w zacisznem Montmorency. Kochany człowiek, złote serce, choć do rany przyłóż! Mieszkając blisko siebie, codziennie po kilka godzin spędzali razem... Niestety, i na słońcu są plamy, a pocciwy pan Stefan, tak miły pod każdym względem towarzysz, nie stanowił wyjątku w tej nieubłaganej regule. I on nie był bez wad! W każdym razie miał je-

¹⁾ «Kniaziewicz, stary żołnierz, czerstwy jeszcze, co dzień o godzinie piątej zrana, konno dalekie robił przejażdżki, a potem całemi dniami malował krajobrazy...»
L. Gadon: *Z życia Polaków we Francyi*.

dną, niewinną może i zacząć w gruncie rzeczy, ale dającą się czasem we znaki: oto za bardzo był literatem. Jako taki, doprowadzał przywiązanie do wszystkiego, co swojskie, co narodowe, poprostu aż do przesady niemal. Sympatyczna wada, niema co mówić, i możnaby mu jej nawet powinszować, ale wskutek niej, ile razy się spotkali, zawsze w nim brał górę pisarz nad towarzyszem, tak, iż nigdy ani na chwilę nie zapominając o tem, że znajduje się z *generałem* Kniaziewiczem, starał się go wyciągać na opowiadania, prosząc, ażeby mu jak najwięcej prawił o swych różnych przejściach wojennych z przed roku 1815, o kampaniach włoskich i austriackich, o Moskwie i Berezynie. Są ludzie, którym to sprawia przyjemność, gdy mogą mówić o sobie; on jednak, Kniaziewicz, stary żołnierz napoleoński, nie należał do ludzi tej kategorii. To też nie zawsze był rad tym prośbom pana Stefana, zwłaszcza, że ten zaraz notował wszystko, co usłyszał. Oj, ci literaci! Gdyby nie ten *morbus litterarius*, byłby z pana Stefana nieoceniony kammiliton! Co za miły człowiek! Jaka przyjemność pójść z nim na przechadzkę, gawędząc o tem i o owem! A jak dobrze przytem gra w szachy... Byle sobie tylko nie przypomniął o *generale* Kniaziewiczu, byle w nim nie przebudził się literat, historyk, kronikarz. Szczególne zamię-

wanie! Łapczywy na wiadomości z czasów legionów, gdy przypadkiem zgadało się o nich, zaraz zaczynał swe indagacye, a co moment sięgał po notes i ołówek.

Jemu tymczasem, jako *generałowi* na emeryturze, nie zawsze chciało się mówić o swej młodości. Prawiąc o niej (bo najczęściej dawał się uprosić), mimowoli przeżywał ją na nowo. A przytem zdarzało się niejednokrotnie, że mu łzami zachodziły oczy, gdy sobie przypominał owe dawne czasy... Bo kiedy je porównywał z chwilą obecną, to, dalibóg, że wołałby o nich zapomnieć. Co za szalona różnica! Co za przepaść pomiędzy temi dwiema epokami! Wtedy był Napoleon, wódz-bohater, Bóg wojny, a dziś? Dziś panował Ludwik-Filip, król-mieszczanin, zdobywający sobie popularność — nie sympatyę — czerwonym parasolem! *Tempora mutantur...* W takich czasach, nie dziw, że człowieka, co niegdyś służył pod Napoleonem, nieraz bolało rozpamiętywanie tego, co przeżył... Niestety, był jeszcze inny powód, dla którego wołał nie poruszać przeszłości, tak pełnej chwały i szczęku oręża, choć ją o wiele wyżej stawiał od burżuazyjno-episerskiej terażniejszości. Czemu? Bo na dnie tej wielkiej epopei, której Achillesem był Bonaparte, brakło dobrej woli; bo okazało się, że wszystkie bohaterskie czyny, któ-

remi tak się wstawiły polskie legiony i ich generałowie, były ofiarą daremną, człowiek bowiem, któremu służyli tak wiernie, zwodził ich, wyzyskiwał ich zapał i miłość ojczyzny, nie myśląc o dotrzymaniu swych obietnic, za które oni przelewali krew... Tylu poległo dla niego, wszyscy zaś, umierając, czy to ginęli na polu bitwy, czy marzli w śniegach Rosyi, czy tonęli pod krami Berezyny, zawsze umierali z jednym okrzykiem na ustach: *Vive l'Empereur!* Wierzyli mu!... On, Kniaziewicz, wierzył weń także, i to nie tylko w jego genjusz, ale i w prawość zamiarów! To też, gdy przyszło rozczarowanie, najchętniej nie myślał o tej epoce bolesnych i krwawych złudzeń... Z drugiej strony jednakże, pomimo tego rozczarowania, przyznawał, że we wszystkim, co się działo pod egidą Napoleona, była jakaś posągowa wielkość, a w tych, co walczyli pod nim, co mu życie nieśli w ofierze, były dusze bohaterskie, nie na miarę krawca lecz Fidyasza, pełne poświęcenia dla idei. A dziś? Dzisiaj doszło do tego, że nawet on doczekał się od swych własnych ziomków — miana zdrajcy! Dziś wszystko było w rozbiciu, a rej wodzili Gurrowscy i Krępowieccy, ujadający z pod czerwonego płaszcza Lelewela! I jakże, wobec takich widnokręgów, nie miał być smutnym, on, dawny

wódz legionów, gdy mu się przypomniały ubiegłe lata walk i bojów!?

Zresztą, były to czasy młodości, gdy człowiek czuł się rzeźkim i pełnym fantazyi, a fantazyi tej, tak potrzebnej żołnierzowi, przyświecała gwiazda nadziei i chwały. Dzisiaj ta gwiazda zagasła, tak jak uleciała młodość. Przyszła starość, której brzemie powiększało się z dniem każdym, a równocześnie pierzchły złudzenia; to zaś, co gdzieś na dnie duszy, niby trujący osad, zostało, niejednokrotnie równało się zwątpieniu o przyszłości. Dawniej nie przewidywał, jak obecnie, że mu przyjdzie umrzeć na wygnaniu, na obcej ziemi; dawniej nie miał tej złowrogiej pewności, co dziś, że już nie zobaczy ojczyzny, że nie wróci w strony rodzinne... Gdzie mu wypadnie złożyć stare skołatane kości, nie wiedział; przeczuwając jednak, że ostatnie tchnienie wyda we Francyi, w Paryżu najprawdopodobniej, już sobie nawet wybrał miejsce na grób: na cmentarzu w Montmorency.

Tymczasem, Bogu dzięki, nie miał powodu myśleć o śmierci, bo czuł się zdrow i krzepki, a w tej chwili, wracając z dwugodzinnej przejażdżki, wracał w pogodnem usposobieniu, z przyjemnością myśląc o śniadaniu... Refleksye, które go napastowały w Paryżu, gdy wracał z różnych posiedzeń i zebrań emigracyjnych, teraz mu nie

dokuczały: był wesół, kontent, że się przetrząsł, a przedewszystkiem miał doskonały apetyt, jak za najlepszych czasów żołnierskich. Jakoż nie wstrzymywał konia, lecz puściwszy cugle, pozwalał mu bledz wyciągniętym klusem; domyślał się zresztą, że i kobyle było pilno do żłobu.

Wreszcie, minąwszy rynek i główną ulicę, zatrzymał się przed domem. Położony już za obrębem miasteczka, przy drodze usadzonej drzewami, był to domek niewielki, parterowy — jak większość w Montmorency — a stał w ładnym oparzanym ogrodzie, pełnym kwiatów i drzew owocowych. Należał do zamożnego chłopca miejscowego. Syn jego, 17-letni wyrostek, który właśnie graczał ścieżki, spostrzegłszy, że *Monsieur le Général* zajechał przed furtkę, wybiegł ku niemu, a gdy sędziwy wojak zsiadł z klaczy — co jeszcze czynił bardzo chwacko — odprowadził ją za uzdę do stajni. W tej samej chwili, gdy przybyły, ocierając czerwoną chustką pot z czoła, zbliżał się do drzwi, ukazała się w nich korpulentna postać gospodyni, która, przywitawszy się ze swym lokatorem, po pierwszych zdawkowych pytaniach: *Vous allez bien ?* Jak mu się spało? Jak się czuje po dzisiejszej przejażdżce? Gdzie był? etc., etc. — zapytała go w końcu: czy życzy sobie wypić kawę w pokoju, czy może woli w altance, na

świeżem powietrzu? Nie namysławiając się długo, odrzekł, że woli w altance, a jednocześnie, sięgnąwszy do kieszeni, wyjął piękną emaliowaną tabakierkę, z którą zwracając się do niemłodej już, ale jeszcze powabnej *Madame*, poczęstował ją tabaką. Uśmiechnięta gospodyni, otarłszy palce o fartuch, wzięła szczyptę, podziękowała, zażyła, poczem, nie czekając, aż jenerał uczyni to samo, znikła w głębi sieni. Po krótkiej chwili, z poza drzwi, prowadzących do kuchni, dało się słyszeć donośne kichnięcie, jedno, drugie, ale nim przyszło do trzeciego, zdążył także kichnąć właściciel pięknej tabakierki, a kichnął tak silnie, że mu aż oczy zaszczyły łzami, że aż z dachu zerwały się gołębice... Mimo to zażył raz jeszcze, a zażywwszy, zwrócił się w stronę niewielkiej altanki, która, ocieniona winem i powojem, stała opodal. Po obu bokach szerokiej ścieżki, co prowadziła do niej, kwitło mnóstwo rezedy i bratków, uperłonych kroplami rosy. Jenerał, poglądając na nie, mimowoli pomyślał o tych rezedach i bratkach, które niegdyś widział kwitnące w Zielińcach; poczem zdjawszy kapelusz, siadł w altanie, za okrągłym stołem, przy którym niebawem miał spożyć pierwsze śniadanie.

Nie dano mu czekać długo, a młoda i świeża, jak krew z mlekiem, blondyneczka, która się zjawiała z pełną tacą w ręku, całkiem usprawiedli-

wiała ten uśmiech, jakim ją powitano, gdy weszła do altany. Była to córka gospodarza, wielka faworytka jenerała. Miał słabość do niej... Choćby był najbardziej chmurny, w najgorszym humorze, zawsze mu oblicze rozpogadzało się na widok tej hożej dziewczyny. Cóż dopiero, gdy mu się przymówiła o tabakę!... I teraz, kiedy przyszła ze śniadaniem, uśmiechnięta i pełna powabu, o którym zdawała się wiedzieć, chętnie przystał na jej uprzejmą propozycję, by się pozwolił wyręczyć w smarowaniu chleba, a nawet, kiedy sobie zaczął nalewać kawę, to więcej, niż na szklankę, patrzył na rumiane i jędrne policzki młodziutkiej wieśniaczki... Istotnie była śliczna! Kiedy krajała chleb a potem smarowała go świeżem masłem, czyniła to z wdziękiem, który nie uszedł baczności jenerała. To też, lubo już ósmy krzyżyk dźwigał na swych szerokich barkach, tylko mu się oczy śmiały do niej. Niedarmo był żołnierzem...

Po śniadaniu, do którego mu uroczą *Sophinette* przyniosła także dwa świeżo z Paryża nadeszłe dzienniki, francuski *Journal des Débats* i polski *Pamiętnik emigracyi*, nie zapomniał o gołębiach i wróblach, które zawsze co rano karmił ośrodkiem chleba, a które przyzwyczajone do tej uczty, zawczasu już krążyły w pobliżu... Nakarmiwszy je, przespacerował się trochę po ogrodzie, popatrzył

na kłęb róż sztamowych, których rozkwit śledził z upodobaniem, porozmawiał z gospodarzem, zapalonym napoleonistą, żywo interesującym się kwestyami politycznymi, a sympatyzującym z opozycją przeciwko Ludwikowi Filipowi, aż wreszcie, widząc, że dzień zrobił się cudowny, że wszystko, skąpane w przedziwnym blasku słonecznym, nabrało przepysznego kolorytu, udał się do swego pokoju, a kiedy po chwili wyszedł z sieni, był w białym pudermanie, z czerwonym parasolem i składanymi staluzkami w jednej ręce, a teczką i pudełkiem z farbami w drugiej.

W kwadrans później, o kilkadziesiąt kroków od domu, nieopodal drogi, na niewielkim wzgórku, czerwienił się rozpięty parasol, przytwierdzony do grubego kija, pod parasolem zaś, niby pod wielkim muchomorem, pochylony nad staluzkami siedział na dużym kamieniu generał, z fajeczką w ustach, z porcelanową paletką w lewym ręku, i malował pobliski widoczek. Za nim, przypatrując się jego robocie, stała pstra gromadka dzieciaków wiejskich, z zajęciem śledzących każdy ruch pędzelka, z widoczną ciekawością przypatrujących się to porcelanowej paletce do mieszania farb, to buteleczce z wodą, przytwierdzoną z boku staluzek. Tymczasem generał, nic sobie nie robiąc z tego

małoletniego *jury*, o tyle tylko przerywał malowanie, o ile mu zgasta fajeczka.

To, że musiał malować pod okiem małych natrętów, nie robiło mu różnicy. Zwykle bowiem, gdy się oddawał tej swojej ulubionej rozrywce, za plecami miewał taką galeryę... Był przyzwyczajony do niej, tembardziej, że pamiętał czasy, kiedy ta galerya nie składała się, jak teraz, z dzieci wiejskich, ale z oficerów i wyższych wojskowych napoleońskich, z równych mu wiekiem i rangą towarzyszków broni, niekiedy z samego cesarza i jego sztabu. Od dziecka bowiem, mając pociąg do pędzla, pociąg, który u niego szedł w parze z nie-mniejszym pociągiem do pióra, od najmłodszych lat zawsze się woził z przyborami do malowania, z zapalem malując pejzaże, do czego mu wszyscy przyznawali pewien artystyczny talencik. Jakkolwiek było z tym talentem, jedno nie ulegało wątpliwości, że mu malowanie krajobrazów, których malowniczość odczuwał i rozumiał, sprawiało wielką przyjemność. Kto wie nawet, czy, gdyby nie był został żołnierzem, nie poświęciłby się malarstwu. W każdym razie i jako żołnierz nie rozstawał się z farbami, a niech tylko zdarzyło się jakieś *armistitium*, ~~zawaz~~, odpasawszy pałasz, brał się do malowania, skrupulatnie chowając wszystko, co namalował. Tym sposobem, z biegiem lat, doszedł

do olbrzymiej kolekcji swych obrazków, bądź malowanych akwarelą, bądź sepią, bądź olejno, których całe teki zawsze i wszędzie woził z sobą ¹⁾. A gdzie ich nie malował, i w jakich okolicznościach! Ze wszystkich kampanij napoleońskich, z Włoch, z Austrii, z Rosyi, zewsząd, gdzie walczyły jego pułki, on, oprócz sławy nieustraszonego wodza, przywoził mnóstwo pejzażów, malowanych w obozach, na tornistrze lub bębnie, w przerwach pomiędzy dwiema bitwami, a często na parę godzin przed bitwą! I obecnie, gdy nie miał innego zajęcia, nie zaniedbywał ulubionej rozrywki, która mu nie tylko, jak mówił, skracala czas, ale nadto dawała chwilowe zapomnienie o niejednem, o czem jak najmniej myśleć pragnął. To też zdarzało się nieraz, że całemi dniami siadywał przy sztalugach, a znany był w całym Montmorency i okolicy, jako ten *vieux general*, co to rano jeździ konno, a później maluje.

Ale znany był i z czegoś więcej jeszcze; oto, jeżeli był w dobrym humorze, a ktoś mu się podobał, to go częstował tabaką. Wszyscy wiedzieli przytem, że miał prześliczną tabakierkę z minia-

¹⁾ Obecnie wszystkie te teki z malowanymi przez Kniażewicza obrazkami, znajdują się w zbiorach Biblioteki polskiej w Paryżu.

turą Napoleona, tabakierkę, którą niegdyś dostał od samego cesarza. Nawet małe wyrostki z Montmorency, u których weszło w zwyczaj, że gdy przechodził ulicą, salutowali go, jak żołnierze, nawet i one wiedziały o tej historycznej tabakierce...

Malcy, którzy go i w tej chwili otaczali półkolem, także nie stanowili wyjątku pod tym względem: najlepszy dowód, że gdy generał, zatknąwszy pędzelek za ucho, sięgnął do kieszeni po tabakierkę, odrazu powstał za jego plecami szmer, chłopcy zaczęli się trącać, mrugać na siebie, aż w końcu, gdy generał zażył tabaki, jeden z nich, wypchnięty przez swych towarzyszy, także się przymówił o małą szczyptę; a gdy doń generał, uśmiechając się, wyciągnął tabakierkę, natychmiast znalazło się więcej amatorów. Staruszek częstował wszystkich kolejno, a jeszcze nie zdążył poczęstować ostatniego, gdy już pierwszy kichnął raz i drugi. Za nim poszli i inni, a jeśli to kichanie małych wyrostków, przeplatane sopranowymi wybuchami śmiechu, dało się porównać do suchych strzałów karabinowych, to w końcu przyszła kolej i na huk armatni: kichnął sam generał. Kichnąwszy, wyjął czerwoną chustkę jedwabną, utarł nos, a gdy schowawszy chustkę, chciał również schować i tabakierkę, usłyszał piskliwy chór próśb, ażeby pokazał portret cesarza, wymalowany na odwrotnej

stronie denka. Sędziwy napoleonista oczywiście nie odmówił tej prośbie: przeciwnie, byłoby mu przykro, gdyby musiał schować tabakierkę, nie pokazawszy miniatury cesarza. Gdy otworzył pudełko, chłopcy, ciekawi obrazka, cisnęli się jedni przez drugich, gapiąc się na małą główkę Napoleona w znanym kapeluszu, i gdy jedni pytali się naiwnie: *Qui est ça?* Inni pouczali ich, sami nie więcej wiedząc od nich: *C'est l'Empereur!* «*Napoléon*», dodawał generał, a oni, z nosami wetkniętymi prawie w samą tabakierkę, powtarzali: *Napoléon!* *Tiens, tiens, tiens! Mais il est beau, n'est ce pas?* «*Oh, oui*, przytakiwał generał, *il était très beau*». I zapominając, że mu tymczasem fajka zgasła, a pędzelek schnie za uchem, zaczął im — nie chowając tabakierki — opowiadać o wielkim wojowniku, a oni słuchali, już nie patrząc na wizerunek cesarza, lecz zapatrzeni w twarz generała, którego oczy, gdy mówił, powoli rozpłomieniały się jakimś młodzieńczym ogniem...

Ale niebawem musiał przerwać swe opowiadanie, zauważył bowiem, że idzie pocziwy pan Stefan. Zawsze elegant! Nawet na wsi ubierał się jak dandys. I teraz był ubrany tak, jakby szedł do Lasku Bulońskiego, lub do *Jardin des Tuilleries*. W cylindrze, w czarnym halsztuku jedwabnym, w długim granatowym surducie angielskim, mocno

wciętym w pasie, w blado-żółtej kamizelce w jakieś kwiaty, w jasnych kraciastych spodniach, w rękawiczkach, z laską w rękę, z różą w butonierce, robił wrażenie figurki z żurnalu, a już na kogo wyglądał najmniej, to na literata-emigranta. A jednak, choć młody jeszcze, bo liczył sobie dopiero lat 34, i choć go łatwiej było wziąć za angielskiego *petit maître'a*, aniżeli za człowieka poważnego i myślącego, był nim w każdym calu, co mu zresztą nie przeszkadzało myśleć o podbijaniu serc niewieścich... Jenerał lubił go bardzo, a w ciągu tego lata, odkąd zamieszkali w Montmorency, ogromnie sobie chwalił jego towarzystwo, podziwiając jego fanatyczną miłość do wszystkiego, co polskie, jego kult dla przeszłości narodowej, jego nadzwyczajne odczytanie się w pisarzach XVI wieku, słowem, jego wykształcenie i patryotyzm. A przytem był sympatyczny niezmiernie, przyjacielski, wesoły, nie mówiąc już o tem, że znakomicie grał w szachy, których jenerał był wielkim amatorem. To wszystko sprawiało, że pan Stefan był w ogromnych łaskach u zwycięzcy z pod Magliano...

I teraz, kiedy się zbliżył do niego, jenerał powitał go serdecznie, poczęstował tabaką, której szczyptę Witwicki długo ważył w palcach, nim zażył ostatecznie; a gdy po pierwszej wymianie pytań i odpowiedzi na zwykły temat pogody, zdro-

wia, snu, rannej przejażdżki etc., pan Stefan, nie oglądając się na małych Francuzów, przysłuchujących się jego polskiej rozmowie z jenerałem, zaczął się przypatrywać jego zaczętemu pejzażowi, jenerał powstał, wyprostował się, przeciągnął, oświadczył, że na dzisiaj już ma dosyć tego malowania, poczem zaczął zbierać swoje przybory. Kiedy spakował wszystko, a Witwickiego dręczyła płonna obawa, że mu przeszkodził, i kiedy mieli pójść ku domowi, gdzie sobie obiecywali pogawędzić w cieńniu altanki, zrodziła się nowa i nieprzewidziana kwestya: oto mali towarzysze jenerała, chcąc mu się wywzajemnić za poczęstunek tabaką, ofiarowali się zanieść za nim jego utensylia malarskie. Nie miał nic przeciwko temu, nie wiedział tylko, jak zadowolnić wszystkich, bo chłopaków było ośmiu, a przedmiotów do niesienia trzy; co gorsza, to, że o ile nie wszystkim zależało na niesieniu sztalug i teki z papierami i farbami, o tyle powstała prawdziwa kłótnia wśród malców, kto ma nieść parasol. Każdy chciał nieść parasol, i to o ile możliwości nieść go otwarty. Skończyło się na tem, że go poniosło dwóch, idąc pod nim, a inni nieśli resztę. Najprzód szedł jenerał z panem Stefanem, zaraz za nimi postępował rozpięty parasol, a teka i sztalugi, otoczone konwojem malców z pustemi rękami, szły z tyłu. Cały orszak robił wrażenie ma-

łego oddziału liliputów, prowadzonego przez dwóch olbrzymów. Sztandarem był czerwony parasol, a jasckrawe słońce, oświecające tę wesołą grupę, jeszcze potęgowało jej humor.

Kiedy doszli przed dom, gdzie chłopcy złożyli wszystkie rzeczy, jenerał, zostawszy sam z Witwickim, rzekł do niego:

— Wielką prawdę powiedział pan Jan Kochanowski, że wszystko się dziwnie plecie na tym tu biednym świecie. Ktoby powiedział, że ja, który za młodu walczyłem pod bokiern Kościuszki, potem przewodziłem legiom włoskim, a widziałem Moskwę i Berezynę, że ja, już po upływie lat kilkunastu będę szedł na czele takich pułków, jak ten, któryś widział przed chwilą. *Sic transit gloria mundi.*

To powiedziawszy, sięgnął po tabakierkę, poczęstował Witwickiego, sam zażył, poczem, skoro kichnęli obaj, wszedł do altany, co także uczynił i pan Stefan.

— Tu nam będzie dobrze, bo słońce już przygrzewa mocno.

— Kto wie, czy po obiedzie nie będziemy mieli burzy, rzekł Witwicki.

— Bardzo być może, odrzekł jenerał, zdejmując kapelusz. W każdym razie nie zaszkodzi, gdy tymczasem, korzystając z pięknej pogody...

— Pogawędzimy w cieniu...

— Przy winie. Jeszcześ nie pił tego węgrzyna, którego parę gąsiorków przysłał mi onegdaj Mycielski ¹⁾. Cudowne wino, powiadam ci. Niemcewicz, który był u mnie wczoraj, nachwalić się go dosyć nie mógł. Szkoda, żeś nie przyszedł. Miałbyś co do notowania, bośmy bardzo dużo mówili o dawnych czasach. Niemcewiczowi przyszedł nawet pomysł napisania horacyuszowego listu do mnie, wierszem oczywiście, listu, zawierającego poetyczny opis naszej młodości, wszystkiego, cośmy przeżyli razem ²⁾...

— Bardzo dobry pomysł.

— Dobry, przyznaję, ale oprócz niego, przyszedł pocziwemu Ursynowi inny jeszcze, o wiele lepszy. Oto tak mu się spodobało u mnie, że się zdecydował przyjechać tu na całe lato. Obiecał, że przybędzie za parę dni, a zostanie kilka tygodni.

¹⁾ Jenerał Mycielski.

²⁾ Niemcewicz istotnie napisał taki *List do Kniaziewicza*. List ten odczytany przez Niemcewicza w Towarzystwie historyczno-literackim w Paryżu, w listopadzie r. 1834, wyszedł w r. 1835 w powtórnym wydaniu Aleksandra Jełowickiego pod następującym tytułem: «Juliana Ursyna | Niemcewicza | Senatora Kasztelana | List | do | Karola Kniaziewicza | Jenerała Wojsk Polskich — Napisany we Francyi roku 1834 | w czasie pobytu obudwóch w Montmorency».

Będziemy mieszkali razem. Już szykują dla niego pokój.

Tymczasem nie zapominając o węgrzynie, generał opuścił Witwickiego na małą chwilkę i poszedł zadysponować, aby im przyniesiono ów gąsiorek. Gdy wrócił, wkrótce po nim zjawiała się piękna Sophinetta z gąsiorkiem i dwoma kieliszkami na tacy, a spostrzegłszy pana Stefana, dygnęła, uśmiechnęła się, ale nim zdążyła odpowiedzieć na jego uprzejme powitanie, już musiała spuścić oczy, tak się jej przypatrywał zuchwale... Zawsze, ile razy przyszedł w odwiedziny do generała, powtarzało się to samo, a że z pana Stefana był i komplementista zawołany, więc i teraz nie omieszkął wystąpić z komplementem na temat owych kobietek, które, wiedząc doskonale, jak im jest do twarzy ze spuszczonej skromnie oczyma, czynią to przy każdej sposobności, nawet wtedy, gdy nie mają prawdziwego powodu do zawstydzenia się... Komplement ten wywołał żywy rumieniec na śliczną twarz dziewczyny, ale był przyjęty bardzo dobrze.

Po odejściu pięknej córki gospodarza, generał, nalewając oba kieliszki, rzekł:

— Lubię tę małą, przedewszystkiem zaś dlatego, że patrząc na nią, zdaje mi się, że patrzę

na moją Teklę. Ogromnie mi ją przypomina, tylko tamta była smuklejsza.

— Co za Tekla? zapytał Witwicki, sięgając po notes. Nic mi generał nigdy nie wspominał o swojej Tekli.

— Ha, skoro ci nie mówiłem, to zapisz-że sobie, skoro już wyciągnąłeś swoje *vade mecum*, że Tekla Żurowska była moją narzeczoną. Podobałiśmy się sobie wzajemnie, tak, że już myślałem o poślubieniu jej, gdy nagle gruchnęła wieść o formowaniu się polskich legionów. Miałem do wyboru: albo ożenić się z Teklą, a ożeniwszy się, osiąść na roli, albo zaciągnąć się do wojska, jak to czyniło tylu innych. Serce ciągnęło do pięknej Tekli, ale inny głos nakazywał osobiste zamiary i nadzieje złożyć na ołtarzu obowiązków. Rozumując więc, że co się odwlecze, to nie uciecze, rozstałem się z Teklą... Na jak długo? Nie umiałem powiedzieć.

Tu generał umilkł na chwilę, zamyślił się. Tymczasem Witwicki pisał szybko, widocznie starając się zapisać każde usłyszane słowo. Gdy skończył, generał zrobił uwagę pod adresem literatów wogóle, a jego w szczególności, że piszą szybko, ale piją wolno. Witwicki, zrozumiałwszy aluzję, wychylił swój kieliszek, co widząc generał, zaraz mu nalał

drugi, poczem, nie zapominając także i o sobie, tak ciągnął dalej:

— Nie wiesz zapewne, że przede mną jeszcze kochał się w Tekli Żurowskiej nasz naczelnik Kościuszko Tadeusz. Był wtedy oficerem. Kochał się ogromnie, bo kochliwy był bardzo. Czy miał wzajemność panny? Pewno, że byłaby wyszła za niego gdyby ojciec zezwolił, bo nawet miała się ku niemu; ale ojciec, zamożny szlachcic, nie chciał słyszeć o tym maryażu. Biedny i nieznany oficer, jakim był wtedy Kościuszko, nie nęcił go, jako zięć. Więc mu odmówił, gdy go poprosił o rękę Tekli. Odmówił stanowczo, ale później, gdy Kościuszko stał się sławnym, gdy o nim wiedział świat cały, żałował tego kroku, a nie chcąc sobie mieć nic do wyrzucenia na przyszłość, oświadczył, że odtąd nie sprzeciwi się żadnemu wyborowi córki. Niech idzie za tego, kogo sobie upodoba.

— Z tego wynika, rzekł Witwicki, nie przestając notować, że jednak Tekla sprzyjała Kościuszce.

— Bo pewno, że sprzyjała, potwierdził generał, sięgając po kieliszek. I niema się czemu dziwić, że miała skłonność ku niemu, bo Kościuszko był bardzo miłym człowiekiem, sympatycznym, choć niepozornym. W każdym razie mógł się podobać pannie. Póki był w kraju, t. j. zanim nie wyjechał

do Ameryki, ogromnie lubił towarzystwo. Zawsze go szukał. Miał także upodobanie w takich grach towarzyskich, jak gotowalnia, cenzurowany, mrucek i t. p. Skoro przyjechał do jakiego szlacheckiego dworu, zwłaszcza, kiedy były panienki, zwykle młodzież napędzał do podobnych zabaw, z widoczną przyjemnością sam się mieszając do nich. Ale do żeniaczki nie miał szczęścia: to samo, co go spotkało od ojca Tekli, spotkało go i od innego możnego pana, Sosnowskiego, który mu także odmówił córki. Bo, widzisz, Kościuszko nie miał w sobie nic z tego, co u nas zawsze i od dawien dawna jednało wzięcie u ludzi: ani był znakomitego rodu, ani mógł się pochlubić dostatkami. Żeby choć był okazałej postawy! Ale i pod tym względem prezentował się nieszczególnie: wyglądał, jak prosty zagrodowy szlachcic, a mając rysy bynajmniej nie odznaczające się pięknnością, był nieśmiały, łatwo detonujący się. W liczniejszych towarzystwach, np. w salonach pierwszego konsula, gdzie go widziałem niejednokrotnie, obejście jego, pełne prostoty, niekiedy granczyło aż z prostactwem: był bardzo grzeczny, kłaniający się, potulny, a spojrzawszy na niego, miało się wrażenie, że ma się do czynienia z ubogim, niepoczesnym szlachetką. Nie posiadał także sam wymowy, a. gdy zdarzyło się, że nuncyusz papieżki

przyjechał do obozu pod Warszawą, wstawiając się za skazanym na śmierć biskupem lubelskim, Skarszewskim, Kościuszkę zaledwie kilka nieporządnie skleconych wyrazów na mowę jego odpowiedzieć potrafił¹⁾. Za to potrafił sobie zdobyć przywiązanie ludu. Chłopi kochali go, bo w nim czuli pocztelwego człowieka... Żołnierz także przepadał za nim, wiedział bowiem, że «naczelnik» o jego potrzebach myślał przedewszystkiem. Jako wódz, miał, mojem zdaniem, jedną wadę: za bardzo się lubił okopywać, kiedy przychodziło do bitwy.

Tutaj Witwicki, którego ołówek ze stenograficzną szybkością notował każde usłyszane słowo, uśmiechnął się mimowoli, bo znał już z opowiadania innych słabość jenerała, że po wojnach Napoleońskich, ile razy mówił o bitwach, których znał przebieg, a sam w nich nie dowodził lub nie

¹⁾ Wszystko to są dosłowne niemal wyrażenia samego Kniaziewiczza, w którego żywocie, skreślonym piórem Bronisława Zaleskiego, czytamy o tych rozmowach jenerała z Witwickim, co następuje: «Stefan Witwicki, spędzając lato 1834 roku z jenerałem Kniaziewiczem w Montmorency, spisywał swoje z nim rozmowy, a choć sam powiada, że notując je bez porządku, na przódce, jak ów człowiek, który poławia perły, wszakże je nie w chwili połowu szlifuje, dobiera i układa w kosztowne sznurki, jednakże przekazał nam tym sposobem niejeden szczegół, malujący człowieka albo czas jego».

brał udziału, zawsze w ich prowadzeniu znajdował szereg mniejszych lub większych uchybień, zarówno w bitwach Kościuszki, jak wszystkich innych wodzów tej epoki.

— Bądź co bądź, kończył generał, można powiedzieć o Kościuszcze, że gdyby jeszcze posiadał wiarę Kordeckiego, byłby jedną z największych postaci w historii.

To rzekłszy, spojrział na pełny kieliszek Witwickiego, a że swój wychylił już był do dna, więc zauważył z żartobliwą złośliwością:

— Widzę jednak, że nie lubisz wina. Także mł literat, co gardzi trunkiem! Żle to świadczy o tobie, drogi panie Stefanie, jako o poecie, bo *in vino* znajduje się nietylko *veritas*, jak chce łacińskie przysłowie, ale i źródło natchnień poetyckich.

I nie dając sobie przerywać Witwickiemu, który nadpiwszy pół kieliszka, chciał coś powiedzieć, generał ciągnął dalej:

— Wszyscy prawdziwi poeci hołdowali wesołemu Bachusowi, a już nasz pan Jan Kochanowski, który także za kołnierz nie wylewał, był zdania, że poezya chodzi w parze z winem. Musisz znać jego wiersz:

Widział kto kiedy poetę trzeźwego?

Taki nie zrobi nigdy nic dobrego.

Ja przynajmniej, ilu znałem poetów, a znałem ich wielu, kiedym był młody, wszyscy byli nie tylko do wybitki, ale i do wypitki.

— Jakichże to poetów znałeś, jenerale? zapytał pan Stefan, wychyliwszy kieliszek.

— Wyliczać ich tu wszystkich nie będę, odrzekł jenerał, sięgając po gąsiorek, ale ci poeci, których ja znałem za młodu, to byli więksi poeci, niż ci dzisiejsi, niż tacy Słowaccy, Zalescy *et consortes*, którzy piszą wiersze i nic więcej. Ci, o których myślę, byli poetami czynu, najpiękniejszym typem poetów, bo poetami-żołnierzami, poetami-legionistami. Co prawda, to już same legiony były poezją, i to poezją bohaterską! Bo powiedz sam, czy nie było poetycznem owo nagłe i w dalekich stronach zjawienie się zastępów polskich z bronią w rękę; czy nie było poezyi w tych wygrywanych przez nich bitwach, w tych zdobywanych w przelocie najobronniejszych twierdzach na przeciwniku ośmkroć liczniejszym; czy nie było poezyi w całym życiu naszych legionów, tylu krajami i ludami przedzielonych od kraju, a jedynie o nim myślących, w tem życiu, pełnem niebezpieczeństw, romansów i sławy. Zapisz to sobie, a nawet podkreśl dwa razy, bo to jest szczegół charakterystyczny bardzo, że w legiach naszych, prawie każdy batalion, ba, prawie każdy szwadron miewał

własnego rymotwórcę. W marszach i kontrmarszach, a zwłaszcza w obozie, śpiewano ich piosnki i dумы. Żadna kompania piechoty, żaden pluton kawaleryi nie nudził się tymi rymami, owszem, wszystkim podobały się one niezmiernie, choćby dlatego tylko, że w nich była mowa o Polsce... Czy poeta opiewał zwycięstwo swego pułku, czy pisał żałobne treny na śmierć swoich przyjaciół, nie wymagano od niego ani nadzwyczajnych pomysłów, ani wygładzonych i świetnych rymów; na to, ażeby u wszystkich oficerów, podoficerów i żołnierzy używał wziętości i sławy autorskiej, wystarczało, aby z wiarą i prostotą śpiewał na nutę narodową, by krzepił ducha... Nie chodziło o rymy, ale o treść. A zresztą, jeśli o rymy chodzi, to w zupełności odpowiadały one stanowi i zatrudnieniu swych autorów. Takie rymy, jak *pałaszów szczęki i konających jęki, dział ryki i zwycięzców krzyki, dla ojczyzny i śmierć lub blizny*, powtarzały się najczęściej. Była to poezya batalionowa i szwadronowa, a jako taka, dosięgła swego szczytu w słynnym mazurku Dąbrowskiego, którego pierwszym autorem był Józef Wybicki ¹⁾.

¹⁾ Zob. Stefana Witwickiego *Wieczory pielgrzyma*, gdzie autor, mówiąc o poezyi i poetach legionów Dąbrowskiego i Kniaźewicza, niejednokrotnie powołuje się na ustne relacye tego ostatniego.

Jenerał rozgadał się, a ożywiony wspomnieniami tych czasów, w których sam odegrał tak wybitną rolę, opowiadał tyle rzeczy ciekawych, że Witwickiemu, który nie przestawał notować, ręka omdlewała ze zmęczenia. Mimo to zaplisywał wszystko, a jenerał, nie zapominając o winie, które nie pozostawiało bez dodatniego wpływu na jego dar narracyjny, opowiadał o czasach swej młodości, czasach, których wspomnienie jeszcze go dziś odmładzało, gdy do nich powracał myślą.

Oto na przykład, w jaki sposób wstąpił do legii włoskiej:

— Wstąpiliśmy razem z Józefem Drzewieckim, prawik, późniejszym szefem, a dzisiejszym prezydentem Krzemieńca. Spotkaliśmy się w Wiedniu. Ale stąd dostać się do Włoch, dokąd przejazd był stanowczo wzbroniony, należało do bardzo ryzykownych i niełatwych przedsięwzięć. Co robić? Ha, nie pozostawało nic innego, tylko uciec się do podstępu! Ale i podstęp obmyśleć nie łatwo. W końcu wpadliśmy na taki: postanowiliśmy jechać do Karlsbadu. Ale i do Karlsbadu nie puszczają bez paszportu. Po kilku dniach starań i zabiegów, udaje się Drzewieckiemu dostać ów paszport. Jedziemy. Drzewiecki jako obywatel galicyjski (bo i tam miał posiadłość), ja — przebrany za jego lokaja. Przyjeżdżamy do Karlsbadu. Tu Drzewiecki

udaje mocno chorego i, jako taki, wyjednywa sobie paszport do Saksonii, utrzymując, że do Lipska na dalszą kuracyę jechać musi. Kłamaliśmy, jak z nut; a ja w roli służącego, opiekującego się swym chorym panem, nie pozostawiałem nic do życzenia. Drzewiecki także udawał chorego, jak skończony aktor. Dość, że nam w Karlsbadzie uwierzono i dano paszport. Wyjeżdżamy. W drodze obłożyłem Drzewieckiego poduszkami i materacami, tak że istotnie wyglądał jakby był obłożnie chory. Przyjeżdżamy na granicę. Przy rogate nie chcą nas puścić, bo paszport był tylko przez władze karlsbadzkie wydany. Wszystko zdawało się stracone. Wtem przychodził mi pomysł do głowy, pomysł, obliczony trochę na poczciwość, a trochę na głupotę strażników. Nie tracąc przytomności umysłu, oświadczam strażnikom, że jestem gotów pojechać po inny paszport, skoro za tym przepuścić nas nie chcą, ale chorego pana zostawię tutaj, na ich pieczy, przyczem i cała odpowiedzialność za następstwa na nich spadnie. Strażnicy popatrzyli na siebie, zaczęli się naradzać, a że opiekować się chorym przez parę tygodni, zanimbym nie wrócił z innym paszportem, nie mieli ochoty, nie mówiąc już o owej odpowiedzialności za następstwa, którą na nich składałem, więc zdecydo-

wali się wypuścić nas za kordon. Tym sposobem wydostaliśmy się z Austrii ¹⁾).

— Smakuje ci? przerwał nagle generał, spostrzegłszy, iż Witwicki dolewa sobie z gąsiorka.

— Jak widzisz, jenerale.

— No, skoro tak, to ci opowiem historię o winie, które było lepsze od tego, choć i to jest niezłe. Smakowało mi, prawda, alem je o mało życiem nie przypłacił.

Było to w r. 1798, w listopadzie, we Włoszech, podczas wojny neapolitańskiej. Dąbrowski był w Medyolanie, a mnie powierzył generał Championet, podówczas głównodowodzący armią francuską, dowództwo nad legią rzymską, do której przydał mi pół brygady francuskiej, trzy szwadrony jazdy i trzy działa. Z tak złożoną dywizją byłem odkomenderowany na prawe skrzydło, pozostające pod wodzą Macdonalda. Ledwom z moimi stanął w jego obozie, gdy nadeszła wiadomość, że kolumna Neapolitańczyków, złożona z 5000 żołnierzy, atakowała *wczoraj* miasteczko Magliano i zdobyła je. Macdonald kazał mi w 300 ludzi, wziętych z mojej legii, przejść na drugą stronę Tybru i atakować nieprzyjaciela w celu odebrania mu

¹⁾ Na podstawie notatek St. Witwickiego, z opowiadań jen. Kniaziewicza.

Magliano. Było to jakby wysłanie na śmierć. Mimo to, nic nie rzekłszy, wybrałem trzystu chłopów na schwał, których byłem pewny, że się nie ulęką niczego, i poszedłem. No i poszczęściło się jakoś! Wprawdzie po bitwie nie dorachowałem się wszystkich moich wiarusów, aleśmy z bagnetem w ręku wzięli szturmem okopy, wyparli nieprzyjaciela, wzięli miasteczko, zabrali namioty i bagaże¹⁾. Neapolitańczycy schronili się do poblizkiej wioski Fabrica, ale i stamtąd wyparliśmy ich z sukcesem. Okopali się w Fallari, lecz i Fallari zdobyliśmy szturmem... Tymczasem Kellermann odniósł zwycięstwo pod Monterosa, a wielkie siły neapolitańskie, ciągnąc

¹⁾ Oto, jak brzmi urzędowy komunikat o tem zwycięstwie Kniażewicza: «Wojsko rzymskie, Sztab główny, główna kwatera w Terni. 12 Primaire r. VII (2 grudnia 1798). Rozkaz dzienny. Podaje się do wiadomości wojska, że kolumna Neapolitańczyków, złożona z 5.000 żołnierzy, atakowała wczoraj miasteczko Magliano i zdobyła takowe. Jenerał Macdonald rozkazał jenerałowi Kniażewiczowi, aby z 300 ludźmi, wziętymi w swej legii, odebrał Magliano. Po żwawych strzałach zmusił polski jenerał nieprzyjaciela do ucieczki, zabił mu lub ranił wielu, zabrał aptekę i wszystkie wojenne zapasy, wzięł w niewolę oficera i wielu żołnierzy. Polacy odznaczyli się bohaterstwem. Godnem jest uwagi, iż oddział żołnierzy, z 300 ludzi złożony, odparł zwycięsko 5.000 Neapolitańczyków». Podpisano: Jenerał Leopold Berthier, szef sztabu głównego.

ku obozom francuskim, zbliżały się tem samem do Fallari, w którym odpoczywałem z resztą moich ludzi. Należał się nam odpoczynek, zważywszy, żeśmy w ciągu dwóch dni odbyli trzy szturmy na bagnety, atakując szesnaście razy przeszło liczniejszego, a zacieklego nieprzyjaciela. Było to, pamiętam, dnia 4 grudnia. Siedzimy w Fallari. Raptem dowiaduję się, że książę de Saxe już jest niedaleko, a prowadzi z sobą 9.000 wojska. Nie byłem nigdy tchórzem, ale nie byłem także szaleńcem. Rozumiałem, że przeciwko takiej sile występować z moimi ludźmi, których liczba nie powiększyła się po trzech szturmach, ale się zmniejszyła, było nie zuchwalstwem już, jeno samobójstwem. Nie chcąc mych dzielnych towarzyszków narażać na rzeź niechybną, nie namyślając się długo, dosiadłem konia i sam udałem się do głównego obozu, ażeby ściągnąć moją całą dywizję, a jednocześnie żeby zakomunikować Macdonaldowi wiadomość o zbliżaniu się księcia de Saxe i prosić, by mię wsparł swoją artyleryą. Nie wątpiłem, że mi pomocy udzieli. Tymczasem Macdonald, kiedym mu wspomniał o artylerji, za całą odpowiedź rzucił mi tylko lakoniczne słowa, że Kellerman własnymi siłami odniósł zwycięstwo. Zrozumiałem przy-mówkę, widząc zaś, że się trudziłem daremnie, bo mam do czynienia z najzwyczajszą zawiścią, od-

rzekłem sucho: «Mniejsza o to, nie potrzebuję niczyjego przykładu, abym obowiązku mego dopełnił». To rzekłszy, zirytowany, natychmiast zwróciłem konia i popędziłem ku hufcom, pozostającym pod mojem bezpośredniem dowództwem. Tymi rozporządzać miałem wszelkie prawo. Ściągnąłem więc, już nie pytając o nic Macdonalda, całą dywizję do Fallari, gdzie połączywszy się z moimi wiarusami, nie czekając na nieprzyjaciela, sam ruszyłem przeciwko niemu. Gdy przyszło do bitwy, skończyło się na zupełnem rozbiciu Neapolitańczyków. Szczęśliwie wybrana pozycja, trafne użycie artyleryi, a przedewszystkiem męstwo żołnierza sprawiły, żeśmy zdobyli 12 dział i 3.000 jeńców. Sam książę de Saxe o mały włos nie dostał się w moje ręce, a jeśli był winien ocalenie, to je zawdzięczał wyłącznie swemu osobistemu męstwu. Co najcharakterystyczniejsze jednak, to, że podczas bitwy, mianowicie pod koniec jej, wysłał mi Macdonald swego adjutanta z uwiadomieniem, iż mi część artyleryi przysyła na pomoc. Zbytek łaski! pomyślałem sobie, a będąc już w tej chwili pewnym zwycięstwa, odprawiłem posłańca z zimną odpowiedzią, że niczyjej pomocy nie potrzebuję. Za to, dokonawszy bitwy, z niemłą satysfakcją wziąłem się do redagowania raportu, donoszącego Macdonaldowi o rozbiciu w puch 9-tysięcznej armii

nieprzyjacielskiej. Raport ten posłałem mu jeszcze tego samego dnia, a mogąc w nim donieść zazdrosnemu o sławę wodzowi, że w dniu tym na całej linii wojska neapolitańskie zostały odparte przeze mnie, miałem w tem, przyznając, pewne złośliwe zadowolenie z siebie. Trudno, człowiek jest człowiekiem! Stało się zadość mojej miłości własnej. Ale możesz sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy jeszcze tego samego dnia, w kilka godzin po wysłaniu mojego raportu, otrzymuję taką nań odpowiedź od Macdonalda: «Rozkazuje się dowódcy pierwszej legii polskiej, aby jutro punkt o godzinie 5 rano stawił się w głównej kwaterze». Zdziwiony i rozjątrzony tymi wyrazami, nie wiedząc, jak sobie je tłómaczyć, mimo to zastosowałem się do rozkazu, tak, iż nazajutrz stawiłem się o oznaczonej porze. Macdonald, otoczony całym sztabem, przyjął mię z najobojętniejszą twarzą, zimny, sztywny. «Nie kontent jestem z jenerała, rzekł wreszcie. Wolno Polakowi mierzyć się z Francuzem w męstwie, wolno mu go nawet w niem przewyższyć, ale ty, jenerale, odpowiedział, jaką dałeś memu adjutantowi, chciałeś nas przewyższyć i w fanfaronadzie. Za karę musisz zaraz wejść do tego pokoju». W tejże chwili otwarły się drzwi, a w przyległej komnacie ujrzałem nakryty stół, zastawiony pysznem śniadaniem. Zrozumiawszy, do czego

wszystko zmierzało, a zawsze będąc łatwym do śmiechu, jak i do zapominania uraz, udobruchany w mgnieniu oka, przyjąłem serdeczne uściśnienia kolegów, poczem zbliżyliśmy się do owego stołu, a wesołe śniadanie, przy którym pękło kilkanaście butelek doskonałego wina, było zakończeniem tego obozowego żartu.

Uśmiech, igrający na ustach starego wodza, zniknął chwilowo; smętna zaduma osiadła na jego wysokiem czole, a wzrok, zapatrzony gdzieś w dal nieruchomie, zdawał się gonić roje wspomnień...

Witwicki przez chwilę nie śmiał przerywać milczenia, poczem zcicha, jakby podążając w ślad za myślą generała, podszepnął zamyślonemu:

— A jakże to tam było, jenerale, z tą twoją pierwszą podróżą do Paryża? Przypominam sobie, żeś wspomniał mi kiedyś przelotem o towarzyszących jej opałach...

Ale Kniaziewicz machnął tylko ręką.

— Długa to historia, rzekł jakby niechętnie.

— Tem lepiej.

— Rozumujesz, jak białogłowa, ale mniejsza o to. Słowo się rzekło, a zatem na nic się nie zdadzą wszelkie wstępy. Pisz więc.

I odchrząknawszy kilkakrotnie, tak mówić począł:

— Była to po bitwie pod Capuą, po której

Championet zajął Neapol. Ja stałem nad rzeczką Garigliano, ażeby zabezpieczać z tyłu pochód armii. Musiałem ciągle staczać drobne potyczki z nieprzyjacielem, oraz zdobyć szturmem kilka drobnych miasteczek, broniących się z rozpaczliwą zaciekłością. Było to zadanie ciężkie, pełne niebezpieczeństw, zwłaszcza, że wszędzie musiałem walczyć ze znaczną przewagą liczebną. Ale spisaliśmy się gracko, nieprzyjaciel wszędzie został pobity i wyparty ze stanowisk, tak, iż całe królestwo neapolitańskie, jak długie i szerokie, zostało ubezwładnione. Przyznaję, że w tem niemało było mojej zasługi, bo o ile mi dawano najgorętsze kasztany do wyciągania z pieca, o tyle je wyciągałem najszybciej, z najmniejszym poparzeniem palców. Bo nie wszędzie, gdzie myśmy szli, chcieli iść Francuzi. Zawsze tak było przez cały czas wojen napoleońskich. Ale przynajmniej Championet umiał ocenić nasze zasługi: najlepszy dowód, że tym razem, kiedy szło o to, komu powierzyć zaszczytną misję złożenia dyrektoryatowi zdobytych na nieprzyjacielu chorągwi i zabranych w Neapolu znaków królewskich, zaszczyt ten — najwyższy w owym czasie — spadł na mnie. Swoją drogą, pewny jestem, że dlatego tę zaszczytną misję powierzono mnie, ponieważ niejeden Francuz, świadomy okoliczności, z satysfakcją zrzekłby się tego honoru.

Albowiem misja ta, o ile była nadzwyczaj zaszczytnem wyróżnieniem, o tyle szła w parze z najwyższem niebezpieczeństwem osobistem. Przedostać się do Paryża wobec nienawiści, jaką całe Włochy zionęły ku Francuzom, zwłaszcza wojskowym, było nielada ryzykiem. To też mi żaden z generałów-Francuzów, samego Macdonalda nie wyłączając, nie zazdrościł tej podróży: wiedzieli, że jest to hazard, w którym łatwiej zginąć po drodze, niż w szturmie na bagnety. Całe Włochy były wzburzone, a tu i owdzie jeszcze trwały powstania, włóczyły się partye powstańców, z którymi spotkać się francuskiemu wojskowemu, a nawet nie wojskowemu, równało się wiszeniu na pierwszej lepszej gałęzi. To też kiedyśmy się szykowali do tej hazardownej podróży (a mieliśmy jechać we trzech: ja i dwóch kapitanów, Drzewiecki i Kossecki, którzy przez cały czas kampanii byli moimi adjutantami), już w Rzymie ostrzeżono nas, ażebyśmy jechali *incognito*. Jakoż mundury schowaliśmy do tłumoków, a sami przebraliśmy się po cywilnemu. Ale i ta ostrożność okazała się niedostateczną. Około Aquepedente spotkaliśmy się z niebezpieczeństwem, z którego, jeśliśmy wogóle wyszli cali i zdrowi, to jedynie zawdzięczając mej zimnej krwi, której nigdy nie traciłem w najgorszych opałach, i pewnej przytomności umysłu, na

którą się człowiek zdobywa mimowoli, gdy się ze śmiercią spotka oko w oko... Nie dojeżdżając do Aquepedente, dowiedzieliśmy się, że wkraczamy w najbardziej zrewolucjonizowaną okolicę, której ludność już zdołała zasłynąć z najdzikszych okrucieństw, jakich się dopuszczała na schwytyanych jeńcach francuskich. Dowiedziawszy się o tem, zaczęliśmy przemyślać o zmienieniu drogi; przedtem wszakże, na wszelki wypadek, wszyscy trzej zgoliliśmy wąsy... To uczyniwszy dla niepoznaki, ledwo zdołałem pocztylionom rozkazać pod zagrożeniem śmierci, ażeby pytani, kogo wiozą, mówili, że wiozą poselstwo hiszpańskie, i ledwośmy zdążyli ruszyć dalej, gdy nagle zjawia się jakaś zfanatyzowana tłuszcza powstańców, zatrzymuje nasze konie z dzikim wrzaskiem, otacza pojazd, a domyślając się, że jesteśmy Francuzami, grozi nam śmiercią... Mimo to nie straciłem kontenansu, lecz, wychyliwszy się z okna, zacząłem rozkazującym głosem domagać się posłańca do biskupa, utrzymując, że jestem posłem hiszpańskim. Skończyło się na tem, że nam dano żadanego posłańca. Wtedy napisałem taki list do biskupa: «Za chwilę przybędę do Aquepedente. Jestem Polakiem, generałem armii francuskiej. Dla ocalenia życia od zbuntowanego motłochu wziętem na siebie tytuł posła hiszpańskiego. Jeśli mnie wydasz, bądź pewny, iż

śmierć moją odpłacisz śmiercią własną, śmiercią wszystkich buntowników, nieszczęściem całego kraju. Wystarczy, gdy uwładomię was o tem, czego jeszcze nie wiecie zapewne, że Neapol już jest w naszym ręku. Jeśli mię przyjmiesz w Aquependente jako posła hiszpańskiego i dalszą drogę ułatwisz, dam słowo honoru Polaka, iż na wstawienie się moje do władz francuskich, które jestem gotów uczynić zaraz, sam zostaniesz ocalony oraz ci wszyscy buntownicy, którymi dowodzisz. Będę wymagał tylko, aby bunt natychmiast został uśmierzony». W kwadrans po wysłaniu tego listu ruszyliśmy ku Aquepedente, a byliśmy zmuszeni jechać noga za nogą, w asystencyi całej zgrai powstańców, którzy, odprowadzając nas aż na miejsce, pragnęli się przekonać, żal istotnie jesteśmy poselstwem hiszpańskim. Gdyby się okazało, że tak nie jest, co im się wydawało bardzo prawdopodobnem, z góry już cieszyli się na to, jak sobie ten podstęp z naszej strony, tę zuchwałą chęć zakpienia z nich, odbiją na naszych skórach. Pewności tymczasem, że biskup zgodzi się na odegranie żądanej komedyi z posłem hiszpańskim, nie mieliśmy żadnej: stąd pewność moich bladych jak kreda adjutantów, że jedziemy na śmierć niechybną. Co prawda, to i ja nie bardzo łudziłem się nadzieją, ażeby nam się ocalić udało. W takim na-

stroju wjeżdżamy do miasteczka. Pocztylion zapytuje: dokąd ma zajechać?... «Do pałacu biskupa!» odpowiadam. Jedziemy do pałacu biskupa, wciąż eskortowani przez tłum powstańców. W końcu zajeżdżamy przed ów pałac, gdzie za chwilę miała się rozstrzygnąć kwestya naszego życia lub śmierci, i dostrzegamy biskupa, który, otoczony paru księżmi, stał na progu. Odetchnąłem. Widocznie, że mój list poskutkował. Wysiadając z dyliżansu, wysłałem z taką miną, jakbym rzeczywiście był posłem hiszpańskim do papieża. Biskup, przy powitaniu ze mną, zachował się tak samo. Zostałem przyjęty ze wszystkimi honorami, przynależnymi osobie posła, i w roli tej, niełatwej do zagrania w oczach owej zawiedzionej zgrai, tylko czyhającej na nasze życie, przeszedłem aż do osobnego pokoju biskupa. Tam, przy zamkniętych drzwiach, wróciliśmy każdy do swej właściwej roli. Biskup padł na kolana, prosząc o przebaczenie, a ja, powtórzywszy moje zapewnienie, napisałem list do Championeta, którym to listem ocalałem biskupa i jego podwładnych. Dalszą drogę do Paryża, zaopatrzeni w glejty od biskupa, odbyliśmy szczęśliwie, bez podobnych awantur. W całej przeprawie straciłem tylko wąsy. Paryżanki jednak, według wyrażenia jednego z pism humorystycznych paryskich, uważały, że zwycięzcy z nad Tybru, który

przywoził zdobyte sztandary i trofea, i bez wąsów było do twarzy...

Jenerał spojrział na zegarek, a gdy Witwicki schował notes:

— Jutro, rzekł, opowiem ci o mojem ówczesnem życiu w Paryżu, o ludziach, których tam widywałem, o Kościuszcze świeżo przybyłym z Ameryki, o Bonapartem, o czem będziesz chciał zresztą. Teraz zaś, ponieważ do obiadu mamy jeszcze godzinę czasu, możebyśmy zagrali partyjkę szachów?

— Z przyjemnością.

— Sam Napoleon lubił grywać w szachy. Niejeden raz widziałem go zamyślonego nad szachownicą. Zapisz to sobie...



ŚMIERĆ

JULIUSZA DE GONCOURT

Aleją, prowadzącą z Auteuil do Boulogne, szło dwóch mężczyzn: jeden wysoki, szpakowaty, postawy atletycznej niemal, drugi niższy, wyraźnie młodszy, drobnej kompleksyi, zgarbiony, a nadto otulony szalem, w kapeluszu, który się wydawał, jakby za duży na niego. Szli razem, pod rękę. Niższy, wsparty na ramieniu swojego towarzysza, wyglądał, jak młoda kobieta, wsparta na ramieniu męża; wyższy tymczasem, którego postawa świadczyła o sile fizycznej, robił wrażenie ojca, który swojego syna-jedynaka wyprowadził na świeże powietrze, ażeby się przeszedł trochę po słońcu, i żeby to słońce, będące krynicą życia, pokrzepiło nieco i ogrzało swem ciepłem ten biedny, nadwątłony organizm.

Byli to bracia de Goncourt, Edmund i Juliusz, autorowie licznych monografij historycznych i romansów współczesnych, dwie indywidualności artystyczne, dopełniające się wzajemnie. Jeden z nich,

Juliusz, dotknięty w tej chwili, wskutek nadmiernego wyęczenia umysłowego, niebezpieczną chorobą nerwową, zmuszony był dla odzyskania dawnej sprężystości duchowej i fizycznej zaniechać na czas dłuższy wszelkiej pracy umysłowej i o ile możności nie myśleć o niczem: zwłaszcza o sobie, o swojej przyszłości, o swoich dziełach. A właśnie, na nieszczęście, myśl ta, ponieważ zdawał sobie doskonale sprawę z opłakanego stanu zdrowia, w jakim się znajdował obecnie, trapiła go, jak zmora. Opętany nią, nie sypiał po nocach, pomimo morfiny, a że, jak to sam raz zapisał w dzienniku, *elles sont bien noires les pensées des nuits blanches*, więc i w ciągu dnia najokropniejsza dręczyła go melancholia, tak, iż coraz bardziej zaczynał rozpaczać o sobie i wątpić. Edmund, choć czynił wszystko, co było w jego mocy, ażeby się z tem nie zdradzić przed bratem, nie łudził się także i widział aż nadto dokładnie, że ostateczna katastrofa jest jak w danym razie tylko kwestyą czasu; panował jednak nad sobą, jak mógł, i choć to wymagało niezmiernego wysiłku woli, ażeby udawać spokojnego zupełnie i tym pozornym spokojem dodawać odwagi choremu, grał przecież komedję tę po mistrzowsku.

Niezawsze atoli z dobrym skutkiem. Przeciwnie, najczęściej szlachetne to poświęcenie chybiało celu, albowiem nie było, zdawało się, takiej siły, któ-

raby potrafiła rozpogodzić Juliusza, któraby rozpędzić zdołała tę straszną, ponurą zadumę, w której pogrążony, milczał godzinami całemi, jak nlemowa, i która pozwalała się jedynie domyślać, przez jakiego rodzaju katusze moralne człowiek ten musiał przechodzić...

W tej chwili, odkąd wyszli na przechadzkę, smutniejszy był, niż kiedykolwiek.

Widząc to Edmund, rzekł:

— Jak można, mój drogi, tak się poddawać zwątpieniu. To ci nie pomoże, ale tembardziej zaszkodzi, bo nie zapominaj, że imaginacya równie dodatni jak i ujemny wpływ wywierać zwykła na przebieg choroby. Czego się martwisz dopiero i trujesz niepotrzebnie, skoro nie jesteś tak słaby, jak sobie wyobrażasz, że nim jesteś. Przypuśćmy nawet, że trzeba będzie z rok, a w najgorszym razie ze dwa lata spauzować, ażebyś powrócił do dawnych sił i dawnej równowagi. Cóż z tego? Wszak jesteś młody, nie masz jeszcze lat 40, czasu więc, ażeby pisać i tworzyć, masz przed sobą aż nadto. Kto wie nawet, czy taka przerwa nie wyszłaby tobie zarówno, jak i mnie na dobre.

Juliusz atoli, wysłuchawszy tych perswazyj Edmunda do końca, spojrział na niego takim wzrokiem, jakim spoglądamy na człowieka, o którym przekonaliśmy się nagle, że tajemnica naszych my-

śli nie jest mu niewiadomą, poczem głosem spokojnym, powoli, jak gdyby ważąc każde słowo, tak odparł:

— Daj spokój, ja wiem dobrze, co myśleć o sobie, i nie zdołasz mi tego żadnym sposobem wyperswadować, że dla sztuki jestem już stracony raz na zawsze, pracować bowiem przekracza dla mnie dzisiaj granice możliwości... Powiadam ci, że *Gavarni* będzie naszą ostatnią książką, że to mój śpiew łabędzi. A jeszcze nie wykończony, nie poprawiony, nie przepisany!...

I tu umilkł nagle, zamyślił się, Edmund zaś nie śmiał przerywać mu tego zamyślenia, wiedząc, że rozdrażniłby go tem tylko, a żadnej nie przyniósł ulgi. Powtórę, tak był wzruszony tem, co przed chwilą z ust Juliusza usłyszał, że nie mógł się poprostu zdobyć na jedno słowo pociechy, której, choć zdrów, tak samo potrzebował, jak i jego chory brat. Albowiem serce się w nim kruszyło na widok tego młodziana, z którym tak niedawno jeszcze — bo w ciągu października i listopada roku zeszłego — siedzieli razem, przy jednym stole, kończąc ostatnie rozdziały książki o Gavarnim!...

Od pracy nad książką tą nie dało się Juliusza oderwać, tak, jakby przeczuwał, że z dzieł, i przez niego także podpisanych, to miało być ostatniem. Dlatego nie sposób go było zmusić, ażeby na

krótco chociażby przerwał robotę; dlatego, gardząc spoczynkiem, nie ruszał się z krzesła przez dzień cały, do późnej nocy; dlatego nie chciał ani na chwilę wypuszczać pióra z ręki. Znając go, nie trudno było wytłomaczyć sobie ten «szał pracy», tę gorączkę, w jakiej pisał, ten niepokój nerwowy, połączony z chorobliwym pragnieniem jak najszybszego ukończenia rozpoczętej pracy, niepokój literata, który widzi, że człowiek w nim zamiera, że niewiele mu już pozostaje godzin inteligencji, i który spiesz się, bo nie chce stracić jednej z tych drogich godzin, jednej minuty! Trzeba korzystać z chwili, dopóki się jasność i trzeźwość umysłu zaciemniać nie zaczną, dopóki siła talentu, który w rozwoju swolm właśnie dobiegać się zdawał kulminacyjnego punktu, nie zacznie słabnąć, zanikać!...

Edmund, znający brata swego lepiej, aniżeli siebie samego, jeszcze go wtedy nie posądzał o podobnego rodzaju złowrogie przewidywania; to też dopiero teraz zrozumiał radość, z jaką Juliusz kilka tygodni temu, w czasie pobytu w Trouville wpadł do niego któregoś dnia o 8-ej rano do pokoju, by mu obwieścić pomyślną nowinę, iż przed chwilą właśnie, po nocy bezsennej, strawionej przy biurku, skończył ostatni rozdział książki o Gavarnim. Chwila ta, w której Juliusz, z kilkoma arkuszami papieru

w ręku, zbudził go ze snu i, usiadłszy koło niego na łóżku, zaczął mu odczytywać zapisane przez siebie karty, chwila ta żywo stanęła teraz Edmundowi w pamięci. Przypomniawszy sobie ów podniesiony, prawie śpiewny ton, z jakim Juliusz czytał swe dzieło; przypomniał sobie pełen ożywienia wyraz twarzy Juliusza, który tymczasem, wpadając chwilami w prawdziwie deklamatorski ferwor i gestykulując przytem w dziwnem podnieceniu, zdawał się lubować muzyczną dźwięcznością swej melodyjnej prozy. Wogóle tym razem był zadowolonym z tego, co napisał, on, którego dawniej to, co pisał, nigdy nie zadawałniano zupełnie!... Po chwili jednak, gdy doszedł do miejsca, w którym była mowa o pogrzebie Gavarniego, głos mu zaczął drżeć ze wzruszenia, słabnąć, tak, że słowa: *et il dort à coté de nous au cimetière d'Auteuil* przeczytał już ze łzami w oczach, jakby w złowrogiem przeczuciu własnej śmierci, jak gdyby czytając je, myślał, że i jemu wkrótce przyjdzie leżąc na tym samym cmentarzu... I przypomniało się Edmundowi, że wtedy, gdy słuchał czytającego brata, robiły na nim niektóre ustępy jego pracy takie wrażenie, jak gdyby Juliusz, pisząc o Gavarnim, miał siebie na myśli, i jak gdyby, rozrzucając się nad nim, właściwie swoje opłakiwał nieszczęście, swój los.

Myśląc o tem teraz, zrobił Edmund na sobie bolesne spostrzeżenie, które go w większy jeszcze i dolegliwszy wprawliło smutek: bo zaprzeczyć nie mógł, że o ile dawniej, aż do dnia dzisiejszego włącznie, kiedy patrzył na Juliusza, pocieszał się nadzieją, że bądź co bądź nie jest to stan wiecznotrwały, któryby z czasem nie miał się skończyć zupełnem wyzdrowieniem, o tyle w tej chwili, ilekroć rzucił okiem na brata, na jego szyję wychudłą, na jego doły za uszami, na jego woskowobłądą cerę, mimowoli rodziło się w nim przypuszczenie, że człowiek ten może jednak... umrzeć.

Tak młodo! W trzydziestym dziewiątym roku życia, w kwiecie wieku, w pełni talentu, i to talentu, który dojrzał właśnie, zmęźniał, który wszystko, co napisali dotychczas, uważał za swoje pierwociny, który wyobraźnię jego, tak poetyczną i bujną z natury, zapładniał coraz nowymi pomysłami, nierównie świetniejszymi, głębszymi, poetyczniejszymi od poprzednich, i który, zamiast wypowiedzieć się całkowicie, miał zgasnąć przedwcześnie, w samem zaraniu, razem z tem wątłem ciałem!

W powietrzu tymczasem, jakby dla kontrastu, czuć było wiosnę; słońce przygrzewało, jak w maju; na niektórych drzewach zaczynały się już zielenić pierwsze pędy; natura, na podobieństwo młodej dziewczicy, zbudzonej rannem słońcem, zdawała się

uśmiechać, budzić do życia. Cały Lasek Buloński roił się od spacerujących, od eleganckich pojazdów. Na placu przed kaskadą, dokoła basenu, uwijało się mnóstwo dzieci: chłopczyków, goniących kółka, i dziewczynek skaczących przez sznur. Gdzie spojrzeć, wszędzie panował nastrój pogodny, wszystko — ziemia i ludzie — zdawało się cieszyć z powracającej wiosny.

Oni jedni tylko nie harmonizowali z tem otoczeniem: Juliuszowi było to obojętne, a Edmunda gniewało wszystko. Najprzód gniewała go ta wiosna, po której, wiedział, że przyjdzie lato, po lecie — jesień, a po jesieni dopiero — zima; kiedy Juliuszowi, myślał sobie, nie sędzono mieć swego lata: u niego bezpośrednio po wiosnie życia musi nastąpić zima... śmierć! I spojrzawszy na brata, który, stojąc przy nim, patrzył bezmyślnie przed siebie, Edmund, wobec tej defilady powozów, wobec tych pięknych kobiet, wystrojonych i zadowolonych z siebie, nie mógł się opędzić szalonemu zachceni: ażeby rzucić się na tę elegancką zgraję pasożytów, pozabijać wszystkich — bo z życia ich nie przyjdzie nic ani światu ani ludziom — i tym sposobem, gdyby to było możebne! przywrócić zdrowie temu nieszczęsnemu Łazarzowi, obok którego ludzie ci z taką przejeżdżają obojętnością, z takim spokojem!

Nagle dziwnego doznał uczucia: oto przekonany był, że w jednym z powozów, wmieszana w ten wielkoświatowy tłum kobiet i mężczyzn, przejeżdżała się... śmierć. Była to siostra miłosierdzia w białym płóciennym czepcu o szerokich skrzydłach.

W tejże chwili Juliusz, zamyślony, rzekł sam do siebie:

— Nigdy...

Edmund, odgadując intuicyjnie, o czym brat jego myślał w tej chwili i czego to tragiczne «nigdy» było wyrazem, chcąc pokryć wzruszenie, o jakie go to jedno słowo przyprawiło, zapytał: «Gdzież to myśl twoja buja obecnie?»

— Myśl moja?... W jakiejś pustce bezmiernej...

Poczem dodał: «Wiesz co, chodźmy stąd? Już mam dosyć tego włóczenia się... Wracajmy do domu».

I poszli. Idąc jednak, nie mieli sobie nic do powiedzenia: bo żaden nie chciał mówić otwarcie, co mu zaprzątało umysł. Edmund, pozleając od czasu do czasu ukradkiem, z ukosa, na brata i widząc go, jak bezwiednie przebierając nogami, szedł prawie senny, nie śmiał poprostu zaprzątać go jakąś banalną rozmową (bo do prowadzenia innej nie czuł się na razie zdolny); Juliusz zaś, pogrążony w medytacjach, zdawał się być

tak dalece zahypnotyzowany swoją chorobą, która się od niedawna stała jego *idee fixe*, że najmniej-szej również nie uczuwał potrzeby «gadania dla gadania». Dopiero, gdy uszli kilkaset kroków i na skrócie jednej z alei spostrzegli jakiegoś starego jegomościa, z małym chłopczykiem, podobnym do dziewczynki, z którym już nieraz spotykali go tu o tej porze, Juliusz, w którym, pomimo rozstroju nerwowego i przytępienia władz umysłowych, poczucie artystyczne nie zamarło dotychczas ze szczętem, przerwał milczenie, mówiąc: «Cóż to za cudowna grupa na tle alei i tego pejzażu wiosennego!...» I znowu uszli spory kawałek drogi w zamysleniu, nie zamieniwszy z sobą ani słowa...

Lecz i Juliusza uderzyło to w końcu, że go tak Edmund pozostawił samemu sobie, wcale się doń nie odzywając. Jakoż przystanął nagle, a spotkawszy się z pytającym spojrzeniem brata, który przystanął także, zapytał:

— A jednak musi ci to sprawiać przykrość, gdy mię widzisz takim, co?

I nie czekając odpowiedzi — czem mimowoli wybawił Edmunda z kłopotu — rzekł w dalszym ciągu:

— Chciałbym z tobą o ważnej bardzo rzeczy pomówić, *nie wiem tylko, jak...*

To powiedziawszy, wziął go po przyjacielsku

za rękę i spojrzawszy mu w oczy serdecznie, takim wzrokiem, jakby prosił o pozwolenie, a zarazem, jakby się namyślał: czy zwierzyć się z tem, co mu oddawna zdawało się już nie dawać spokoju, a do czego przyznanie się otwarte nie miało mu przyjść łatwo?...

— Słucham cię, rzekł Edmund.

— Albo wiesz co, lepiej dajmy temu pokój, rzekł po chwili wahania Juliusz, i wypuściwszy z dłoni rękę Edmunda, westchnął ciężko. W końcu przecież, ulegając perswazyom brata, który zaczął nalegać, ażeby niczego nie ukrywał przed nim, rzekł głosem niepewnym, drżącym: «Bo widzisz (i tu spuścił oczy, jakby się wstydził tego, co powiedzieć zamierzał) ja mam do ciebie wielką prośbę, tak wielką, że mi ją aż wyznać trudno...

— Cóż takiego?

— Dobrze, powiem ci, ale musisz mi przyrzec z góry, że prośbie tej uczynisz zadosyć, że nie złamiesz danego mi raz przyrzeczenia, lecz dotrzymasz go święcie.

— Nie wiem jeszcze, ani się domyślam, o co ci chodzi, bądź pewnym jednak, że niema takiego żądania, którego bym dla ciebie nie był gotów spełnić.

— Kiedy tak, to ci powiem. Być może, iż i bez tego nie pracowałbyś po mojej śmierci z ni-

kim drugim, tylko sam; ale ja swoją drogą, widzisz, zanim umrę...

— Ależ, Juliuszu, co ty mówisz...

— Ale ja swoją drogą, widzisz, chciałbym się upewnić przedtem, że tak, jak pracowałeś ze mną, kiedy byłem zdrow i zdolny do pracy, nie będziesz pracował z nikim, tylko sam... O, bo nie uwierzysz, jakabyś mi tem krzywdę wyrządził... Dlatego, błagam cię, przyrzeknij mi, przysięgnij, że tylko sam jeden, bez nikogo, już nigdy tak we dwóch, jak ze mną...

Przy tych słowach chwycił Edmunda konwulsyjnie za rękę i zaczął się nań patrzeć błagalnie, jak dziecko, które się o coś prosi i które się lada chwila rozpłakać gotowe, jeżeli mu odmówią, czego żąda.

— Ależ, odparł Edmund, jak mogłeś nawet przypuszczać, że ja byłbym do czegoś podobnego zdolny. To raz. A powtóre, co ty sobie imaginujesz, że umrzesz? Nie przeczę, że jesteś chory, że trzeba czasu, ażebyś do dawnego stanu zdrowia powrócił, ale to jeszcze nie żaden dowód, żebyś miał umierać. W każdym razie, bądź pewny, że od chwili, kiedy nie będę mógł pracować z tobą razem, tak, jakeśmy pracowali dotąd, wogóle pracować nie będę, nawet sam.

— O, nie, tyle nie żądam, toby było poświę-

cenie za wielkie. Nie, tego nie wymagam. Ale nikogo innego nie dopuścisz do pracy z sobą... To mi wystarczy.

I twarz jego rozjaśniła się nagle, jakby usłyszał jaką radosną nowinę. Niestety, nie trwała pogoda ta długo. Jak to słońce, które właśnie, przeświecając przez gęstwą drzew, chowało się pod ziemię, podobnie i oblicze Juliusza, rozpromienione chwilowo, sposepniało niebawem i w dawną się przyoblekło martwość... Widząc to Edmund, sposepniał również, a kiedy po upływie pół godziny, o zmierzchu już, zatrzymali się przed bramą willi swojej w Auteuil, w duszach ich czarniejszy jeszcze panował zmrok...

I.

Willi ich, w stylu *rococo*, jakby wykrojona z obrazu Crebillona młodszego, stała w niewielkim ogródku, otoczonym żelaznymi sztachetami, i uchodziła za jedną z piękniejszych w Auteuil. Patrząc na nią, latem zwłaszcza albo na wiosnę, kiedy żółtawe jej mury wyglądały z za cienistej zieleni, kiedy na drzewach śpiewało ptactwo, a wszystkie klomby, podobne do wzorzystych kobierców, tchnęły silnym zapachem fijołków i rezedy, mimowoli chciało się rzec: «Szczęśliwi ludzie, co mogą

mieszkać w takim domu». A zewnętrznemu wyglądowi tego zacisznego *Tusculum* w niczem nie ustępowało wnętrze, robiące wrażenie małego muzeum, napelnionego obrazami, przeważnie malarzy XVIII wieku, książkami, starami meblami, japońszczyzną, porcelaną sewrską, saską, chińską; muzeum, gdzie, chodząc po miękkich dywanach, nie słyszałeś własnych kroków, w którym sprzęt każdy, najdrobniejszych nie wyjmując, był dziełem sztuki, w którym obraz każdy był arcydziełem, i którego artystyczna *par excellence* atmosfera, przy najzupełniejszej ciszy, jaka tu panowała zawsze, czyniła z apartamentów tych prawdziwy ideał mieszkania artysty nowoczesnego¹⁾.

A jednak fatalność jakaś ciążyła nad tym domem: odkąd zamieszkali w nim, bodaj że ani razu uśmiech zadowolenia i szczęścia nie powstał im na ustach, a zaczęły się natomiast — jak pisał Juliusz w swym dzienniku — *jours de tristesse et de decouragement où l'on se couche dans la journée pour la vivre moins longue*; źródłem zaś, z którego ten smutek ich wypływał, było zdrowie Juliusza, pogorszające się z dniem każdym. Nie pomógł mu nic trzymiesięczny pobyt w Trouville, nie poma-

¹⁾ Zob. Edmond de Goncourt: *La maison d'un artiste au XIX-e siècle*.

gała hydropatya, którą się zaczął leczyć po powrocie stamtąd; straszna — a od roku trwająca już — bezsenność wyniszczała go coraz bardziej; rozdrażnienie i rozstrój nerwowy czyniły zatrważające postępy; z osłabieniem fizycznym zaczęło w końcu iść w parze i zniedołężnienie duchowe; a że chory posiadał — na domiar złego — niezwykle rozwiniętą imaginacyę, która pozbawiając go wszelkich illuzyi, wszystko w stokroć gorszych jeszcze, czarniejszych przedstawiała kolorach; więc skończyło się na tem, że się przestali pokazywać ludziom, że zerwali stosunki z najbliższymi znajomymi i przyjaciółmi — nawet z księżną Matyldą — że od niejakego czasu nie byli ani razu w teatrze, ani na jednym obiedzie u Magny; Juliusz bowiem, jakby się wstydził swej choroby, jakby się nią czuł upokorzony we własnych oczach, nie chciał się pokazywać nikomu, ani bywać u kogokolwiek.

Z uporem dziecka, które musi postawić na swoim, nie chciał mieć żadnych styczności ze światem, nie wyłączając najżyczliwszych sobie, do tego stopnia, że za każdym razem, kiedy mu Edmund tłumaczył, że dla zdrowia jego konieczny jest ruch, świeże powietrze, i że bezwarunkowo powinien parogodzinnej codzien używać przechadzki (a nie tylko Edmund, ale i doktor utrzymywał to samo), trzeba go było namawiać i prosić, jakby chodziło

nie o zwykły spacer, ale o jakieś poświęcenie: wołał nie ruszać się z domu, i leżąc na kanapie albo siedząc w swym ulubionym fotelu, z cygarem w ustach, czytać na głos «dla stylu» *Memoires d'outre tombe* Chateaubrianda.

Książka ta, nudna, jak wszystko Chateaubrianda, stała się od niejakiego czasu ideą *fixe* Juliusza. Lubując się jej stylem, zamęczał nią brata, nie domyślając się zupełnie, że Edmunda lektura ta nudzi, ba, chwilami doprowadza wprost do wściekłości. A jednak zdradzić się z tem nie było można; Juliusz bowiem, jak każdy chory, nie znosił opozycji i wymagał, ażeby wszyscy — a zwłaszcza Edmund — byli jego zdania.

Il se deshumanise: oto straszny wniosek, do jakiego Edmund chwilami dochodził o bracie (bo pomimo całej miłości, jaką płonął ku niemu, obserwował go najzupełniej obiektywnie, jakby człowieka obcego, z którym nie był związany żadnymi węzłami krwi i wspólnych ideałów). Wątpliwości nie ulegało, że w Juliuszu, w miarę rozwijania się choroby, zaczął coraz bardziej brać górę nad czułością braterską despotyczny egoizm dziecka. Minęły czasy, w których zdanie brata było dla niego świętem; kiedy go uważał za swego najlepszego przyjaciela, ojca, opiekuna, doradcę; kiedy to tylko, co powiedział albo uczynił Edmund, było dlań słu-

sznem, dobrem, pięknem; kiedy każde jego słowo było dlań wyrocznią; gdy jemu we wszystkim przyznawał bezwzględną wyższość nad sobą; kiedy zaufanie i wiara we wszystko, co pochodziło od Edmunda, były absolutne; i kiedy uległość jego dlań miała pod niejednym względem dużo cech pokrewnych z uległością kochającej kobiety. Dziś z uległości tej nie pozostało nic, a miejsce jej zajął jakiś przekorny upór, jakaś dokuczliwa chęć sprzeciwiania się i czynienia na złość wszystkim, nawet bratu. Żebyż bratu tylko! Ale, niestety, ta uszczypliwa chęć czynienia na przekór, objawiała się i względem wszystkiego, co tchnęło rozumem, rozsądkiem. Zdawało się poprostu, że łańcuch idei w umyśle tego człowieka porwał się, a przynajmniej zardzewiał, czego nieuniknionem następstwem był stanowczy rozbrat z logiką. Chcieć mu coś wytłómaczyć, przekonać go, przemówić do rozumu, równało się rzucaniu grochem o ścianę.

Wszystko to jednak, choć smutne, było niczem w porównaniu z metamorfozą, jaka się od niejakiego czasu dokonywała w inteligencji Juliusza, a która nie pozostała bez wpływu i na inne jego przymioty duchowe.

Inteligencya zaczynała w nim wyraźnie słabnąć, a objawiało się to w taki sposób, że, czytając np. na głos, ni stąd ni zowąd zaczynał przeczy-

tany dopiero co ustęp odczytywać na nowo. Zdarzało się nawet, że przeczytawszy go powtórnie, zaczynał po chwilowym namyśle odczytywać to samo raz jeszcze. Dlaczego to czynił? Na pytanie to, niestety, jedna tylko była odpowiedź: Juliusz, czytając, zaczynał niekiedy nie rozumieć, co czytał, nie potrafił skupić uwagi. Uwaga bowiem, która przy zdrowych zwojach mózgowych tak łatwo daje się opanować, staje się, przy rozprężeniu tych zwojów, nieokiełznanym rumakiem, którego dosiąść trudno, a czasami wprost niepodobna. Nie dziw więc, że Juliuszowi przychodziło to z dniem każdym coraz trudniej, że zamierająca jego inteligencya musiała się wysilać, ażeby coś zrozumieć; że mu się czoło marszczyło, gdy czytał; że czytanie męczyło go w wysokim stopniu i wyczerpywało.

A nie uchodziło to wszystko baczności Edmunda. Jakoż krajało się w nim serce, kiedy, patrząc na twarz Juliusza, na te rysy delikatne i wykwintne, które tak niedawno jeszcze, ożywione i śmiejące się, były niewyczerpaną krynica dowcipów i żartów, najsubtelniejszej ironii i poezyi, a które dziś, jakby ukryte za maską bezmyślności, nic najczęściej nie wyrażały. To też zbierało mu się na płacz, gdy patrzył w te oczy niebieskie, w których tak niedawno jeszcze malowały się przenikliwość niepospolita i spryt, oczy, które magnetyczny jakoby

urok wywierały na kobiety swoją szafirową powłóczystością i melancholią, a które dziś zdawały się zachodzić bielmem i kryć się za niem, jak księżyc za chmurą. I ogarniała go rozpacz na myśl, że właściwie nie ma już brata, bo ten dzisiejszy Juliusz miał się niekiedy do dawnego Juliusza tak, jak mierność do geniuszu, jak ponury egoizm do pogodnej bezinteresowności.

A równocześnie z inteligencją zamierało w Juliuszu — jak to zauważył Edmund — i jego dawne przywiązanie do brata. Ta wielka przyjaźń, będąca jedyną osłodą w ich życiu, przyjaźń, która sprawiała, że nigdy nie czuli się zupełnie osamotnieni, zaczęła teraz w duszy Juliusza pod wpływem choroby wysychać, przeradzać się w obojętność samolubną, obojętność, zarówno apatyczną jak tępą, która czasami zdawała się nie rozumieć po prostu okazywanej sobie czułości, i która nie domyślała się nawet, że brat, nie czując się tak kochanym, jak dawniej, może cierpieć z tego powodu.

II.

— Powiedz, co ci jest, żeś taki smutny, zapytał Edmund, gdy nareszcie znaleźli się w swoim pokoju, przed rozpalonym świeżo na kominku ogniem.

— Dobrze, przeczytajmy Chateaubrianda, odrzekł Juliusz.

— Znowu nie odpowiada na pytanie, pomyślał sobie Edmund, i starając się pokryć wrażenie, jakie na nim zrobiła ta Juliuszowa odpowiedź od rzeczy, zastosował się do jego propozycji; kiedy zaś, wzięwszy ze stołu książkę — *Memoires d'outre tombe* — chciał już sam podjąć się roli lektora, oświadczył Juliusz, że on będzie czytał.

— Dobrze.

I zaczęli czytać. Po upływie godziny, zauważył Edmund, że w głosie Juliusza czuć zmęczenie pewne, że chrząka raz po raz, jakby mu zasychało w gardle, i że często przeciera oczy ręką, jakby go bolały od zbytniego wytężenia wzroku.

— Może odpoczniesz trochę, rzekł. Albo daj, ja poczytam.

— Nie, proszę cię. Siedź i słuchaj. Nie jestem zmęczony zupełnie, przeciwnie...

I zaczął czytać dalej. Edmund, nie rzekłszy ani słowa, słuchał, a właściwie udawał tylko, że słucha, książkę tę bowiem znał prawie na pamięć (bo rozczytywali się kiedyś w Chateaubriandzie dla jego prozy) i nie budziła już w nim dziś żadnego interesu.

I znowu upłynęło z pół godziny.

— Nie odpoczniesz na chwileczkę?

— Nie, nie odpocznę.

Nie! Od tego słowa zaczynały się od niedawna wszystkie odpowiedzi Juliusza: cokolwiek się do niego rzekło, o cokolwiek się go zapytało, na wszystko, często nie dosłuchawszy nawet końca pytania, odpowiadał z zasady: nie. Dziwna metamorfoza!... W tej chwili, choć zmęczony — a czuć to było aż nadto wyraźnie w głosie — uparł się również, i kto wie, czy nie powodując się tylko chęcią sprzeciwienia się bratu, czytał z coraz większym zapamiętaniem, coraz bardziej nachylając się ku lampie, coraz bardziej przybliżając książkę do oczu, aż w końcu zasłonił nią sobie prawie całą twarz, tak, iż z za okładki jej widać było mu jedynie włosy, które targał raz po raz palcami lewej ręki.

I znowu upłynęło z pół godziny. Nagle zatrzymał się, zamyślił, po chwili przeczytał ostatnie przeczytane zdanie powtórnie, ale przeczytał je źle, jakby nie rozumiał, co czyta, przyczem jeden z wyrazów wymówił dziwnie jakoś, nieprawidłowo, szepeliąc. A zwróciło to snąc nietylko Edmunda, ale i jego uwagę, bo zaczął wyraz ten powtarzać, usiłując wymówić go jak należy, lecz nie mógł tego żadnym sposobem dokazać. Zirytowany, odłożył książkę, opuścił głowę na piersi, zmarszczył czoło, po chwili zaś, chwili, która zdawała się być dlań

okropną męczarnią, ręka, w której trzymał książkę, zwisła mu bezwładnie ku ziemi, książka upadła na podłogę...

Widząc to Edmund, podbiegł przerażony do brata, chwycił go konwulsyjnie za obie ręce, zaczął nim targać całym, pytając, co to jest, że przestał czytać, że tak pobladł raptem na twarzy? Ale Juliusz milczał, jak skamieniały, i tylko wzrokiem obłąkanym patrzył przed siebie, w rozpalony na kominku ogień.

— Julku, co tobie? Na miłość boską, powiedz choć słówko jedno, przemów! Czego milczysz tak uporczywie? Czy nie słyszysz, że cię pytam, że cię pyta twój brat, ja, Edmund?!

Przy tych słowach porwał go wpół, uniósł z krzesła, a pocałowawszy kilkakrotnie w blade, zimnym potem wilgotne policzki, zaczął mu się przyglądać i... nie brakło wiele, a samby zwałił się z nóg, takie na nim wrażenie zrobił widok twarzy Juliusza, na której oprócz paru łez, świeżo pociekłych z oczu, malował się jakby przestach... Jednocześnie wargi zaczęły mu drżeć, poruszać się, ale nie wychodziły z nich żadne prawidłowe dźwięki, tylko bełkotanie jakieś, przypominające, ach! skomlenie psa!!!

— Boże mój! miałaby to być paraliż mowy?!
Sama myśl o tem wstrząsnęła tak dalece całą

istotą Edmunda, że stracił głowę i nie wiedział, co czynić. Czuł tylko, że go siły opuszczają, że nogi się zaczynają chwiać pod nim, i że gotów upuścić Juliusza...

— Może posłać po doktora, co?

Ale na to pytanie, Juliusz skinieniem głowy odpowiedział *nie*, i wyrrywając się z objęć brata, parł się do fotelu.

Usiadł. Edmund stał nad nim, pochylony, zrozpaczony, bezradny. Po jakimś czasie, kiedy go zapytał powtórnie, czy nie życzy sobie, aby przyszedł doktor, odrzekł Juliusz: «Nie»... Odpowiedź ta, jakkolwiek krótka, uradowała Edmunda, świadczyła bowiem, że Juliusz odzyskał mowę. Mimo to nie sposób go było nakłonić, ażeby powiedział kilka słów: na wszystko mówił *tak* albo *nie*, odpowiadając zaś, namyślał się przedtem, jakby nie wiedział odrazu, co odpowiedzieć, jakby mu z trudnością przychodziło zrozumieć zadane sobie pytanie.

Nagle nachylił się po upuszczoną książkę, rozwinął ją (nie w tem miejscu jednak, gdzie się zatrzymał), przysunął, prawie przyłożył do oczu i usiłował czytać. Ale pomimo niezmiernego natężenia wzroku i woli, utknął na pierwszym wyrazie, którego przeczytał jedną sylabę *pa...* nie mogąc go w żaden sposób dokończyć. Przypuszczając

znać, że sledząca poza nie pozwala mu dokładnie rozróżniać liter, powstał (a uczynił to tak raptownie, jakby go coś podrzuciło niespodziewanie na krzesło) i zaczął się nerwowym krokiem przechadzać po pokoju, trąc czoło, przecierając oczy, targając włosy; rzekłbyś, że chciał poruszyć i przeorać palcami mózg, odmawiający mu posłuszeństwa. Nareszcie, przeszedłszy się tak kilka razy, znowu podszedł do stołu, do lampy, usiadł, ale i w tej chwili ani jednego nie mógł przeczytać wyrazu... W końcu odłożył spokojnie książkę i zamyślił się. Edmund, który patrzył na to wszystko, nie mógł się powstrzymać od płaczu: rozumiał bowiem, iż miał przed sobą obraz nie dającej się opisać rozpacz, rozpacz literata, którego jedyną namiętnością w życiu było pisanie książek, a który się spostrzega niespodziewanie, że już czytać nawet nie może... I wyobrażał sobie, co za okropna tragedia rozgrywać się musiała pod czaszką tego człowieka, i ukrywając twarz w dłoniach, wołał nie widzieć nic, rozdierający bowiem, błagalny wyraz oczu Juliusza, ile razy nań spojrzał, wyraz, który zdawał się mówić: «Ratuj mnie, bracie, spraw, ażebym mógł wyzdrowieć...» zbyt silnie wstrząsnął nim całym. Nie zapomni go nigdy!...

III.

Ale był to na szczęście tylko chwilowy atak, który przeszedł jak burza, który przecież — jak się w godzinę później zdawało Edmundowi — żadnego prawie nie pozostawił śladu po sobie. Jakoż, kiedy w godzinę później ukazała się we drzwiach stara Pelagia, niegdyś mamka Juliusza, którą już od szeregu lat mieli w swoim domu dla prowadzenia gospodarstwa, a która ich przyszła teraz prosić na obiad, Juliusz spokojnie wygrzewał się już przed kominkiem, Edmund zaś czytał mu na głos Chateaubrianda.

Przy obiedzie jednak, spożywanym w milczeniu, a który o tyle zdawał się smakować Juliuszowi, o ile Edmund przymuszał się do jedzenia, uderzyło tego ostatniego, że Juliusz, nie tylko kraje rybę nożem, ale trzyma widelec całą ręką, jak dziecko, które jeść nie umie. Przytem mlaskał ustami, a ile razy zdarzyło się, że sobie kurtkę sosem pochłapał, uśmiechał się bezmyślnie. Co gorsza, to, że zdawał się być tak zaabsorbowany jedzeniem i tem, co przed nim leżało na talerzu, iż równie mało troszczył się o to, co robi w tej chwili jego brat, jak i o to, co go spotkało dzisiaj po powrocie z przechadzki...

Edmundowi sprawiało to przykrość niewystowioną: poprostu nie mógł patrzeć na ten zanik w Juliuszu wszystkiego, co było dystynkcyą, a co zeń jeszcze do niedawna czyniło najdystygowańszego pomiędzy dystygowanymi. Niestety, jak to się dawało teraz zauważyć, choroba, która, jak piorun drzewo, powaliła Juliusza, burzyła w nim oprócz inteligencyi i siły twórczej, jeszcze i tę wykwinność, jaka go cechowała we wszystkim, jeszcze i ten wdzięk w obejściu, który mu był właściwy, jeszcze i tę elegancyę, którą się odznaczał, słowem, to wszystko, co było w nim arystokratycznego, niepospolitego.

Po obiedzie, kiedy powrócili do swego pokoju, Juliusz, spostrzegłszy na stole egzemplarz *Manette Salomon*, otworzył go na chybi trafi i zaczął czytać; tym razem po cichu, dla siebie wyłącznie. Edmund, nie przestając obserwować brata, usiadł na kanapie, z plikiem dzienników wieczornych w rękę, i zaczął je, pół leżąc, pół siedząc, przeglądać.

Wtem podszedł do niego Juliusz i wskazując palcem jakiś frazes, który mu szczególnie trafił do przekonania, rzekł:

— Zawsze to *było* dobrze zrobione.

To jedno tak niewinne na pozór powiedzenie zwiększyło jeszcze smutek Edmunda, zauważył bo-

wiem, że Juliusz od kilku już dni, ile razy wspominał o której ze swoich powieści, nie wyrażał się nigdy w czasie teraźniejszym, tylko w przeszłym. «To *było* dobrze zrobione. To *było* dobre». Dlaczego nie wyraził się nigdy: «To *jest* dobre, to *jest* dobrze napisane». Dlaczego? Dlatego, że pomimo całego zaniku władz intelektualnych z jednego tylko zdawał sobie sprawę dokładnie: że «wyraźniaczkę książek» t. j. literat-artysta, umarł w nim raz na zawsze i nie zmartwychwstanie już nigdy.

Temu samemu przeświadczeniu należało również przypisać i tę obojętność lekceważącą, z jaką się ostatnimi czasy wyrażał niejednokrotnie o napisanych przez siebie dziełach: jak gdyby to nie były jego dzieła, jak gdyby to nie jego imię i nazwisko, obok imienia brata, stało wydrukowane na ich okładkach. Poprostu przestały go rzeczy te interesować i rzeczywiście nic go nie obchodziło, czy książki te mają powodzenie, czy krytyka wyraża się o nich pochlebnie, czy też stara się je ośmieszyć. Dawniej, jeszcze rok temu, kiedy wypuścili w świat jaką książkę, co parę dni wstępował do Charpentiera, zapytując, jak idzie sprzedaż, czy książka *idzie*; a kiedy się dowiedział, że *nie idzie*, a przynajmniej idzie leniwo, nie tak, jak się spodziewali, wracał do domu zmartwiony, bez humoru, bez apetytu, zniechęcony, a nieraz i ze

łzami w oczach. A tymczasem dziś można było zaręczyć, że tak samo nie wzruszyłaby go wiadomość, iż ostatniej ich powieści rozeszło się 100.000 egzemplarzy, jak i wiadomość, że nie sprzedano ani jednego.

Te i tym podobne refleksje nie dawały Edmudowi spokoju. Udując przed bratem, że, zaczytany w dziennikach, nie zwraca na niego uwagi, nie rozumiał właściwie, co czytał. A zresztą co go dziś mogła obchodzić polityka, co różne efemeryczne wiadomości bieżące, o których dzisiaj pisano, a nad którymi świat jutro już miał przejść do porządku, kiedy cała istota jego była zaabsorbowana myślą o tym człowieku, którego widział przed sobą, którego uważał za swoją lepszą połowę, a który przechadzając się teraz zadumany po pokoju, kto wie, jak długo jeszcze przechadzać się tak będzie? Kto wie, co się z nim stanie za kilka dni, za kilka tygodni? I mimowoli uprzytamniał sobie całą przyszłość swoją, w razie, gdyby pozostał sam, jak wdowiec. Co pocznie wówczas? Cokolwiekby, wątpił, ażeby mógł pisać, nie mając przy boku brata, z którym dotąd, wszystko co tworzył, pisał razem, wspólnie, w jednym czasie, w jednym pokoju, przy jednym stole. Więc złamię pióro? Kto wie, czy nie najlepiejby uczynił, zaniechawszy pisanie, bo gdyby nawet, uspokoiwszy się po pe-

wnym czasie, znów wziął się do pióra, czuł, iż nie zasiadałby do pracy z dawnym zapałem, z dawną wiarą w swój talent twórczy! Ostatnią iskrę zapalu gasiłoby w nim niezłomne przeświadczenie, że nigdy to, co napisze sam, nie będzie tak dobre, jak to, co pisali razem, we dwóch.

Z kolei nasuwało mu się inne pytanie: Kto wie jednak, czy śmierć nie wyjdzie Juliuszowi na dobre? Czy nie będzie dlań dobrodziejstwem, wyzwoleniem, zrzcuceniem tego fatalnego krzyża, pod którego brzemieniem ugiął się, a który dźwigał już 15 lat przeszło, t. j. od chwili, w której powiedział sobie, że jest literatem, artystą?... Bo uwierzyć prawie niepodobna, ażeby człowiek ten, z takim entuzjazmem rwący się — w zaraniu swej karyery — do życia i do wszystkiego, co się dało podciągnąć pod wspólny mianownik sztuki, ażeby człowiek ten nie obrzydził sobie w końcu tej sztuki i tego życia, które aż do obecnej chwili dało mu się z jednej tylko poznać strony: jako nieprzerwane pasmo zawodów i rozczarowań, jako szereg zmartwień i zgryzoł, jako daremna gonitwa za znikomem widmem Sławy, jako jedna wielka przegrana w walce z uznaniem powszechnem, z publicznością i krytyką.

Tymczasem Juliusz, snąc zmęczony chodzeniem po pokoju, usiadł, a po chwili, osunąwszy się w fo-

telu, przymknął oczy, jakby zaczynał drzemać. Spostrzegłszy to Edmund, zaproponował mu, czy się nie położy do łóżka. Nie miał nic przeciwko temu.

Kiedy przeszli do sypialnego pokoju i Juliusz zaczął się rozbierać, Edmund, jak co dnia od kilku już tygodni, był mu przy tej czynności pomocnym. Drugi na jego miejscu możeby w tem widział rodzaj poniżenia dla siebie; on jednak przeciwnie, uważał, że zdejmowanie butów człowiekowi, którego się kocha (a cóż dopiero, jeżeli tym człowiekiem jest brat rodzony, i to taki, jak Juliusz!) nie ma w sobie nic upokarzającego...

Zazwyczaj, kiedy się Juliusz rozbierał, a Edmund znajdował się przy nim, rozmawiali podczas tego; dzisiaj milczeli obydwoj. Dopiero, gdy Juliusz znalazł się pod kołdrą i trzeba sobie było powiedzieć *Dobranoc*, Edmund pochylił się nad chorym i, całując go w czoło, rzekł serdecznie, jakby ojciec do dziecka:

— A teraz staraj się spać, bo przedewszystkiem potrzeba ci snu. .

W tejże chwili, zanim zdążył jeszcze ostatni dopowiedzieć wyraz, ręce Juliusza — niczem białe ramiona kobiety kochającej — opłótły mu się wokoło szyi, usta zaczęły szukać ust, aż w końcu złączyły się pocałunkiem. Równocześnie położyli się obydwoj

łzy rzęsiste z oczów... Co jednak było powodem na razie, że się tak rozplakali, jak dzieci? Na to pytanie nie umiałby żaden z nich dać odpowiedzi.

Skoro się uspokoili nareszcie, rzekł Edmund: «Czy nie potrzebujesz czego?»

— *Nou-ice*, odpowiedział Juliusz zmienionym głosem, co miało znaczyć, że nie chce w pokoju zostać sam, tylko pragnie, ażeby mamka jego, *nou-ice*, stara Pelagia, siedziała przy nim, przy łóżku.

Od czasu bowiem, jak był chory, musiał ktoś zawsze być przy nim: albo brat, albo Pelagia. Nie znosił też, ażeby w pokoju było ciemno; zawsze się musiała palić lampka.

Edmund zadzwonił na Pelagię, a kiedy przyszła ze starą książką do nabożeństwa w rękę, przeszedł do swojej sypialni w przyległym pokoju.

IV.

Nie myślał jednak o spaniu. Przedewszystkiem starał się uprzytomnić sobie w pamięci różne fakty, zaszłe dnia dzisiejszego, poczynawszy od owej sceny na spacerze, a skończywszy na ostatniem słowie, powiedzianem przez Juliusza, na owem żądaniu, ażeby przyszła stara Pelagia, którą nazwał *nou-ice* zamiast *nourice*. Czego była objawem ta niemoż-

ność wymawiania, jak się wymawiać powinno, niektórych słów? Czemu przypisać, że Juliusz, tak samo, jak nie mógł wymówić *nourice*, mówił czasami *tolère* zamiast *colère*; że mu od kilku dni wymawianie pewnych nawet liter nieprzezwykłą sprawiało trudność, tak, iż najczęściej, jak małe dziecko zmiękczał *r* w *l*, *k* w *t*, i t. p. Co-kolwiekbądź, to wyraźne zdziecinnienie, objawiające się nietylko w całym postępowaniu Juliusza, ale i w mowie, nie wróżyło nic dobrego!

Jednocześnie zaczęła się w Edmundzie walka wewnętrzna pomiędzy czułym kochającym bratem a... literatem; pierwszy kazał mu się troszczyć o Juliusza; drugi przypominał to, co od tylu już lat przeszło u nich w nałóg: pisanie.

Jakże dawno — myślał sobie Edmund mimowoli — nie miałem już pióra w rękę! Jakże dawno nie zaglądałem nawet do naszego dziennika¹⁾, w którym ostatnie notatki były jeszcze przez Juliusza pisane!... I zdjęła go nagle wielka, nieprze-parta ochota zapisania kilku kartek w tym dzienniku, który prowadzili od samego początku swej literackiej karyery, w którym opisywali wszystko, co zaszło w ich życiu ważniejszego, w którym się

¹⁾ Ogłoszonego z czasem w sześciu tomach, jako *Journal des Goncourt*.

spowiadali ze swoich uczuć, radości i smutków, w którym z kronikarską sumiennością notowali wszelkie charakterystyczne rozmowy swoje z wybitniejszymi przedstawicielami literatury, polityki, filozofii, arystokracji, i w którym wreszcie, ostatnimi czasy, Juliusz nie mogąc sypiać po nocach, spisywał swoje wspomnienia dzieciństwa, idylliczną historię swojej pierwszej miłości etc. etc. Z myślą o tym dzienniku i w zamiarze pisania go w dalszym ciągu, Edmund przeszedł do *pracowni* (bo nie nazywali inaczej pokoju, w którym pracowali), zapalił świecę i siadłszy przy stole, co mu w tej chwili dziwną sprawiało przyjemność, zaczął przeglądać ostatni zeszyt *Dziennika*, odczytał kilka ostatnich *samoobserwacji* Juliusza, aż w końcu przysunął sobie bliżej kałamarz, umoczył pióro i zaczął pisać... O czym? O przebiegu choroby brata: od dnia 19 stycznia, z którego pochodziła ostatnia zapisana przezeń kartka, aż do chwili obecnej.

Zajęcie to, którego był spragniony, jak morfinista morfiny, absorbowało go tak dalece, że nie spostrzegł się nawet, jak na zegarze wybiła północ, że zapomniał nie tylko o tem, iż czas byłoby udać się na spoczynek, ale i o tem, że Juliusz może nie spać. Z chwilą, kiedy się usadowił w swoim krześle, i kiedy pochylony nad stołem, który

był ich «warsztatem», ujrzał przed sobą mnóstwo białego, czystego papieru, przebudził się w nim literat, który wtedy jedynie, gdy pisał, był sobą, który się wówczas czuł jak ryba w wodzie, i któremu to tak było potrzebne do szczęścia, jak pijakowi alkohol. Opanowany *namiętnością tworzenia*, namiętnością, która z powodu choroby Juliusza nie mogła od trzech miesięcy blisko znaleźć ujścia dla siebie, teraz, skoro mu się po tak długiej przerwie udało przypadkiem dorwać do swego ulubionego zajęcia, nie dziw, że był gotów przesiedzieć całą noc bodaj, że potrzeby snu nie odczuwał żadnej, i że, zapisawszy w dzienniku, co zapisać pragnął, skoro spostrzegł rękopis książki o Gavarnim, zabrał się niezwłocznie do przeglądania go, do czytania z piórem w ręku.

Juliusz tymczasem, wyczerpany ostatnim atakiem, usnął niedługo, co widząc Pelagia, wysunęła się cicho z pokoju i wróciła do siebie, do swojej stancyi. Nie przypuszczała, że «młodszy pan» (bo tak nazywała zawsze Juliusza) może się przebudzić wkrótce po jej wyjściu, i że, ujrzawszy się sam w syplalni, nie strzeżony przez nikogo, może mieć z tego powodu żal do niej...

A jednak stało się nie inaczej: Juliusz bowiem, skoro się obudził i spostrzegł krzesło, na którym zwykła była siedzieć Pelagia, opróżnione, uniósł

się na posłaniu, usiadł i zaczął nasłuchiwać. Cicho. Oprócz zegaru ściennego, którego miarowe tykanie ledwo dawało się słyszeć, panował dokoła głuchy, niczem niezakłócony spokój. Na komodzie, pod lustrem, przestonięta zielonym ekranem papierowym, paliła się lampka nocna. W sypialni Edmunda było ciemno. Spał widocznie...

Nagle wybiła dwunasta. Czy też on śpi, pomyślał sobie Juliusz o bracie i jednocześnie ogarnęła go dziwna jakaś niespokojność na samą myśl, że może być sam, że Edmund... W głowie mu się zaczęło mącić i, lękając się czegoś, sam nie wiedząc czego, zawołał pół głosem: «Edmundzie!» Żadnej odpowiedzi. «Edmundzie, czy śpisz?» Znowu milczenie. «Edmundzie!» zawołał głośniejsze. Nikt się nie odzywał... Tknięty jakimś przeczuciem złowrogiem, drżąc — ze strachu — na całym ciele, wyskoczył z łóżka, podbiegł do komody, chwycił lampkę i wpadł z nią do pokoju Edmunda. Ale o dziwo! Łóżko było posłane, lecz nikt w niem jeszcze nie leżał. Cóż więc mogło się stać z Edmundem? Gdzie się podziewał?...

A może jest w pracowni? Nie zdając sobie dokładnie sprawy, dlaczego spodziewał się znaleźć brata o tej porze tam właśnie, a nie gdzieindziej, podążył w kierunku pracowni. Jakoż zdaleka już spostrzegł, że się świeciło w niej; po chwili zaś,

kiedy stanął we drzwiach, przekonał się, że go przeczucie nie zawiodło: Edmund siedział przy stole, przy jednej dopalającej się świecy, czego nie zdawał się spostrzegać, i pisał!... Na widok ten zaczęły się nogi chwiać pod Juliuszem, tak, iż musiał się oprzeć o framugę, ażeby nie upaść, a jednocześnie lampka wysunęła mu się z ręki i upadła, tłukąc się, na podłogę. Edmund, usłyszawszy brzęk rozbitego szkła, zerwał się z krzesła... W tejże chwili ujrzał Juliusza, w koszuli, boso, bladego jak trup, przypatrującego mu się wzrokiem obłąkanym, błędnym, z wyraźnym odcieniem wyrzutu.

— Na miłość boską, co ty tu robisz?

Juliusz nie odrzekł ani słowa, tylko się zaczął coraz bardziej osuwać ku ziemi... Widząc to Edmund, podskoczył doń, przytrzymał, a przekonawszy się, że Juliusz zemdłał, chwycił go wpół, wziął na ręce jak dziecko i, płacząc, zaniósł — jak Lear Kordelię — do sypialni, do łóżka.

V.

Nazajutrz odwiedził ich Edward Lefebvre, świeżo powracający z Włoch, skąd pisywał do Juliusza pełne zachwyty listy, a dokąd mu Edmund, wyrę-

czając brata, donosił o jego rozpaczliwym stanie zdrowia. Wieściami temi zaniepokojony, jako szkolny kolega bowiem i najserdeczniejszy przyjaciel Juliusza z lat dziecinnych kochał go jak brat rodzony, ledwo się znalazł z powrotem w Paryżu, uważał sobie za najpierwszy obowiązek pojechać do Auteuil, aby się przekonać, czy rzeczywiście z Juliuszem jest tak źle, jak o tem musiał wnioskować z listów Edmunda.

Nie było jeszcze dziesiątej, kiedy się zatrzymał przed ich willą. Pewny, że zastanie Juliusza w łóżku, zdziwił się niepomniernie (a było to miłe nad wszelki wyraz zdziwienie), kiedy, minąwszy bramę, ujrzał obu braci w ogrodzie, widocznie używających świeżego powietrza; cóż dopiero, kiedy Juliusz, spostrzegłszy go niespodziewanie, uradowany, przyspieszył kroku, ażeby się z nim przywitać i uściśkać.

— Ależ ja nie widzę bynajmniej, abyś znowu był taki chory. Nie wyglądasz świetnie, to prawda, nie uważam jednak, byś dawniej wyglądał o wiele co lepiej. Tłustym ani rumianym na twarzy nie będziesz nigdy.

— Ha, trzymam się, jak mogę, choć nie zawsze jest mi tak dobrze, jak dzisiaj... Prawda, Edmundo?

Lecz Edmund nie odrzekł na to ani słowa, jak

gdyby go to raptowne od rana polepszenie w zdrowiu Juliusza niepokoiło raczej, niż cieszyło.

Swoją drogą nie mógł się tem nie cieszyć, ani okazywać radości swej bratu, widząc go od pierwszej chwili, kiedy wstał z łóżka, takim ożywionym i zdrowym na pozór, jak za najlepszych czasów. Z drugiej strony dawało mu to niemało do myślenia, a nasuwając różnego rodzaju refleksye, nasuwało i tę między innemi: czy przypadkiem nie należy tej nagłej metamorfozy w Juliuszu uważać jako objaw... dogasającego życia? Bo i świeca przecież, kiedy się dopala, błyska zazwyczaj, nim zgaśnie ostatecznie, żywszym i jaśniejszym płomieniem.

Cokolwiekby, dawno już nie czuł się Juliusz tak dobrze, jak dziś, ani był w tak wyśmienitym humorze. A humor ten, z chwilą przyjazdu Lefebvre'a, ożywił się i wzmógł tak dalece, iż patrząc na brata, który nie dalej, jak wczoraj, zdawał się umierać, Edmund oczom wierzyć nie chciał, i nawet mu wstyd było trochę przed Lefebvre'em, któremu — myślał sobie teraz — opisywał może stan Juliusza w zbyt czarnych i beznadziejnych kolorach. Tymczasem cieszył się serdecznie z podobnego obrotu rzeczy i, oczu od Juliusza oderwać nie mogąc, doznawał rozkosznego złudzenia (o ile go nie rozwiewała trzeźwa refleksya), że choroba

tego człowieka była może przywidzeniem tylko, snem przykrym, który się skończył jednak, i którego nie godzi się zbytnio obawiać.

Jak gdyby chcąc Edmunda utwierdzić w tem przekonaniu, Juliusz, kiedy przeszli wszyscy trzej do mieszkania, do pracowni, z takim przejęciem się, z taką werwą nieporównaną opowiadał Lefebvre'owi o *Gavarnim*, który jeszcze, jak mówił, wymagał ostatecznego *retuszu*; z takim niezwykłym zainteresowaniem się słuchał opowiadań Lefebvre'a o Włoszech, o Rzymie; z takim rozczuleniem wspominał swój pobyt w wiecznem mieście, o którym, jak się wyraził, nie mógł pomyśleć poprostu, ażeby mu się nie przypomniała natychmiast *Madame Gervesais*¹⁾; że Edmundowi zarówno, jak i Lefebvre'owi, z radości aż serca były żywiej w piersiach i nie mogli się dość wydziwić temu świetnemu usposobieniu dzisiejszemu swojego przyjaciela i brata, którego obydwaj uważali już za straconego nieledwie, a którego teraz, zdawało się im, odzyskiwali nanowo, takiego samego, jakim był dawniej.

Niestety, nie trwało to długo. Po śniadaniu, ledwo pożegnali Lefebvre'a, który się im obiecał

¹⁾ Ostatnia powieść braci de Goncourt, napisana przez nich wspólnie.

za parę dni, kiedy zostali sami i Edmund zaproponował spacer, Juliusz zaczął się temu opierać, aż w końcu, zniecierpliwiony, oświadczył: «Idź sobie sam, jeśli masz ochotę się przejść, ja nie pójdę». A powiedział to takim tonem, że Edmundowi odrazu ręce opadły: przeczuwał bowiem, na co się zanosilo, czego ta odpowiedź szorstka miała być zwiastunem. Jednocześnie przypomniało mu się, że Juliusz nie zażył jeszcze lekarstwa, które miał przepisane, a które, jako składające się z chininy i bromu, wzmacniając go, uspakajało zarazem. Zwykle sam o tem pamiętał, tak dalece, iż często nie mógł się doczekać «godziny proszków» i ciągle patrzył na zegar: czy już czas? Czuł, że mu pomagały, wlerząc z naiwnością dziecka, że od proszków tych zależy jego wyzdrowienie. To też zażywał je łapczywie i zachęcać go do tego najmniejszej nigdy nie było potrzeby. Dzisiaj tymczasem, dziwna rzecz, kiedy mu o nich wspomniano, obruszył się zniecierpliwiony, a kiedy Edmund nie ustępował, tylko nalegał coraz silniej, perswadując, że pierwszym warunkiem, ażeby wyzdrowieć, jest stosować się do wskazówek lekarza, Juliusz przerwał mu w połowie jego «kazanie» prośbą — nie wypowiedzianą jednak tonem prośby — żeby się nim przestał «z łaski swojej» opiekować, bo on sam wie najlepiej, co robić.

— Ot, poszedłbyś sobie lepiej na spacer, zamiast mnie nudzić ciągle i dręczyć swoim mentorstwem.

Edmunda dotknęło to boleśnie, a że i jego wyrozumiałość miała swoje granice, tembardziej, że sam będąc nlezdrow i zdenerwowany w najwyższym stopniu, nie odznaczał się tymi czasy zbyt dużą cierpliwością, więc zapanował nad sobą o tyle tylko, żeby się pohamować i nie odpowiedzieć ani słowa, i wyszedł.

W przedpokoju wziął kapelusz i palto, poczem, wstąpiwszy do pokoju Pelagii, zalecił jej, ażeby uważała na «młodszego pana», dopóki on nie powróci...

— A bardzo być może, iż nie powrócę tak prędko.

VI.

Z chwilą jednak, kiedy się znalazł na dworze, doznał jak gdyby skrupułu, że może uniósł się cokolwiek, że nie stać go było na wyrozumiałość względem chorego, wyrozumiałość siostry miłosierdzia. Jakoż możeby się zawrócił, gdyby nie rzeczywista potrzeba przejścia się i fizycznego znużenia. Dlatego — ale też i jedynie dlatego — postanowił wytrwać w raz powziętym zamiarze i na-

dać dzisiejszej przechadzce pozór kary, wymierzonej przeciwko temu czterdziestoletniemu dziecku, które nie chciało zarzyć lekarstwa, za co musi odpokutować teraz dwugodzinną samotnością, ta zaś powinna mu się dać o tyle dotkliwiej uczuć, że od ostatniego razu, kiedy się rozłączyli na 24 godzin, upłynął już rok przeszło, a dodać wypada, że dzień taki zdarzył się w przeciągu 22 lat raz jeden!

Tymczasem Edmund, nie będąc pewnym, czy Juliusz to jego wyjście istotnie za karę dla siebie uważać będzie, przekonał się rychło, że ukaranym i zdającym sobie sprawę z tego jest on właściwie, nie Juliusz; przechadzka bowiem, w podobnych odbywana warunkach, nie mogła poprostu nie być torturą. Przedewszystkiem dręczył go niepokój o brata: co zrobi po jego wyjściu? Czy się tem zmartwi? Czy sobie sprzeczki tej za bardzo nie weźmie do serca? Czy po chwilowem zastanowieniu nie puści się za nim w pogoń przeprosić go? A może, broń Boże, nowego dostanie ataku?... Kiedy mu to przyszło na myśl, już chciał wracać, kiedy przypomniał sobie, że w tej chwili musi być u Juliusza doktor Beni-Barde, ich dobry znajomy i przyjaciel; w razie czego więc, gdyby się choremu pogorszyło przypadkiem, nie będzie pozbawiony należytej pomocy. A zresztą jest Pelagia...

Tak rozumując, zdecydował się koniec końców dojść przynajmniej do Meudon, bo nie zapomniał, że i jego nerwy doszły do ostatecznego stopnia rozprężenia, i że, chcąc je wzmocnić, należało używać, o ile możliwości, jaknajwięcej ruchu...

I spokoju. Chociażby podczas spaceru! On tymczasem, na to, żeby nie być tak, jak obecnie, ciągle trapionym niespokojnością, potrzebował najprzód mieć zdrowego brata, źródłem bowiem wszelkich jego trosk i zmartwień był Juliusz, który swój opłakany stan, w jakim się od kilku już miesięcy znajdował, miał po części nie komu innemu do zawdzięczenia, tylko jemu, swojemu bratu i najlepszemu przyjacielowi... A to jakim sposobem? Bardzo prostym.

Gdyby nie jego wpływ, Juliusz zostałby prawdopodobnie malarzem, nie literatem. Do malarstwa miał niemniej talentu, aniżeli do zawodu pisarskiego, a malowanie obrazów nie takby go wyczerpywało, jak praca umysłowa. Powtóre, do sławy autorskiej Juliusz nie przywiązywał z początku wielkiej wagi: ambicya jego pod tym względem nie zakreślała zbyt rozległych horyzontów. Przeciwnie: jako skończony prawnik, obdarzony dwoma talentami, malarskim i pisarskim, zadowoliliby się może skromnym tytułem dyletanta, nie marząc wcale, ażeby sobie zasłużyć kiedyś na

mlano Mistrza. Bardzo być może, iż wrodzona inteligencya i żywość, w połączeniu z tym niepospolitym darem podobania się ludziom i kobietom, i jednania sobie raz na zawsze ich sympatyj, pozwoliłyby mu ożenić się szczęśliwie, o czym nawet marzył przez czas pewien, i przeszedłszy przez życie spokojnie, w równowadze ducha, doczekać pogodnej, siwowłosej starości; opromienionej pociechą z dziełek i wnuków. Jeżeli stało się inaczej, to winnym wszystkiego nie był kto inny, tylko on, Edmund. Z natury ambitny nad wszelki wyraz i żądny sławy na polu twórczości literackiej, starał się podobną żądzę rozbudzić i w Juliuszu, a skoro mu się to udało wreszcie, zapomniał — sam zdrow i silny — że wątły organizm brata może nie przetrzymać takich wysiłków, jakie on przetrzymać jest zdolny, i nie brał tego w rachubę. Sam uważając instytucję małżeństwa za szkodliwą dla artysty, bo odwodzącą go od służenia *wyłącznie* Sztuce, starał się przekonanie to wszczepić także i w brata, i dopiął celu. Lecz w rezultacie przerachował się: nie obliczywszy rozważnie sił swego towarzysza, włożył na jego barki ciężar zbyt wielki i... złamał go. I oto dziś doszedł do tego, że może wkrótce zostać sam jeden...

Pod wpływem takiego sposobu rozumowania

zatarł mu się w myśli właściwy powód, dla którego był wyszedł z domu, a natomiast ogarnęła go mimowolna czułość, kiedy sobie uprzytomnił scenę, jaka się pomiędzy nimi rozegrała dzisiejszej nocy, a która wstrząsnęła nim tak silnie, iż do samego rana przeleżał w łóżku bezsennie, nie mogąc się opędzić halucynacyjnemu wspomnieniu tej chwili, gdy ujrzał Juliusza we drzwiach... I wyobrażał sobie, co się musiało dzieć w jego duszy skoro mu się schwytać udało brata na gorącym uczynku pracy, do której on nie był już zdolny! Scena ta wciąż stała mu przed oczyma i doznawał takiego uczucia, jakiego doznawać musi wiarolomna żona, schwyтана przez męża na schadzce z kochankiem; i wstyd mu było później przed samym sobą, uważał bowiem, że postępkami tym wielką bratu wyrządził krzywdę.

Tymczasem, nie wiedząc, kiedy i jak, znalazł się na drodze ku Meudon. Jakże często przechodzili tędy i przejeżdżali z Juliuszem! Ileż wspomnień wesołych, a nawet swawolnych, wiązało się w ich życiu z tą miejscowością! Ileż razy szukali tam rozrywki w licznych towarzystwach kolegów, a niejednokrotnie i kobiet! Jakże wtedy byli szczęśliwi, silni, zdrowi, weseli! Naprzykład ów ostatni obiad, spożyty w *le bas Meudon*. Było ich kilku... Były i kobiety... Do stołu zasiedli na pięk-

nej werandzie, ocienionej winem, a wychodzącej na ogród. Dzień był upalny, bez wiatru. Drzewa tchnęły aromatem. Klomby pachniały rezedą. Stół był również przybrany kwiatami. Po obiedzie robili *cruchon* z szampana i brzoskwiń. Humory były wyśmienite. Juliusz, podniecony szampanem, sypał dowcipami, zabawiał całe towarzystwo anegdotami, w których opowiadaniu celował. O drzewa ogrodu obijały się raz po raz głośne wybuchy śmiechu, gwar ożywionej rozmowy, szklany brzęk kieliszków, śpiewy etc. A dziś?... On posiwiął przedwcześnie, a Juliusz...

O niemniej smutne myśli przyprawił go w kilka minut później dostrzeżony w oddali, w stronie Saint-Cloud, nlewiełki renesansowy pałacyk Charles Edmonda ¹⁾. Szczęśliwy! Kto wie, czy nie chodzi w tej chwili po ogrodzie, polewając kwiaty, w których się tak kocha? A może siedzi w swoim gabinecie i pracuje, spokojny, niczem nie wytrącony z równowagi, cały zaabsorbowany myślą o tem jedynie, co pisze? Oni tymczasem... Dawniej, ile razy jeździli do Saind-Cloud albo wracali stamtąd, zawsze wstępowali po drodze do tej ustronnej willi, ażeby zapytać chociaż o zdrowie jej sympatycznego właściciela, uciekającego tu przed rozgar-

¹⁾ Chojeckiego.

dyaszem ulic paryzkich... Jeszcze parę tygodni temu, będąc w tych stronach razem, we dwóch, kiedy ujrzeli z za wierzchołków drzew wyglądający renesansowy dach domu Chojeckiego, Juliusz, zapytany, czyby nie wstąpił do starego przyjaciela, z którym się już nie widzieli bardzo dawno, dał odpowiedź odmowną... Od czasu bowiem, gdy zapadł na zdrowiu, unikał ludzi, jakby się ich wstydził, a raczej, jakgdyby się wstydził przed nimi swojego «niedołęstwa». Jakoż najszcześniejszym się czuł, kiedy byli we dwóch, sami.

Tego samego dnia — przypomniał sobie teraz Edmund — wracając z przechadzki, spotkali jakąś służącą z koszykiem w ręku, powierzchownością swą w zupełności odpowiadającą typowi, jaki wyobrażali sobie, pisząc powieść o *Germinii Lacerteux*. Uderzony tem podobieństwem, rzekł Juliusz: «Czy nie uważasz, że ta dziewczyna przypomina bardzo naszą...» Tu urwał nagle, albowiem zapomniał tytułu swojej własnej powieści!... W ten sposób przejawiała się u niego atrofia mózgu, na którą, zdaniem lekarzy, nie było lekarstwa, a której szybki rozwój można było powstrzymać — jak mówili — jedynie absolutnem zaniechaniem pracy umysłowej. Zalecali także szukanie rozrywek. Niekonsekwentni! Bo jak można kazać bawić się człowiekowi, dla którego nie jest tajemnicą prawdziwy stan jego

zdrowia, i który sobie najdokładniej zdaje sprawę z tego, co go czeka, jakie nad jego głową wisi niebezpieczeństwo!... Mimo to, zastosowywali się do porady doktorów, i nie tylko, że przestali pracować, do czego zresztą Juliusz coraz mniej czuł się zdolny, ale zaczęli nadto — dla zabicia czasu poprostu — baraszkować. Nie przychodziło im to jednakże łatwo, raz dlatego, że Juliusz nie chciał się widywać z nikim, a powtórę, że nie sposób było zapomnieć na chwilę chociażby, w jakim celu idą naprzykład do cyrku, albo do jakiegoś *café-concert*. Wobec tego, nie dziw, że naprawdę nie bawili się nigdzie i nigdy, że najwyżej udawali czasami przed sobą, iż się bawią istotnie, ale to rozpaczliwe strojenie się w nieswoje pióra dobrego humoru i sztucznej wesołości tem większemu jeszcze pozwalało się później zagnieżdżać smutkowi w duszy...

W ten sposób schodziły im całe tygodnie. Któregoś dnia — przed miesiącem najwyżej — po powrocie z Łasku Bułońskiego, gdzie spędzili dwie godziny przeszło, przejeżdżając się wynajętym powozem po modnej *Alée des Accacias* i przypatrując się korsu, co w gruncie rzeczy nudziło ich swą banalnością i bezmyślnością, malującą się na twarzach tej śmietanki paryskiego towarzystwa, wstąpili na obiad do restauracji Tortoniego na

wielkich bulwarach. Pamiętny to był obiad! Choć wszystko, co zażądali, było wyśmienite, i potrawy i wina, nic im nie smakowało. Siedzieli naprzeciw siebie, przy osobnym stoliku, i jedząc, a raczej przymuszając się, ażeby jeść, (jeden bowiem grał komedję przed drugim i udawał, że je z apetytem) tak samo, jak do jedzenia i picia, przymuszali się do gawędki, co im wszakże o wiele trudniej jeszcze przychodziło, aniżeli spożywanie potraw. To też, pomimo obustronnych wysiłków, wątek rozmowy rwał się raz po raz, aż w końcu, podczas deseru, wyczerpawszy temat pogody, nowości teatralnych, paru anegdot i *menu* ukończonego obiadu, umilkli, jakby im kto zakneblował usta, i nie mieli o czem mówić. A czemu? Domyśleć się łatwo: nie chcieli mówić o tem, co obydwom leżało na sercu: o chorobie Juliusza. Ale przyszło ostatecznie i do tego, a sprawił to garson, podając wodę miętową do płukania ust, w niebieskich szklankach, wstawionych w głębokie miseczki z takiegoż błękitnego szkła. Otóż Juliusz, sięgnąwszy po swoją, uczynił to tak niezręcznie, że szklanka wysunęła mu się z ręki, upadła na ziemię i stłukła się. Woda się naturalnie rozlała: częścią na obrus, częścią na podłogę. Zmieszany tem, Juliusz zerwał się nerwowo z krze-

sła i przewrócił lichtarz ze świecą, która padając, stłukła kieliszek. Stąd powód do małego zamieszania w sali: wszyscy goście zaczęli na nich dziwnym jakimś spoglądać wzrokiem, widocznie biorąc za pijanych; dwóch garsonów podbiegło natychmiast zbierać potłuczone szkło; trzeci, ze świeżym obrusem pod pachą, zaczął sprzątać ze stołu; słowem, zwrócili na siebie uwagę, co jak w danym wypadku, równało się kompromitacyi. Juliusz tymczasem, blady, jak trup, usiadł i, patrząc na brata, któremu wszystko to nie mogło być przyjemnem, rzekł w końcu: «Cóżem ja temu winien...» I pociekły mu z oczu dwie wielkie łzy przy tych słowach. «Cóżem ja temu winien», powtórzył raz jeszcze i ręką zaczął szukać pod stołem dłoni Edmunda, chcąc ją uścisnąć... «Wiem, że ci wstyd sobą przynoszę, rzekł po chwili, ale, widzisz, *ja-bym tak często chciał, a nie mogę...*» I jak tu było na takie powiedzenie nie uczuć również łez w oczach! Zwłaszcza, kiedy się czuło namiętne, prawie konwulsyjne uściśnienie ręki Juliusza, którego oczy zdawały się mówić nadto: «Przebacz mi. Nie gniewaj się na mnie». To też, zapominając, że znajduje się w restauracyi, że jest obserwowany, Edmund rozplakał się jak dziecko...

Na samo przypomnienie tej sceny ogarnął go teraz w jednej chwili taki niepokój o Juliusza,

że zawrócił się i szybszym nierównie krokiem, aniżeli szedł dotąd, zaczął wracać spiesźnie do domu.

VII.

— Cóż, daleko byłeś? zapytał go Juliusz, otworzywszy mu drzwi, kiedy zadzwonił.

To proste pytanie, wyrzeczone tonem smutnym, jakby w niem brzmiała cicha skarga na nieczułość braterską, zmieszało Edmunda do tego stopnia, że nie wiedział na razie, co odpowiedzieć. Przede wszystkim nie wiedział, jak się zachować: czy udawać, że się gniewa, czy też, że nie chce pamiętać, co było powodem tej przechadzki. Ostatecznie, po chwili wahania, zdecydował się być szczerym, a więc nie drożyć się z przeprosinami, bo właściwie winą była po jego stronie.

— Doszedłem prawie aż do Meudon. A ty coś robił przez ten czas?

— Ja? Najprzód zażyłem lekarstwo, tak, jak to było twojem życzeniem, a potem?... Potem chciałem biedz za tobą i prosić cię, żebyś się nie gniewał na mnie, i przyrzec ci, że nadal nie będę nigdy nieposłusznym... Nie wiedziałem jednak, w którą poszedłeś stronę, więc musiałem zostać i zostałem. Ale mi było bardzo tęskno za tobą. Gdy upły-

nęła godzina, a tyś nie wracał, to mi się zbierało na płacz. Bo, wiesz, ja nie myślałem, że mię zostawisz samego...

— Nikt nie był? zapytał z kolei Edmund, do głębi poruszony słowy Juliusza, usiłując jednak nie okazać tego po sobie.

— Któż miał być?

— Ani doktor?

— Ani doktor.

— Czytałeś co?

— Ja? czytać? Nie...

I uczynił taki ruch głową, jakby mu chciał wyrazić, że on już czytać nigdy nie będzie... Nawet czytać!

Tymczasem przeszli do pracowni i, nie wiedząc co robić, ani o czym mówić, zdecydowali się czytać w dalszym ciągu Chateaubrianda.

— Może chcesz ty czytać? rzekł Edmund, biorąc ze stołu książkę.

— Nie, czytaj ty. Ja... nie mogę.

I zasiedli do czytania. Czytał Edmund, Juliusz miał słuchać. Nie słuchał jednak. Tak się przynajmniej zdawało Edmundowi, ile razy przeszedłszy oczyma z książki na brata, obserwował go ukradkiem. Siedział zamyślony, nieruchomy, jak skamieniały, bledy, jak stearyna; a siedząc tak i niby słuchając, podnosił i opuszczał powieki, jak czło-

wiek, który kona. Chwilami znowu wodził oczyma błędnie po stole, po suficie, po podłodze, po obrazach wiszących na ścianie, po książkach w bibliotece, po różnych gracikach i cackach japońskich, porozstawianych na półkach, i takim się temu wszystkiemu przypatrywał wzrokiem, jak gdyby rzeczy te widział po raz pierwszy w życiu, jak gdyby się obudził nie u siebie w domu, ale w jakimś mieszkaniu obcem, nieznanem. Zaniepokojony tem Edmund, przerwał na chwilę czytanie, ale nie wypuszczając książki z ręki, umyślnie trzymał ją w ten sposób, jak gdyby czytał w dalszym ciągu, ciekawy, czy też to jego milczenie zwróci uwagę Juliusza.

Nie zwróciło: siedział spokojnie, jak przedtem, i lubo przewracał oczyma, robił wrażenie, jakby nie widział nic, jak gdyby był nieprzytomny.

— *Jules!* krzyknął nań Edmund, a kiedy i to przeszło niepostrzeżenie, podskoczył doń i, chwyciwszy go za ramię, zaczął niem targać gwałtownie.

— Cóż ty, śpisz?

Ale Juliusz nie odpowiedział ani słowa, tylko spojrzał na brata (a było to bezmyślne, idyotyczne spojrzenie kretyna!), jakby nie rozumiał, o co mu chodzi, czego chce od niego?

— Zlituj się, na Boga! Powiedźże choć jedno słówko! Co ci jest?

Żadnej odpowiedzi.

Nie wątpiąc już, że stoi wobec ponownego ataku mózgowego, tylko silniejszego jeszcze, aniżeli ten, jakiego wczoraj był świadkiem o tej samej porze, Edmund zawołał na służbę. Przyszła Pelagia, przyszedł kucharz, przestraszeni, zaniepokojeni; a kiedy ujrzeli Juliusza, siedzącego w fotelu i tak poglądającego na nich, jakby ich nie poznawał, a zwłaszcza, jakby nie rozumiał, dlaczego Pelagia, ledwo weszła do pokoju, zaczęła płakać, stali zakłopotani, poglądając to na siebie, to na Edmunda, to na chorego.

— On kona, rzekła Pelagia zdławionym głosem do Edmunda, trzeba posłać po księdza.

— I po doktora, dodał Edmund.

Poczem przeniesiono Juliusza do sypialni. Kiedy go rozbierali, przyczem Pelagii spływały rześiste po twarzy łzy, pozwalał robić z sobą, co chcieli, w niczem nie stawiając oporu, do wszystkiego się stosując; widząc zaś, że Pelagia płacze, przyglądał się jej uważnie, badawczo, jakby się dziwił temu i pytał: czego ona płacze? Chwilami zdawało się znowu, że się uśmiecha do nich...

Cokolwiekbądź, o jednym zdawały się uśmiechy te świadczyć, że przynajmniej nie cierpiały

fizycznie, że go nic nie bolało, że kładąc się do łóżka, czynił to tak, jakby się na zwykły^m udawał spoczynek; albowiem z prawdziwego stanu, w jakim się znajdował, musiał nie zdawać sobie sprawy. Niestety, nie trwało to długo.

W kwadrans niespełna po odejściu księdza, zerwał się nagle z pościania i wydawszy nie ludzki prawie krzyk, dostał konwulsyi, podczas których wijąc się, jak robak, nieraz spadłby może z łóżka na ziemię, gdyby nie Edmund, który go ścisnął za ręce... Kiedy przyjechał doktor, przyłączały się do konwulsyi tych jeszcze i jakieś widzenia halucynacyjne, 'podczas których zachowanie się chorego zdradzało raz trwogę najwyższą, raz znowu ekstazy miłosne, jakby pod wpływem haszyszu.

Że haszyszem tym była wzmagająca się z chwilą każdą gorączka, to wątpliwości nie ulegało najmniejszej; tak samo, jak — zdaniem doktora — pewnem było, iż po gorączce tej spodziewać się należy paraliżu i... śmierci, «Ja tu jestem już niepotrzebny», rzekł, wychodząc z Edmundem do przyległego pokoju; a kiedy mu Edmund opowiadać zaczął o dzisiejszym dobrym humorze Juliusza przez cały ranek aż do południa, odparł na to lekceważąco, z właściwą w takich razach lekarzom zimną krwią:

— Zdarzają się takie wypadki, ale łudzić się niemi nie można..

Tymczasem na dworze ściemniło się; słońce zaszło krwawo; od zachodu powiał silny wiatr, który, kiedy zamknięto okiennice, zaczął niemi targać złowrogo; w kominku rozlegało się od czasu do czasu żałosne gwizdanie, jakby ktoś grał nieumiejętnie na flecie; z ogrodu dochodził ponury szum drzew, przewiewanych wichurą; w chwili zaś, kiedy Pelagia weszła do pokoju z lampą, którą postawiła za łóżkiem Juliusza, tak, żeby go światło nie raziło w oczy, dało się słyszeć nagle złowróżbne wycie psa.

— To śmierć idzie, proszę łaski pana, rzekła Pelagia do Edmunda i mimowolnie spojrzeli oboje na Juliusza.

Leżał na wznak, z głową przechyloną w tył, z oczyma utkwionemi w sufit, z wyplekami na twarzy, z dolną wargą obwisłą, co go już czyniło podobnym do trupa, i wykonywał rękoma takie ruchy, jakby uprawiał szwedzką gimnastykę (którą ostatniemi czasy miał zaleconą przez lekarzy). Po-tem schował lewą rękę pod kołdrę, prawą zaś jakby sobie nakładał binokle.

Wszystko to jednak, choć rozdzierający przedstawiało widok, nie mogło się porównać ze smutkiem chwili, w której ta wychudła, gorączką spa-

lona powłoka cielesna artysty i literata, uniosła się raptem na poduszkach, usiadła, pochyliła się, taką przybrawszy pozę, w jakiej się zwykle, pisząc, siedzi przy stole, i zaczęła lewą ręką jakby przyciskać papier, prawą zaś, skurczoną, jakby trzymała pióro pomiędzy palcami, poruszała w sposób, jakby pisała prędko...

Ale i to miało ustać wkrótce, paraliż bowiem, który jeszcze za bytności doktora znieruchomił nogi i całą dolną połowę ciała, posuwając się z nieubłaganą szybkością coraz wyżej, ku płucom i sercu, rzucił się w przeciagu dwóch godzin na szyję także i na ręce, zstępując z wolna ku palcom.

O północy zdawał się Juliusz nie mieć już żadnej władzy w rękach; nie poruszał nimi przynajmniej, a woskowy ich połysk i trupia bladość, która je powlekła całe z wyjątkiem ciemnosinych, prawie czarnych paznokci, dziwnie smutno odbijały od pąsowego, mieniającego się tła kołdry atłasowej.

Pelagia przez ten czas, stosownie do jedyne go polecenia doktora, nie odstępowała od łóża chorego i co kilka minut wpuszczała mu na łyżeczkę od kawy niewielki kawałek lodu w usta. Gasiło to pragnienie, które przy gorączce, mogło się bardzo łatwo niewysłowioną stać męczarnią, a tej należało umierającemu bezwarunkowo oszczędzić, sta-

rając się mu ostatnie chwile życia o ile możliwości jak najmniej ciężkimi i przykremi uczynić. Karmienie go lodem dawało tę rękojmię.

— Dziwna chęć *uprzyjemniania* człowiekowi agonii przedśmiernej! myślał sobie Edmund, i mimowoli zaczął się zastanawiać nad tem dziwaczem, a jednak prawdziwym skojarzeniem takich dwóch pojęć, jak agonia konania i serdeczna troska o umilenie jej!

VIII.

Skoro wybiła północ, rzekł Edmund do Pelagii, ażeby się poszła położyć trochę w swoim pokoju: już on ją zastąpi. Nielatwo jednak przyszło mu to jej wyperswadować; tłumaczyła się, że zmęczoną nie jest bynajmniej, a powtórę, że gdyby nawet tak było, to powinna o tem zapomnieć przez wzgląd na «to biedactwo», które karmiła mlekiem swych piersi, kiedy przyszło na świat, i które teraz, gdy schodzi z tego świata, przyszło jej karmić... lodem. Lecz Edmundowi zależało na tem, by ostatnie chwile, które mu pozostają do przebycia z Juliuszem, spędzić z nim sam na sam, ażeby nie kto inny, tylko on oczy mu zamknął po skonaniu, i żeby, umierając, nie widział żadnej obcej twarzy koło siebie, jeno twarz brata. To też

zażądał od Pelagii, ażeby go zostawiła samego z chorym, a kiedy się oddaliła, usiadł na łóżku i, ująwszy Juliusza za rękę, przekonał się, że była zimna, jakby z wilgotnego marmuru. Od czoła tymczasem i całej głowy buchała gorączka. Pierś podnosiła się miarowo, a z falowania jej widać było, że oddech był utrudniony. Oczy, szeroko rozwarte, załzawione, nie mówiły nic.

Czy ten człowiek ma jeszcze świadomość? Czy czuje jeszcze cośkolwiek? Czy cierpi? Czy widzi, że oto brat jego siedzi przy nim? Czy go poznaje?... Chwilami zdawało się, że tak, że się uśmiecha nawet do niego, jakby dziękował za ten lód, którym go karmiono, a który on połykał chciwie, ciągle domagając się nowych dawek. A może jest to już tylko organizm dogorywający, w którym inteligencji nie pozostało ani kruszyny?...

Że tak nie było, przekonał się o tem Edmund nad ranem, około godziny trzeciej. Siedział przy blurku i — żeby się nie dać zmódz ogarniającej go z chwilą każdą coraz bardziej senności — pisał dalszy ciąg dziennika, kiedy nagle, wśród głuchoj ciszy, jaka panowała w pokoju, dało się słyszeć:

— *Maman! Maman! A moi Maman!...* Usłyszawszy to Edmund, zerwał się z krzesła, ze świecą w ręku podskoczył do Juliusza, zaświecił mu w oczy, ale chory leżał nieruchomy, jak przedtem,

poruszając tylko ustami, jak ryba wyrzucona z wody. Edmund dał mu znowu kilka kawałków lodu. Połknąwszy je, chory westchnął głęboko, zajęczał, a potem powtórzył dwa razy zmienionym nie do poznania głosem;

— *Maria!... Maria!...*

Nie mógł tylko wymówić *r*; tak, iż zamiast *Maria*, powiedział *Mai-a*.

Było to imię ukochanej przez niego kobiety, o której widocznie myślał w tej chwili, tak samo, jak przed minutą myślał o matce, którą ubóstwiali obydwaj.

Tu przypomniało się Edmundowi — przyczem spojrzał na wiszącą nad łóżkiem Juliusza fotografię matki — jak umierając, kiedy oni klęczeli przy jej śmiertelnem łożu, wzięła ich obu za ręce, a połączwszy je i spojrzawszy nań tak, iż spojrzenia tego nie zapomni do końca życia, wyraziła nadzieję, że, jako starszy, będzie młodszemu nietylko bratem, ale opiekunem i matką zarazem. Czy się wywiązał z tego zadania? W każdym razie robił wszystko, co było w jego mocy, tak, iż gdyby go matka mogła widzieć z tamtego świata, jak postępował z Juliuszem, nie zasłużyłby sobie chyba na jej naganę.

O godzinie wpół do 5-ej zaczęło się rozwidniać. Zmęczony bezsennością, z newralgicznym

bólem w skroniach, z powiekami ociężałemi, którym się zaniknąć nie pozwalał, podszedł Edmund do okna i, zamyślony, oparłszy czoło o szybę, zaczął wyglądać na ogród.

Co za kontrast! Jednocześnie, kiedy tu, w tym pokoju, dogasało życie ludzkie, tam, w naturze, wszystko budziło się do życia. Z ogrodu dochodziło świegotanie wróbli, pomieszane z pianiem koguta; w poblizkim kościele zaczęło dzwonić na jutrznią; księżyc, którego światłość w ciągu nocy kładła się połyskującą plamą na posadzce, przy samem łóżku Juliusza, stał się ze srebrnego białym, dopóki się nie roztopił całkiem w szarych brzaskach przedświt. Niebo od strony wschodu poczęło się rozjaśniać, rumienić, nasycać purpurą i złotem; aż w końcu ukazało się słońce i wszystko w jednej chwili jakby ożyło, zyskało na wyrazistości i kolorycie. Ponieważ obydwie okna sypialni wychodziły na wschód, łóżko zaś stało naprzeciw okien, słońce więc, z chwilą, kiedy wpadło do pokoju, oświeciło między innymi i głowę chorego. Spostrzegłszy to Edmund, podszedł do łóżka i takiego doznał nagle wrażenia, patrząc na brata, oświetlonego tem wschodzącem słońcem, jakby miał jakieś mistyczne widzenie: twarz Juliusza zdawała się roztopiać w tej złotej topieli promieni słonecznych; śmiertelny jej wyraz zatracił się

w nich zupełnie; owiała ją jakaś dziwna łagodność i słodycz Świętych Leonarda da Vinci, tak dalece, że przyszedł nawet Edmundowi na myśl portret jakiegoś młodzieńca, oglądany niegdyś — z Juliuszem — w którymś z muzeów włoskich. I mimowoli chciało się przed nim uklęknąć i modlić się za tę duszę anielską, promienną, która zdawała się unosić nad tem wynędzniałem ciałem, i która za chwilę w lepsze miała ulecieć światy...

Jakoż nastąpiło to niebawem, jeszcze tego samego dnia.



Z WRAŻEŃ PARYSKICH

I.

SZYNK «NICOŚCI».

(*Cabaret du Neant*).

Są pewne rzeczy, pewne pojęcia, o których, jako o wykluczających wszelkie koncepty i drwiny, zawsze mówi się i myśli z powagą i bez uśmiechu na ustach: do takich w pierwszym rzędzie należy majestat śmierci. Wiemy, że musimy umierać, ale nie wiemy, co nas czeka potem: nicość czy też owa «ziemia nieznana», o której Hamlet w swym sławnym monologu powiada, że «z jej granic dotąd nikt nie powrócił», a której obawa czy przeczenie sprawiają, że kiedy myślimy o niej, to się mimowoli zasępiamy, jak ów królewicz duński, gdy się zastanawiał nad wielkiem pytaniem: *To be or not to be?* Ale bolesna niepewność tego, co będzie tam, na tamym świecie, idzie w parze z okropną pewnością, co nas czeka tutaj, na tym świecie, gdy życie uleci z ciała. Pewność ta posłużyła Hamle-

towi — po zabiciu Poloniusza — za temat do tragicomicznego dowcipu, kiedy, zapytany przez stryja: gdzie Poloniusz? odpowiada: «Na wieczerzy... Nie tam, gdzie on je, ale gdzie jego jedzą. Pewien sobór politycznych robaków właśnie jest na nim. Bo, widzisz królu, robak to istny cesarz na łakocie. My tuczemy wszystkie inne stworzenia żeby się tuczyć, a sami tuczymy się dla robaków. Tłusty król i chudy żebrak, to tylko dwa różne półmiski, dwa dania do jednego stołu i na tem koniec». Jako dowcip, jest to prawdziwe arcydzieło, z czegoby wynikało, że wszyscy powinni się śmiać. Tymczasem — w scenie rzeczonej — dzieje się przeciwnie: wszyscy milczą, wpadają w zadumę, a król powiada z głębokiem westchnieniem: «Niestety, niestety!» Niemniejsza zaduma cechuje słynną scenę na cmentarzu, gdzie Hamlet, pochylony nad czaszką Yoricka, powiada smutnie: «Tu były usta, które całowałem nie wiem ile razy! Gdzie teraz twoje drwinki? twoje koziołki? twoje śpiewki? błyskawica twego dowcipu, przy których biesiadnicy trzęśli się od śmiechu?... Wszystkoż przepadło? Idź teraz do której z wielkich dam i powiedz jej, że choćby się umalowała grubo na cał, musi skończyć na takich wdziękach...» Takie są te szekspirowskie waryacje na biblijny temat: «Z prochuś powstał, w proch się obrócisz». Ale

Shakespeare, choć najdowcipniejszy z ludzi, był Anglikiem, a powtóre, choć żył na schyłku XVI wieku, to ten schyłek różnił się znacznie od naszego cynicznego *fin de siècle*'u. Ten bowiem idzie w *je-m'en-fichizmie* swym tak daleko, że w Paryżu np. nietylko drwi sobie ze wszystkiego, co święte, co budzi uszanowanie powszechne, ale nie czyni pod tym względem wyjątku nawet dla majestatu śmierci, ani tembardziej dla owego procesu rozkładu ciała, któremu się zapobiega przez palenie zwłok w krematoryach. Paryżanin, którego wogóle nie cechuje melancholia duńskiego królewicza, nie cofa się przed niczem, gdy chodzi o sensację, tak dalece, że z tego nawet, nad czem się tak smutnie zamyślał Hamlet, a mianowicie ze znikomości naszego doczesnego istnienia, on się śmieje sceptycznie; tam zaś, gdzie Hamlet rzucał pytanie: «być albo nie być», on mówi lekceważąco: *Je m'en fiche*. Hamlet na widok czaszki ludzkiej dręczył się zagadką bytu, pragnął wiedzieć, czy *tam* jest coś, czy też *tu* kończy się wszystko; Paryżanin zaś, hołdujący epikurejskiej zasadzie, że najlepszą filozofią jest nie spodziewać się niczego, ale używać, ile się tylko da, rozkoszy życia, a zwłaszcza rozkoszy miłosnych, nie cofa się przed niczem, nawet przed bluźnierstwem w rodzaju rozgłośnych *Blasphemes* Richepina lub wolterowskich nalgra-

wań się z rzeczy najświętszych. Stąd zdarza mu się często, iż po jakiejś zabawie w wesołej kompanii, np. po hulaszczej *fête de nuit* w słynnym *Moulin Rouge*, wstępuje razem ze swą damą karmeliową na szklankę piwa do *Cabaret du Neant*, uważając, że to jest bardzo zabawny prolog do owej upajającej pieśni nad plesniami, którą mu po powrocie do domu razem ze swą lubą czytać wypadnie, a której obiecujący tytuł brzmi: *Une nuit d'amour... et de debauches!*

Co to jest takiego ten *Cabaret du Neant*? Jest to, mówiąc poprostu, niewielka piwiarnia przy bulwarze Clichy, o kilkaset kroków od *Moulin Rouge*, piwiarnia, w której Paryżanin śmieje się tak, jak owi Hamletowi towarzysze śmiali się z konceptów Yoricka, w której jednak Hamlet doznałby szczególnego uczucia.

Przedewszystkiem jest to lokal nocny, otwierany o 10 wleczorem, a zamykany o świcie. Najwięcej gości bywa tu między północą a godziną 3-cią rano. Publiczność, stanowiąca klientelę tego szyneczku, rekrutuje się ze wszystkich warstw społecznych Paryża: można tu spotkać Rotschilda i książąt krwi, można spotkać dorożkarzy i robotników w bluzach, można spotkać cudzoziemców najrozmaitszej narodowości, zwłaszcza Anglików i Amerykanów, można spotkać *le grand demi-monde*

z okolic parku Monceau. Żywiołem jednak, który tu wypija najwięcej *bock'ów*, są studenci i brać artystyczna, malarze, literaci, rzeźbiarze, dziennikarze, aktorzy, tudzież ich *petites femmes*. Filister nie lubi myśleć o śmierci.

A właśnie cała oryginalność i sensacyjność wspomnianej piwiarni, to *quelque chose de nouveau*, co jej zapewniło powodzenie, polega na tem, że jeszcze się nie przestąpiło jej progu, a już się myśli o śmierci, już się przypomina kartuzowe *Memento mori*. Bo jakże nie pomyśleć o śmierci, kiedy całe zewnętrzne *decorum* tej piwiarni robi wrażenie domu, gdzie stoi umarły na katafalku w otoczeniu kwiatów i świec jarzących, wrażenie *d'une maison mortuaire*. Zwłaszcza Paryżanin, kiedy się zbliża do tego *cabaret*, musi doznawać podobnego wrażenia; bo jest zwyczajem w Paryżu, że brama domu, w którym się znajduje nieboszczyk, bywa obita czarnem suknem, obszytem białemi frendzlami, z wyszywanym białym krzyżem pośrodku etc. etc. Tutaj jest tak samo: cały fronton wąskiego domu, w którym się znajduje rzeczony szynk, jest aż do pierwszego piętra obity czarnem żałobnem suknem, nad drzwiami zaś, któremi się wchodzi, ujętymi w dwie czarne portyery, bieli się wyszywana czaszka i dwa złożone na krzyż piszczele. Po obu stronach drzwi, wsparte o ścianę.

stoją dwa wieka od trumien. We drzwiach czuwa służący, w stroju zwykłego karawaniarza, w czarnym kostyumie sukiennym, w czarnym lakierowanym cylindrze.

Wszedłszy do wnętrza, znajdujesz się w niewielkiej, nisko sklepionej sali, obitej czarnem suknem, bardzo słabo oświetlonej żyrandolem o sześciu śwleczkach. Żerandol ten, zwieszając się ze środka sufitu, jest zrobiony z prawdziwych kości i czaszek ludzkich, pożółkłych i szerniałych od starości. Na środku pokoju, zamiast sześciu stolików, stoi sześć trumien; przy każdej trumnie, po obu stronach, zwykle drewniane ławki. W głębi, *vis à vis* wejścia z ulicy, widać otwarte drzwi i perspektywę długiego, wąskiego korytarza, prowadzącego do jakichś dalszych pokojów, a ciemnego w tej chwili; z boku zaś, po prawej stronie, stoi niewielki bufet, za którym nikt nie siedzi. Usługa składa się z dwóch czarno ubranych karawaniarzy w czarnych ceratowych cylindrach, którzy z miną poważną, a głosem grobowym, witają cię, gdy wchodzisz w towarzystwie, następującemi słowy:

— *Eh bien, choisissez vos cercueils!*

Uśmiechasz się, ale posłuszny żałobnemu rozkazowi, siadasz przy jednej z sześciu trumien, przy której jeszcze nikt nie siedzi. Tego wieczora, gdyśmy weszli, tylko przy jednej trumnie siedziało dwoje

gości: jakiś elegancko ubrany mężczyzna w lśnjącym cylindrze, tudzież młoda kobieta, bardzo przystojna, wielce szykowna, najprawdopodobniej kochanka swego towarzysza. Siedząc obok siebie, w głowach trumny, rozglądali się dokoła, tak samo, jak i my, zanim się usiedli przy jednej z wolnych trumien. Im usługiwał jeden karawanier, nam drugi. Nasz był wysoki, chudy, niemłody, z obwisłymi wąsami, podobny do Don Kiszota, kiedy kolega jego, znacznie młodszy, był mniej typowym okazem swego pogrzebowego zawodu. Zauważyłem przytem, iż nierównie gorzej, aniżeli nasz, grał swą komedię: gdy mówił, nie mógł wytrzymać, żeby się nie uśmiechnąć czasami, podczas gdy nasz miał minę tak poważną, że najautentyczniejszy karawanier nie zdobyłby się na bardziej żalobną.

Po chwili weszło jeszcze kilka osób. Szczegół charakterystyczny, że wszyscy, co przychodzili, byli to ludzie młodzi, którym najwidoczniej radzić musiano, by tu nie przychodzili sami, gdyż prawie wszyscy zjawiali się we dwoje. Nie upłynęło pięć minut, a wszystkie trumny były zajęte, to jest przy każdej siedziało po parę lub kilka osób, wszyscy w doskonałych humorach, widocznie podnieceni grobowo-trupłą atmosferą lokalu. Każdy się rozglądał dokoła: kobiety, okazując pewne nerwowe zaniepokojenie, które się objawiało milczeniem i po-

ważnemi minami, mężczyźni, dowcipkując, siłąc się na koncepty; lecz wystarczało spojrzeć na całe zgromadzenie, ażeby dostrzedz odrazu, że wszyscy bez wyjątku, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, od chwili, gdy przestąpili próg tego dziwnego przybytku śmierci, czuli się jakby nieswoi, że niejednemu — wobec tych trumien — serce biło lękliwie, i silił się tylko, by tego nie okazać po sobie. Ostatecznie wszyscy — jak to zauważyłem niebawem — udają spokojniejszych, niż nimi są naprawdę.

Tymczasem usługujący karawaniarze — to jest garsoni w karawaniarskiem przebraniu — zaczynają roznosić piwo, przed każdym stawiając małą szklanczkę jasnego gambrynusowego trunku. Tylko, że piwo, które się pije w tym przybytku nicości, nie jest... piwem, jak nas o tem grobowym głosem zapewnił jeden z usługujących:

— Oto jest napitek, mówił, po którego wypiciu rozstaniesz się z tym światem, to bowiem, co ci się wydaje zwykłym piwem, jest śmiertelną trucizną, gorszą od cykuty, gorszą od arszeniku, gorszą od kwasu pruskiego (jakkolwiek kwas ten, choćby dlatego, że *pruski*, jest najzjadliwszą ze wszystkich trucizn). Jest to roztwór wszystkich najgorszych zarazków, począwszy od tyfusu i żółtej febry, a skończywszy na cholery, dżumie i innych

chorobach zakaźnych, wenerycznych nie wyjmując. Kto wypije szklankę tego trunku, tak podobnego do zwykłego piwa (choć i zwykłe piwo paryskie jest także trucizną), nie wyjdzie z tego domu, lecz zostanie wyniesiony w jednej z tych trumien. A ponieważ jest więcej osób, niż trumien, więc wypadnie w każdą kłască po dwie lub trzy osoby. A teraz *buvez cette cochonnerie!*

Wrażenie, jakie słowa te czynią na niektórych, zwłaszcza na kobiety, jest tego rodzaju, że niejedna szklanka zostaje nietknięta... Swoją drogą większość robi jeden łyk i drugi, uważając, że piwo, które tu dają, nie jest tak złe, choć mogłoby być lepsze.

Tymczasem przed każdym z gości, jak przy konającym, stawiają woskową gromnicę. Czynią to na znak, że skoro się umoczyło usta w tym zatrutym trunku, to za chwilę będzie się należało do konających. Jednocześnie, razem z zapaloną gromnicą, dostaje się kartkę, na której stoi wydrukowane: ile kosztuje szklanka piwa w *Cabaret du Neant*.

— *Et voici votre correspondance pour le crematoire,*

powiada usługujący, wręczając ci bilet do owego krematorium, gdzie każdy, co nie chce być stoczonym przez robactwo, będzie spalonym po śmierci,

a dokąd, jak zapowiada tenże posługacz, całe towarzystwo ma się udać za moment.

Zapłaciwszy za piwo, rozglądasz się po sali, która w danej chwili — jak to każdy przyzna — dość oryginalny przedstawia widok. Oto dokoła sześciu trumien siedzi kilkanaście osób, mężczyzn i kobiet; siedzą i piją piwo, śmieją się i rozmawiają, a przed każdym pali się długa świeca woskowa, stojąca na wieku trumny. Oświeceni śmiertelnym światłem gromnic, na tle ścian, obitych czarnym ki-rem, ludzie ci, istotnie, wyglądają dziwnie. Młmowoli przychodzi na myśl, że Rembrandt, ten mistrz nad mistrze, gdzie chodzi o światłocienie, mógłby z podobnego tematu stworzyć wspaniałą fantazyę, zwłaszcza, gdyby nie zapomniał namalować żyrandola z gołeni i czaszek ludzkich, który tu, zwieszając się z sufitu nad głowami całego zgromadzenia, zdaje się głosić kartuzowe *Memento mori*.

Wtem z za bufetu wychodzi czarno ubrany mężczyzna, robiący wrażenie przedsiębiorcy pogrzebowego, występuje na środek sali, czem oczywiście zwraca uwagę wszystkich, daje znak ręką, ażeby się uciszono, a skoro to nastąpiło, on wsparłszy się o framugę środkowych drzwi, za którymi się ciągnie korytarz, zaczyna filozoficzną przemowę na temat *vanitas vanitatum*... Przemowę tę, cynicznie dowcipną, a mówioną takim tonem, jakim się

czyta modlitwy za konających, kończy następującą zapowiedzią:

— Czem jest życie i jego rozkosze, to ujrzymy niebawem. Proszę patrzeć!

Jakoż wszyscy zaczynają wodzic wzrokiem po ścianach, na których po chwili ukazują się dwa obrazy (rzucone światłem latarni magicznej, ukrytej wewnątrz): na pierwszym, przedstawiającym *Widzenie Fausta*, widać odmłodzonego kochanka Małgorzaty i towarzyszącego mu Mefista w wieńcu kilkunastu obnażonych kobiet z rozpuszczonymi włosami, zalotnie uśmiechniętych i trzymających się za ręce. Tańcząc w lubieżnych przegięciach, bachantki te, o typie kokot paryskich, zdają się zapraszać do wyrafinowanej pieśczoły. Faust jest zachwycony; widać, jak się wyrывa do tych ciał różowych, do tych włosów złotych, do tych oczu wyzywających a bezczelnych. Drugi obraz, na przeciwległej ścianie, wyobraża *fête de nuit* w pobliskim *Moulin Rouge*: widać przepyszną, rzęsiście oświetloną hallę z orkiestrą w głębi, a na pierwszym planie, widocznie przy dźwiękach jakiejś Offenbachowskiej muzyki, kilkanaście par tańczy kankana. Inni się przypatrują: mężczyźni we frakach, w cylindrach, kobiety w szykownych tualetach.

— Oto dwie sceny, przedstawiające *la joie de vivre*, objaśnia ów żałośnie ubrany *cicerone*, a jedno-

cześnie, z za bufetu dają się słyszeć dyskretne dźwięki fisharmonii, na którym jakaś niewidzialna ręka gra najprzód melodyę z pierwszego aktu *Fausta*, poczem bezpośrednio, bez żadnego harmonijnego przejścia, zaczyna grać znanego kadryla z *Orfeusza w piekle...* Upływa kilkadziesiąt sekund: wszyscy się przypatrują obrazom na ścianach, a zwłaszcza uroczym tancerkom, defilującym przed Faustem, kiedy nagle, w jednym mgnieniu oka, cała wizya zmienia się w ponury taniec szkieletów; gdzie przed chwilą różowiły się cudowne ciała niewieście, teraz bielą się nagie szkielety. To samo dzieje się i na drugim obrazie, gdzie w miejsce owych wyfraczonych panów i eleganckich *pchutteuses*, tyleż szkieletów tańczy kankana.

— Tak wyglądają rozkosze świata, odfotografowane zapomocą promieni Röntgen'a! objaśnia żalobny przewodnik, a jednocześnie dają się słyszeć początkowe akordy z efektownego *Tańca szkieletów* Saint Saensa.

— A teraz, *Messieurs et Mesdames*, niech każdy bierze swoją gromnicę, bo czas przejść do naszego *crématoire*. Przedtem, w tym korytarzu ciemnym, każdy może zobaczyć, jak będzie wyglądał po śmierci, leżąc w trumnie. Osoby nerwowe, szczególnie damy, mogą sobie, jeśli chcą, oszczędzić tego widoku. Kto jest ciekawy i pewny swoich

nerwów, niech patrzy w okienko w prawej ścianie korytarza. Proszę za mną!

Jakoż wszyscy powstają, każdy bierze swoją gromnicę, którą niesie ostrożnie, żeby sobie nie pokapać ubrania, i wchodzimy w ów ciemny wąziutki korytarz, tak wązki, że trzeba iść *gęsingo*, bo parami nie można: za ciasno. Doszedłszy do wspomnianego okienka, każdy w nie wścibia głowę, jak w łufcik, zaczem, popatrzywszy przez chwilę, odchodzi, a inni po kolei zajmują jego miejsce.

W końcu przyszła kolej i na mnie. Zajrzawszy w okienko, ujrzałem otwartą trumnę, w trumnie zaś, owinięty białem prześcieradłem, leżałem... ja sam, z głową na białej poduszce. Nie powiem, żebym był zachwycony tym obrazem, choć wiedziałem, że jest to zwykłe przejrzenie się w lustrze postawionem tak kunsztownie, że każda głowa, zaglądająca w okienko, musi się przejrzeć w tem śmiertelnem zwierciadle. W każdym razie figiel jest urządzony doskonale, bo chwilowe złudzenie, że się widzi siebie samego na marach, pośrodku kwiatów i świec, jest tak silne, że każdy cofa się czemprędzej, jakby pod wpływem jakiegoś nieprzyjemnego zapachu. Nie zauważyłem, żeby kto długo stał w tem okienku.

Crematorium, jak wiadomo, jest to piec, w którym ciało ludzkie bywa palone na popiół, ażeby

mu oszczędzić przykrego — dla pozostałych — procesu rozkładu, tego «obracania się w proch», o którym mówi Pismo święte, a którego poszczególne fazy, a mianowicie owe uczty, na których się nie spożywa samemu, ale bywa spożywany, nie należą do «rzeczy tego świata», o którychby się myślało z przyjemnością. *Le crematoire* w *Cabaret du Neant*, do którego się wchodzi owym długim a wązkim i ciemnym korytarzykiem, powinno się właściwie nazywać kontrastem zwykłego *crematorium*, albowiem — jak się okazuje — jest to sala, w której się widzi to właśnie, czemu palenie zwłok zapobiega.

Wszedłszy do niej, na razie widzi się niewiele: zwykły przestronny pokój o czarnych ścianach bez żadnych ozdób. Pośrodku kilka rzędów czarnych ławek z oparciem i wysuwanymi stoliczkami, bardzo podobnych do zwykłych ławek szkolnych; w głównej ścianie, vis à vis wejścia z korytarza, rodzaj małej scenki, silnie oświetlonej zapomocą ukrytych lamp elektrycznych; na scenie zaś, dnem oparta o sam środek ściany w głębi, stoi otwarta trumna. Przed scenką, w miejscu, gdzie zazwyczaj znajduje się orkiestra, ustawiono długi czarny stół w rodzaju kontuaru, na którym, niby białe żałobne wypustki przy klapach czarnego tużurka, jaskrawo odcinają się różne drobne upo-

minki z tego śmiertelnego przybytku, rozmaite *Articles du Cabaret du Néant*, z gipsu, z kości słoniowej, z *papier maché*. Z tych najefektowniej wygląda dość bogata kolekcja czaszek ludzkich, *oryginalnych* i sztucznych, dużych i małych, począwszy od czerepów naturalnej wielkości, poprzeraśnianych w lichtarze, kałamarze, popielniczki, solniczki, przyciski do papieru, skarbonki etc., a skończywszy na małych, w postaci breloczków i broszek. Obok, przez całą długość stołu, leży — albo też wisi na odpowiednich szubieniczkach drewnianych — długi szereg małych szkielecików ludzkich, które również sprzedają się tu, jako zabawki dla dzieci. Szkieleciki te, zrobione z jakiejś białej masy, tak są skonstruowane, że za pociągnięciem sznurka, bardzo zabawnie wywijają nogami i rękoma. Szkielecik taki, będący wcale artystycznie wykonaną miniaturą prawdziwego szkieletu, kosztuje franka. W każdym razie, trzeba być dekadentem *par sang*, żeby dziecku dać się bawić podobnemi zabawkami!...

Kiedyśmy wchodzili do wspomnianej sali — a było nas ze dwadzieścia osób — zaraz na progu musieliśmy się rozstać z naszymi gromnicami, które nam odebrano, a które, pogaszone, wielce się przyczyniły do spotęgowania ponurej ciemności dookoła. Tylko scena, z ową trumną przy ścianie, była za-

lana światłem. Po chwili oświadczono nam, byśmy usiedli, a skoro to nastąpiło, wszedł jeden z posługaczy-karawaniarzy, niosąc całą tacę małych szklaneczek z piwem, któremi po kolei częstowano wszystkich. Jednocześnie zaczęto zachęcać do kupowania owych czaszek i szkielecików, porozkładanych na kontuarze, a przeznaczonych na spżezdaż. Jakoż rozsprzedano ich sporo, przyczem największe powodzenie miały szkieleciki...

Po upływie paru minut, gdy już wszyscy, upiwszy piwa, byli spragnieni dalszego ciągu widowiska, ukazał się na scenie *le maitre du crematoire* i zwróciwszy się do «żałobnych słuchaczów», w patetyczno-humorystycznej przemowie oznajmił wszem wobec i każdemu z osobna, że za chwilę ujrzymy ostateczny epilog tragikomedyi życia ludzkiego, a więc to, na czem się kończą wszystkie ambicye, żądze sławy, zaszczytów, miłości.

— Na to jednak, mówił, ażebyśmy mogli zobaczyć za życia jeszcze, co nas czeka po śmierci, a co jest jedyną rzeczą pewną i niezawodną na świecie, musi jeden z tu obecnych panów wejść koniecznie do tej trumny.

Chwila zdumienia. Wszyscy spoglądają po sobie, niedowierzając, by mógł się znaleźć ktoś, coby się zechciał poddać takiej próbie, aż w końcu, na

ponowione zapytanie i wezwanie, powstaje jakiś wysmukły Anglik o sumiastych wąsach i oświadcza łamaną francuszczyzną, że gotów służyć swoją osobą, skoro niema innego amatora. Przy tych słowach wyszedł z ławki, a gdy mu dwaj karawaniarze wskazali na schodki z boku scenki, wszedł po nich spokojnie. Znalazłszy się na *podium*, nic sobie nie robiąc z niczego, z prawdziwie angielską flegmą, z najobojętniejszą miną, jakby chodziło o wejście do zwykłej szafki, stanął w trumnie, plecami opierając się o jej dno. Gdy tak stał wyprostowany, z rękoma przy biodrach, przyniesiono białe prześcieradło. W to prześcieradło owinięty od stóp aż po szyję, tak, iż mu tylko głowa została niezakryta, uśmiechnięty Anglik robił wrażenie mumii egipskiej.

Dokonawszy tej czynności, obaj posługacze karawaniarze usuwają się ze scenki, na której zostaje tylko spowity w biały całun Anglik w trumnie.

Następuje dość przejmująca chwila ciszy, bo choć Anglik się śmieje i szczerzy zęby, to jednak zaprzeczyć się nie da, że ten widok żywego człowieka w trumnie, uśmiechającego się głupkowato, trochę przyspiesza i wzmacnia bicie serca... Nerwy wchodzą w stan niesłychanego napięcia, albowiem ma się przeczucie i pewność, że to, co nastąpi za moment, będzie co najmniej przykrym widokiem.

Jakoż imaginacya jest podniecona w najwyższym stopniu, a w piersi wstępuje niepokój, od którego aż ręce się pocą... W skroniach czuje się przyspieszoną pulsacyę krwi. Ogólne napięcie wzmagą się jeszcze bardziej, gdy żalobny *maitre du crematoire*, wypowiedziawszy kilka cyniczno-pompatycznych frazesów na temat naszej pośmiertnej egzystencji, usuwa się nabok, w ciemność.

Nastaje cisza, którą bez żadnej przesady grobową nazwać można: wszystkie oczy, jakby pod wpływem hypnozy, z wytężeniem wpatrują się w twarz stojącego w trumnie Anglika, który uśmiechając się dobrodusznie, zdaje się być zdziwionym niepomlernie, dlaczego wszyscy tak mu się przyglądają bacznie.

Nagle widzi się, że twarz przybiera coraz poważniejszy wyraz, oczy, iskrzące przed chwilą, zaczynają zachodzić mgłą, w końcu zamykają się zupełnie, usta sinieją, czoło i policzki, różowe dopiero co, najpierw bledną, potem żółkną, a w końcu zaczynają nabierać jakiegoś woskowego połysku, przyczem robią wrażenie, że muszą być zimne... Zaczyna się czynić nieprzyjemnie, skóra cierpnie. Tymczasem Anglik najzupełniej wygląda na trupa. Po chwili dostrzega się, że mu oczy zaczynają się podkręzać coraz większemi sińcami, a wąsy rzędną, poprostu lenieją. Na woskowo-żółte czoło

i policzki występują sine plamy, które po chwili zaczynają się zaczerwieniać, ponsowieć, centkować, zwłaszcza w okolicy oczodołów. Jednocześnie usta, zaczerwienione dookoła, zaczynają coraz bardziej tracić pierwotny kształt, zlewać się z resztkami wąsów, z nosem, który się coraz bardziej zmniejsza i zlewa z resztą twarzy, choć się na niej znaczy czarnym punktem, a to samo daje się zauważyć i w oczach, które znikły gdzieś, a na ich miejscu zostały dwie czarne jamy oczne, okropne. Tam, gdzie przed chwilą były zjeżone włosy, widzisz jakieś obrzydliwe strupy. Z uszów także zostało niewiele; to zaś, co zostało, jest nie do opisanie. Już widzisz zarysy czaszki, prawie ogolonej z ciała, a tem straszniejszej, że uśmiechającej się dwoma rzędami białych wyszczerzonych zębów. Tymczasem i prześcieradło zaczyna przeświecać, jakby się rozsypywało w szmatki: z białego stało się szare, jak pajęczyna, a w końcu szczezło o tyle, że widać pod niem rozkładające się ciało, które, ciemniejąc coraz bardziej, powoli zaczyna przystawać do kości szkieletu, jakby przysychało do nich. Kończy się na tem, że się widzi okropny szkielet ludzki, przeraźliwie biały, wśród ciemniejszych resztek ludzkiego ciała, które, poodpadawszy od kości, leżą na spodzie trumny, podobne do brudnego popiołu.

Okropny widok! Złudzenie bowiem, że się patrzyło na rzeczywisty rozkład, jest absolutne.

Zapomocą jakich środków osiąga się podobne efekty? Podobno zapomocą luster, wywołujących pewną grę światła i cieni. Dość, że wrażenie jest silne i... nie banalne. Już to co nie banalne, to nie!

Wszystko skończyło się na tem, że po chwili Anglik zdrów i cały, z nietajonym wyrazem zadowolenia w oczach, wyszedł z trumny i wrócił na swoje miejsce, w trumnie zaś, na ponowne zaproszenie mistrza *crematorium*, stanęła jakaś szykowna Paryżanka, *une fille de Montmartre*. Podziwialiśmy jej odwagę. I powtórzyło się to samo widowisko, co z Anglikiem, a że osoba była przystojna, młoda i powabna, wrażenie więc, kiedy się patrzyło na okropny rozkład tego ślicznego ciała, tem było silniejsze. Co również zwróciło uwagę wszystkich, to, że ta odważna ekscentryczka była w towarzystwie młodego i przystojnego mężczyzny o wyglądzie poety lub artysty, który niewątpliwie był jej kochankiem. Dziwnego musiał doznawać wrażenia, patrząc na straszne metamorfozy, jakim podlegała jego *petite femme*.

Z ciemnego *crematoire* przechodzi się do trzeciej sali. t. zw.: sali duchów, ale to, co się tam widzi, już jest banalniejsze.

Za to wcale nie banalnem jest uczucie, jakiego się doznaje, kiedy się z tego śmiertelnego *cabaret* wychodzi na ulicę, na *Boulevard de Clichy*, gdzie wre życie nocne, a nikt nie myśli o śmierci: na trotuarach ludno, po kawiarniach gwarno, wszędzie błyszczą latarnie, słyszać turkot dorożek, omnibusów, trąbki konduktorów, nawoływania woźniców. Mimowoli, patrząc na to kipiące życie uliczne, nacechowane zepsuciem i erotyzmem, myśli się o tem, co się przed chwilą widziało w *Cabaret du Neant*, i o bolesnym wykrzyku Eklezjasty: *Omnia vanitas!*

II.

W NIEBIE.

(*Cabaret du Ciel*).

Naprzeciw *Cabaret du Neant*, po drugiej stronie bulwaru Clichy, znajduje się absolutny kontrast tego przybytku nicości i śmierci, *Cabaret du Ciel*. O ile tam człowiek staje się pesymistą, o tyle tu wszystko obliczone jest na to, ażeby go nastroić na optymizm. Tam się przypominały Hamletowe rozmyślenia nad czaszką Yorick'a, tu przypomina się młodzieńczy wykrzyk Pozy: *Das Leben ist doch schön!* Pod tym względem dwie te piwiar-

nie — bo ostatecznie są to piwiarnie — dopełniają się wzajemnie: jedna jest zaprzeczeniem drugiej. Kogo zbyt grobowo usposobiło piwo «nicości», temu wystarcza pójść *naprzeciwko*, ażeby się pokrzepić piwem «niebiańskim»; i naodwrot: kto pod wpływem «niebiańskiego» piwa zaczyna zbyt różowo i pogodnie zapatrywać się na świat i życie, temu wystarcza pójść *vis à vis*, ażeby po dwóch szklaneczkach piwa «nicości» zobojętnieć na wszystkie powaby i rozkosze raju na ziemi.

W każdym razie, jeżeli chodzi o «Niebo» z bulwaru Clichy, to droga do niego nie może być nazwana ciernistą, a wstęp tak dalece jest ułatwiony, że każdy wchodzi tu bez kontroli, niezależnie od tego nawet, czy jest sam, czy w towarzystwie, czy idzie we dwóch, czy we dwoje... Pożądaniem jest tylko, ażeby się przychodziło w dobrym humorze, nie podczas napadu *spleen'u*; bo w czasie *spleen'u* i samo «Niebo» nawet robi wrażenie czyśćca.

Cokolwiekby, każdy musi przyznać, że już samo wejście, prowadzące do tego nieba, usposabia pogodnie, nastraja na *majör* nie na *minor*. Jak światło słońca, które posiada tę właściwość, że rozprasza czarne myśli, tak tutaj czynią to — a przynajmniej mają spełniać to wdzięczne zadanie — dwie ogromne lampy elektryczne, których blado - niebieskie światło rozplywa się na prze-

strzeni kilkunastu metrów, tak, iż wszystko, co się znajduje w pobliżu, może się śmiało nazywać *jaśnie-oświeconem*. Jest to przywilej, z którego tu mogą korzystać nawet demokraci i nieprzejednani z *l'Intransigent'a*. Tymczasem korzystają z niego dwie wielkie tablice marmurowe, na których złotymi literami wyryto cały szereg budujących maksym, opiewających piękność i rozkosze życia. Ściany domu, w którym się znajduje to niebo, są oczywiście pomalowane na niebiesko, który to kolor, oblany mleczno-białem światłem elektrycznem, robi bardzo miłe wrażenie. Pośrodku, między owemi tablicami, znajduje się rodzaj niszy. W niszy tej, podobnej do wielkiej muszli perłowej, jest dwoje drzwi, przesłoniętych ponsową kotarą. Strzeże ich złotowłose i białoskrzydły anioł, przybrany w seledynowe szaty, z gałązką oliwną w ręku. Kiedy przechodzisz koło niego, wita cię, mówiąc: *Bonsoir, frère!* poczem uchyla zasłony, ażebyś mógł wejść swobodnie.

Wchodzisz i widzisz dość wielką salę o jasno-niebieskich ścianach, o suficie naśladującym obłoki, z girlandami kwiatów pod sufitem, z pięknym żyrandolem w formie aniołków, z których każdy trzyma pęk lampek elektrycznych. Pod żyrandolem, pośrodku sali, stoi duży stół podłużny, nakryty białym obrusem, podobny do tego, jaki namal-

wał Leonardo da Vinci na swojej słynnej *Wieczery Pańskiej*, tylko większy znacznie, bo kiedy na obrazie genialnego twórcy *Giocondy* przy stole siedzi trzynaście osób, tutaj, kiedyśmy weszli, siedziało najmniej trzydzieści, a wszyscy, bez różnicy płci, pili piwo, które się tu nazywa nektarem. Usługują aniołowie w białych szatach, z łabędziemi skrzydłami u ramion, z idealnymi głowami bez zarostu, w złotych lokach. Kiedy wchodzisz, zaraz jeden z tych aniołów, powitawszy cię miłym uśmiechem i uprzejmem: *Bonsoir, frère!* wskazuje ci miejsce przy stole, pytając, czy pragniesz się napić pokrzepiającego nektaru, zanim wstąpisz do podwojów niebieskich? Skoro dajesz odpowiedź twierdzącą, anioł odchodzi, a po chwili przynosi ci szklankę piwa, zwykły *bock*. Tu następuje małe rozczarowanie, okazuje się bowiem, że nie tylko na ziemi, ale i w niebie za wszystko trzeba płacić. Z tą różnicą, że na ziemi, w Paryżu naprzykład, w każdej kawiarni lub restauracyi płaci się za szklankę piwa 25 lub 30 centymów, kiedy tutaj, w tym przedsionku do nieba, takie samo piwo kosztuje 75 centymów. Ale, że w niebie, a nawet w przedsionku do niego, nie wypada się targować lub wszczynać jakichś kwestyi pieniężnych (które człowiekowi tyle krwi psują na ziemi), więc nie protestujesz ani słowem, dajesz franka,

a widząc, że usługujący anioł bardzo chętnie wołałby nie sięgać po drobne, machasz ręką na znak, że resztę może zatrzymać dla siebie, który to gest wywołuje na twarz usługującego Serafa uprzejmy, prawdziwie anielski uśmiech, a uśmiechowi towarzyszy miłe podziękowanie: *Je te remercie, frère. Sois béni!* To powiedziawszy anioł, chowa *pour-boire* do kieszeni i odchodzi powolnym krokiem, zlekka poruszając skrzydłami. Zaczynasz pić ów niebiański nektar o smaku zwykłego piwa monachijskiego, a tymczasem przy stole słychać gwar rozmowy, w której najczęściej powtarzającym się tonem jest śmiech, przeważnie śmiech kobiecy. Wszyscy są w doskonałym humorze, a tymczasem usługujący aniołowie, poruszając skrzydłami, przechadzają się za plecami gości, i uważają, czy który czego nie potrzebuje, czy nie chce się napić jeszcze szklanki gambrynusowego nektaru... Jednocześnie w powietrzu, jakby z przyległej komnaty, której nie widać jednak, rozbrzmiewa, stłumiony oddaleniem, chór anielski: słyszysz jakieś słodkie głosy, które śpiewają *Gloria! Gloria!* na znaną nutę chórów anielskich z ostatniego aktu *Fausta* Gounod'a.

Tak upływa kilka minut, a gości wciąż przybywa coraz więcej. Każdy zasiada przy stole, ażeby wziąć udział we wspólnej wieczerzy, a skoro wszystkie miejsca są zajęte, zjawia się na złotej

mównicy, podobnej do zwykłej kościelnej ambo-ny, jasnowłosy mężczyzna w białych szatach, podobny do Jana Reszkego w *Lohengrinie*, a mający wyobrażać geniusza rozkoszy — *Le Génie de la joie de vivre* — daje znak, ażeby się uciszono na chwilę, a gdy to nastąpiło, on, zwracając się do *braci i sióstr* — zamiast do panów i pań — zaczyna im opowiadać o piękności i rozkoszach życia.

Tak mówi z pięć minut, a choć zachwyca się naszą doczesną egzystencją, choć używa najwyższych superlatywów na określenie jej stron świetlistych i jasnych, choć niema słów, jak zapewnia, ażeby dać dokładne pojęcie o tym najlepszym i najpiękniejszym ze światów, to jednak mówi z takim odcieniem ironii, takim tonem, że odrazu pod powłoką tej kwiecistej oracyi wyczuwa się zręcznie odegraną komedię, której cały dowcip polega na tem, że mówca nie wierzy w to, co mówi, a w duszy śmieje się z tych, co jego słowa biorą na seryo. Charakterystycznem jest zakończenie tego hymnu czy peanu na cześć życia, zakończenie, które możnaby streścić w ten sposób:

— Wszystko, coście tu, kochani bracia, słyszeli dotychczas, było pochwałą naszego doczesnego bytu, ten zaś, lubo się rozgrywa na ziemi, jest prawdziwie boskim poematem, w którym, jak się

tego domyślacie zapewne, kobieta jest najpiękniejszą, najbardziej zachwycającą strofą. Za chwilę zobaczycie niebo. Nie myślcie jednak, ażeby to niebo, do którego was poprowadzę, było niebem chrześcijańskim, albo tym Rajem, który opisał pewien średniowieczny poeta włoski, nazwiskiem Dante. Tak nie jest, gdyż *takie* niebo groziłoby nam... bankructwem. Niktby poprostu nie wstępował do naszego nieba... Dlaczego? pytacie. Dlatego, że zamiast niebiańskich rozkoszy, których przybytkiem powinno być niebo, cała klientela nasza byłaby narażona na takie śmiertelne nudy, jakich źródłem jest — podobno — czytanie *Raju* Danta. Nadto bylibyście, najmilsi bracia moi, w tem chrześcijańskim niebie narażeni na nieciekawe towarzystwo starych bigotów i dewotek, których tam jest najwięcej, wszystko bowiem, co na tym świecie było inteligentnego, śmiałego, niezależnego, genialnego i wesołego wreszcie, wszystko to, jako zatwardziali grzesznicy, praży się w piekle, dokąd także wysyłane bywają — nie zapominajcie — wszystkie piękne kobiety. Tylko brzydkie idą do Raju. Nie dziw więc, że nie takie cnotliwo-nudne niebo zobaczycie za chwilę. Niebo, które was czeka, najmilsi bracia, jest niebem Mahometa, a mianowicie szóstym niebem tego wielkiego proroka.

— Dlaczego nie siódmem? zapytuje któryś z gości.

— Siódme jest zawsze zajęte przez samego właściciela zakładu.

Ta dowcipna odpowiedź wywołuje huragan śmiechu, poczem mówca schodzi z mównicy, a zszedłszy na dół, prosi całe zgromadzenie, ażeby zechciało podążyć za nim, bo już pora przejść do nieba. Jakoż wszyscy powstają z miejsc, złoto-włosy orator zaś, podszedłszy do rodzaju schodów, prowadzących na pierwsze piętro, staje na stopniu i objaśnia «braci» i «siostry», że schody te są dokładną kopią owej drabiny, która słę w swoim czasie przyśniła Jakóbowi, a po której Aniołowie zwolna wchodzili do nieba...

Po chwili zaczynamy i my wchodzić na te schody, a trzeba im oddać sprawiedliwość, że są nietylko wygodne, ale i ładne. Zwłaszcza oświetlenie jest bardzo efektowne: światło, które na nie pada z góry, z całego szeregu lampek elektrycznych, poukrywanych w suficie, jest tego samego niebiesko-seledynowego koloru, co światło słynnej *Grotta di lazura*. Na ścianach, także jasno-niebieskiego koloru, widzisz girlandy z samych róż...

Taką jest droga do tego szóstego nieba Mahometa, do którego wszedłszy, doznaje słę małego zawodu. Człowiek wyobrażał sobie więcej, niż

znajduje. Co prawda, każdy z nas, kiedy sobie wyobraża niebo Mahometa, zawsze myśli o ślódmem, o którym powlada Słowacki, że w niem rosną owe cudowne gruszki, co to

w każdej gruszcze do wyboru,
Masz cztery panny różnego koloru.

Jak się przedstawia to szóste niebo? Jest to dość duża grota, sklepiona z samych drogich kamieni, które się tu mienią różnobarwnymi kryształami ogromnych rozmiarów. Widzisz brylanty wielkości głowy dziecięcej, a najmniejsze rubiny, szafiry i szmaragdy, cudownie pomieszane, nie są mniejsze, niż zwykłe jabłka lub gruszki. W szczelinach pomiędzy tymi różnobarwnymi kryształami iskrzą się bryły czystego złota, które z sufitu spuszcza się w postaci prześlicznych stalaktytów. Cała grota jest oświetlona mnóstwem lampek elektrycznych, poukrywanych w załomach — niby owe lampy Aladyna. W jednym rogu bije arabska fontanna, której woda raz po raz zabarwia się inaczej: raz jest biała, i wtedy robi wrażenie roztopionego srebra pomieszanego z brylantami; raz jest niebieska, i wtedy robi wrażenie deszczu szafirów; raz jest czerwona, rzekłbyś same rubiny, raz fioletowa, jak ametysty, raz żółta, jak topazy. Pośrodku stoi kilka rzędów krzeseł, a w przedniej ścianie znajduje się

rodzaj scenki, skutkiem czego cała grota robi wrażenie jakiegoś fantastycznego teatrzyku. Na scenie oświetlonej *a giorno* i przedstawiającej jakby jedną z komnat jakiegoś haremu, a więc umeblowanej na sposób wschodni, widzisz zwykle krzesło, które przez to, że stoi pośrodku, intryguje zaciekawionego widza. Mimowoli uwaga zwraca się w kierunku tego krzesła, które zdaje się zapowiadać coś niezwykłego.

Tymczasem proszą nas, żebyśmy siedli, a skorośmy się usadowili wszyscy, złotowłosa przewodnik, który nas — jak Beatrice Danta — wprowadził tutaj, zwracając się do całego towarzystwa, oświadcza wszem wobec, że kto chce zakosztować rozkoszy nieba, niech usiądzie na tem krześle, które tam widzi na scenie. Amatorów nie brak. Odrazu powstaje kilka osób, przyczem okazuje się, że mężczyźni są daleko ciekawsii, aniżeli kobiety; bo kiedy amatorów było pięciu, amatorka znalazła się tylko jedna, a i ta, widząc, że nie ma towarzyszek, zrezygnowała z zadowolenia swej ciekawości.

— W każdym razie i tak pani z czasem zostaniesz huryską, przepowiada jej jasnowłosa «geniusz rozkoszy».

Wszyscy się zaczynają śmiać, co wywołuje żywy rumieniec na lica przyszłej huryski.

Jednocześnie skrzydlaty nasz *cicerone*, zwracając się do pierwszego z owych pięciu panów, zapytuje go: zali jest pewny swych *forces viriles*, bo w przeciwnym razie, jeżeli się nie chce skompromitować w oczach całego towarzystwa, lepiej zrobi, gdy zrezygnuje z tej próby, która jest ogniową. Lecz zagadnięty, wysoki i barczysty szatyn o szafirowych oczach i kasztanowatym zaroście, powiada, że jest całkiem spokojny o siebie, czyli, że nie cofa się przed żadną próbą. Odważny!...

— Ha, skoro tak, to zechciej pan wejść po tych schodkach (to mówiąc, wskazał na niewielkie drzwiczki, ukryte obok sceny, a niewidzialne na pierwszy rzut oka), a strzeż się, gdy się dostaniesz za kulisy, żeby cię tam nie skarotowano...

Cała sala w śmiech, a tymczasem dzielny młodzieniec, także śmiejąc się, ginie w drzwiczkach przy scenie, które, ledwie ich próg przestąpił, zaraz się zatrzały za nim. Swoją drogą, nim się zamknęły, usłyszeliśmy kilka pomieszanych głosów kobiecych, brzmiących jak jeden akord śmiechów. Cóż to za głosy kobiece? Pewno huryski...

Upływa minuta, dwie, a młody szatyn jak znikł za drzwiami, tak się nie pokazuje na scenie. W sali zaczynają się szmery, głośnie komentarze, a uskrzydłony «geniusz rozkoszy», stojąc, jak czarnoksię-

żnik, przy rampie scenki, podsyca ogólne zaciekanie.

— Pewno go — mówi — zatrzymano w piętem niebie. Bo i tam nie zbywa na pokusach.

Tymczasem z za sceny dochodzą wesołe głosy kobiece, słyhać piski i śmiechy, kiedy nagle rozlega się huk, jaki zazwyczaj towarzyszy otwarciu butelki szampana, po chwili daje się słyszeć szklany brzęk trącanych kieliszków, pomieszany ze srebrzystym chichotem niewieściu, aż wreszcie, ku nadzwyczajnemu zadowoleniu wszystkich, zjawia się na scenie, z pustym kieliszkiem w ręku, nasz młody szatyn, i śmiejąc się, siada na krześle.

Skoro usiadł, ogólne zainteresowanie wzrasta jeszcze bardziej: całe towarzystwo ucisza się, a skrzydlaty geniusz, trochę podobny do Parsiwala, zaczyna uroczystą przemowę, w której powtórnie zapytuje siedzącego na krześle, a dziwnie rozweselonego i podnieconego młodzieńca, zali nie wątpl o swej mękości, gdyż za chwilę zacznie się próba... Wszyscy się śmieją, a skoro zapytany upewnia, że nie lęka się niczego, jasnowłosy przewodnik niebieski daje znak, ażeby się uclszono, gdyż za chwilę — jak obiecuje — ujrzymy uroki szóstego nieba. To rzekłszy, wypowiada jakieś kabalistyczne zaklęcie, poczem raz jeszcze ostrzega wesołego i umiechniętego amatora hurysek, ażeby był w pogotowiu, ponie-

waż *le moment psychologique* już nadchodzi, już nadszedł!... W tejże chwili z ust całego towarzystwa, a zwłaszcza z ust mężczyzn, wyrywa się przeciągłe: Aa! przypominające znany wykrzyk z piątego krymskiego sonetu, albowiem na scenę wbiegło pięć «panien różnego koloru» (jakby te huryski nazwał autor *Beniowskiego*), a trzeba im przyznać, że zjawieniem się swoim niemałe czyniła wrażenie. Bo nletylko są bardzo ładne, jedna w drugą, ale kostyummy wschodnie, w których się ukazują, świadczą wymownie, że głównem zadaniem krawca, który je sporządzał, musiała być chęć zużycia jak najmniejszej ilości materiału. Nie żałował tylko białej gazy, przeświecającej jak letnia szreżoga, a która, przyoblekając piękne kształty, podnosi ich powab, owiewa poezią, której nie posiada całkowita nagość. Patrząc na te odaliski wschodnie, rzeczywiście «różnego koloru», bo każda jest innej cery, innego koloru włosów, zaczyna się mieć przedsmak, jeżeli nie szóstego nieba, to przynajmniej haremu jakiegoś padyszacha... Lecz dziwna rzecz! o ile w sali, wśród gości, daje się zauważyć pewne podniecenie, o tyle młody szatyn na scenie, choć taki był pewien siebie, zachowuje się dziwnie spokojnie, jak na mężczyznę, otoczonego tyloma huryskami, i choć jedna z nich — urocza blondynka — siadła mu na kolanach, a druga —

ognista brunetka w stroju Gruzinki — lubieżnie igrała z jego włosami, trzecia zaś — przepyszna szatynka — głaskała go po twarzy, kiedy czwarta tymczasem — rzekłbyś ruda Wenecyanka — obejmowała za szyję, a piąta wreszcie — istna bachantka Rubensa — namiętnie tuliła się do niego. Gdy otoczyły go kołem, niby syreny, on siedział spokojnie na krześle, jakby się nic nie działo dookoła niego, i zdziwionym wzrokiem wodził po całym zgromadzeniu, nie rozumiejąc, co znaczą te szmery i śmiechy, co znaczą te dziwne spojrzenia mężczyzn, to zażenowanie kobiet, skromnie spuszczaających oczy, jakby były zgorszone jakimś widokiem nieskromnym. Siedział, jak gdyby było całkiem pusto na scenie, uśmiechał się, rozglądał się to na prawo, to na lewo, poprawiał sobie krawat, mankiety, patrzył na zegarek, słowem, zachowywał się w taki sposób, jak gdyby siedział sam jeden, jakby nie czuł się podrażniony tym *odore di femina*, o którym mówi Mozartowski Don-Juan, jakby nie wiedział zupełnie, że oto pięć pięknych, prawie obnażonych ciał niewieścich ociera się o niego, że cudne ramiona obejmują go za szyję, że karminowe usteczka wpijają mu się w usta, że śliczne paluszki, mieniące się drogimi kamieniami pierścionków, wplatają się w jego czuprynę, głaszczą po twarzy, po brodzie, pokręcają wą-

sów i t. d. Tymczasem w sali rozlegają się coraz głośniejsze śmiechy, bo nikt nie może zrozumieć podobnego zachowania się w podobnej chwili. W końcu dają się słyszeć dowcipy, od których puchną skromne uszy niewieście, a wywołujące homeryczne wybuchy śmiechu wśród mężczyzn. Z kolei i skrzydlaty nasz *cicerone*, zwracając się do nieuświadomionego szczęśliwca, wyraża najwyższe zdziwienie, że człowiek, który tak był pewny siebie, zachowuje się tak dziwnie, tak jest nie na wysokości sytuacji... *Chose incompréhensible!* Tymczasem i główny bohater tej efektownej sceny, zasługujący na miano wniebowziętego, zdaje się nic nie wiedzieć, że jest w szóstym niebie, ani o tem, że jest tak szczęśliwy i śmieszny zarazem. Twarz jego, która w takiej chwili powinna mieć inny wyraz, wyraża tylko zdziwienie, jakby nie mógł zrozumieć, co znaczy ten przewyborny humor, panujący wśród publiczności. Tak upływa ze trzy minuty, aż wreszcie — ku niesłychanemu zdziwieniu całego zgromadzenia — wszystko znika w jednej chwili: huryski, o których realności i dotykalności nie powątpiewał nikt z obecnych, znikły — niczem bańki mydlane — w jednym mgnieniu oka, rozwiały się w powietrzu. Widzenie znikło, pierzchnęło.

Okazało się teraz, że to, co się nam wydawało rzeczywistością, było złudzeniem, halucynacją, wywołaną zapomocą jakiejś przedziwnej kombinacji luster, ukrytych nie wiadomo gdzie, i że z tego wszystkiego, co tak bawiło nasze oczy, a łaskotało zmysły, ów wniebowzięty młodzian, śledzący na krześle, nie wdział zgoła nic. Wszystko to była złuda, gra światła.



PRZED OBIADEM

— Jakże ci się zdaje: dobrze mi w tej sukni? spytała pani Zofia, przeglądając się w wielkiem lustrze, w którym się widziała od atlasowych pantofelków aż po brylantową gwiazdę i kwiaty we włosach.

— Cudnie, proszę jaśnie pani, precudnie, do zakochania! odrzekła Jadwiga, jej panna służąca, i obchodząc ją dookoła, śledziła badawczym wzrokiem, czy jeszcze gdzie jaki drobny szczegół nie zostaje do poprawienia.

Ale wszystko było bez zarzutu, bo i przepyszna tualeta, świeżo przyniesiona od Hersego, i sama pani Zofia, słusznie ciesząca się opinią jednej z najpiękniejszych kobiet w Warszawie, każdego mogły wprowadzić w zachwyt i podziw.

Ciemna szatynka o bujnych kasztanowatych włosach, w tej chwili przedstawiających prawdziwe arcydzieło sztuki fryzjerskiej, z czarnemi oczyma Hiszpanki, w których, jakby się wyraził poeta,

«Kupido całym pękiem trzymał najeżone strzały», imponująca biustem, godnym makartowskiego pędzla, z figurą paryskiej *mondaine'y*, pani Zofia miała dziś swój *beau jour*. Jakoż wyglądała tak uroczo, że podobala się nawet samej sobie, choć wogóle pod tym względem niezmiernie była wymagająca. To zadowolenie z siebie, równające się świadomości swego syreniego powabu i czarui, sprawiało, że dawno nie czuła się tak usposobioną do pójścia na bal, jak dzisiaj właśnie, i że nie mogła doczekać się chwili, w której, promieniejąca swą kuszącą urodą, wejdzie do wspaniałego salonu państwa S..., by tu, od pierwszego ukazania się we drzwiach, stać się królową całego zebrania, i zapalając wyobraźnię mężczyzn, budzić złe tająną zawiść wśród kobiet... Że tak będzie, tego była pewną, gdyż tak bywało zawsze, stale.

Lecz jednocześnie traciła całą pewność siebie, gdy pomyślała o malarzu Sokoliczu, który miał być na tym wieczorze, a któremu pragnęła się podobać nadewszystko. O tem, że była kochaną przezeń, nie potrzebowała wątpić; wiedziała bowiem, że od pierwszej chwili, gdy przekroczyła próg jego pracowni, by mu pozować do portretu, pokochał ją, jak Romeo. A jednak, choć była pewną miłości Jerzego, choć wiedziała, że szalał za nią poprostu, że wpadał w rozpacz, gdy nie

widzieli się dzień jeden, i choć sobie nie mogła wyobrazić życia bez tego upajającego romansu, mimo to dzisiaj, już od paru godzin — może z powodu nie widzenia się z Jerzym od wczoraj — nie mogła się opędzić jakiejś dziwnej, bo na razie niczem nieuzasadnionej obawie, że może go utracić. Ale nic w tem nie było dziwnego: kochała, więc była pełna niepokoju. Zwłaszcza, że kochała pierwszy raz w życiu...

Tymczasem, właśnie gdy kończyła nakładać rękawiczki, wszedł do pokoju Henryk, jej mąż. Wysoki, barczysty brunet o dość przerzedzonych i szpakowatych włosach, o twarzy inteligentnej ale nie pięknej, o czole pooranem zmarszczkami, z oczyma przenikliwemi, których brązowe obwódki pozwalały się domyślać znużenia i zmęczenia, gdy się ukazał w progu, już był ubrany zupełnie, we fraku, w białym krawacie, z szapokłakiem w ręku. Stąpawszy przed żoną, obrzucił ją długiem spojrzeniem, ale spojrzenie to, zamiast błyszczeć wesołością i ukontentowaniem, było pełne smutku i jakiejś ponurej zadumy.

Spojrzenie to, tak nielicujące z balowym strojem, odrazu nie podobało się pani Zofii. Czuli, iż Henryk niechętnie idzie na ten dzisiejszy raut, że mu jakaś troska zamąca spokój, słowem, że znowu jakaś burza unosi się w powietrzu. Lecz niezmie-

szana tem wcale, owszem, udając, że niczego się nie domyśla, pierwsza przerywając ambarasujące milczenie, zagadnęła:

— Jakże ci się podobam dzisiaj? Prawda, iż śliczna suknia?

Henryk jednakże, nie wrażliwy na zalotne spojrzenie Zofii, zamiast odpowiedzieć na jej zdawkowe pytania, rzekł sucho:

— Jeżeliś gotowa, możemy się wybierać. Karetą już zajechała.

— Czy już czas? Która godzina?

— Wybiła dziesiąta.

— Dopiero? zapytała naiwnie pani Zofia i, zwróciwszy się do Jadwigi, której obecność nie była jej w tej chwili na rękę, rzekła: «Niech też Jadwiga pójdzie zobaczyć, czy dzieci śpią».

Zostawszy sam na sam z mężem, który tymczasem wyglądał oknem, pani Zofia zbliżyła się do niego, i nadstawiając mu obnażoną szyję, rzekła filuternie rozkazującym tonem, z wyzywającą zalotnością w oczach:

— No, masz, pocałuj!

Henryk pocałował ją, jakby z musu, ale milczał. Nie zbита tem z tropu pani Zofia obróciła się doń natychmiast drugą stroną i nadstawiając mu tym razem policzek, przymykając kokieteryjnie oczy, rzekła znowu:

— No, pocałuj raz jeszcze, tylko mocno, i rozchmurz się.

Gdy zaś Henryk spełnił jej życzenie, ale znowu nie rzekł ani słowa, pogłaskała go pieszczotliwie po twarzy, by zaraz bezpośrednio potem dodać oziębłe:

— A teraz, mój drogi, zapnij mi rękawiczki.

Przy zapinaniu rękawiczek, co mu wogóle szło dość niezręcznie, Henryk, który widocznie myślał o czem innem, rzekł w końcu głosem drżącym od tłumionego wzruszenia:

— Wielebym dał za to, żeby mój nie pójść na ten dzisiejszy raut. Mam jakieś złe przeczucie...

— A to z jakiego powodu? przerwała mu pani Zofia, udając zdziwienie, niby zaskoczona tem rzekomo niespodziewanem oświadczeniem.

— Dla tej prostej przyczyny, odrzekł Henryk, przeszywając ją wzrokiem, którego siły wytrzymać nie mogła, dla tej prostej przyczyny, iż wiem, co sobie myślisz w tej chwili, że wiem, dla kogo tak się wystroiłaś, że wiem, iż gdyby nie Sokolicz, z którym się masz spotkać, nie zależałoby ci tak na tym raucie.

— Eh, dziecko jesteś, odrzekła pani Zofia z silnym akcentem zniecierpliwienia w głosie.

Dalszą rozmowę przerwało wejście Jadwigi,

która, wróciwszy z dziecięcego pokoju, oświadczyła, iż dzieci już śpią smacznie.

— Jak aniołki, proszę jaśnie pani.

Po upływie kwadransa niespełna, gdy jechali karetą, znowu nic sobie nie mieli do powiedzenia: Henryk siedział zamyślony, a jej nie chciało się prowadzić rozmowy, mogącej być tylko przelewaniem z pustego w próżne. O tem, o czem w tej chwili myśleli oboje, nie mogli mówić otwarcie, a przynajmniej nie uśmiechało się to pani Zofii. Ale Henryka coraz bardziej zaczynało niecierpliwieć to uporczywe milczenie żony, świadczące, iż nawet sobie nie chciała zadać trudu dla zachowania choćby pozoru serdeczności względem niego. Rozdrażniony tem, w końcu zdecydował się przemówić pierwszy, to zaś, z czem wystąpił, sprawiło, iż pani Zofii momentalnie krew uderzyła do głowy.

— Ponieważ nie widzę potrzeby ukrywania się z mojami zamiarami, na których przeprowadzenie znajdę dosyć energii i bezwzględności, więc wolę cię uprzedzić, że na podobną sytuację, jaka się ostatnimi czasy wytworzyła pomiędzy nami, nie zgadzam się bezwarunkowo. To też postanowiłem jej koniec położyć.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi, odparła pani Zofia, której serce nagle zaczęło rozsadzać piersi i tamować w nich oddech.

— Moja droga, nie udawaj naiwnej, ani przypuszczaj, żebym ja był tak naiwnym, jak ci się może zdawać chwilami, rzekł oschle Henryk. Jaką sytuację mam na myśli, wiesz lepiej ode mnie.

— Dlaczego lepiej?

— Choćby dlatego tylko, iż o niej wiedziałas wcześniej, niż ja. A zresztą, skoro pragniesz, bym ci raz jeszcze powiedział wyraźnie, do czego zmierzam, to wiedz, iż mi chodzi o twój stosunek z Jerzym.

— Przedewszystkiem wypraszam sobie, ażebyś się posługiwał wyrażeniami, które mi uwłaczają, jako kobiecie. Mogę lubić i lubię towarzystwo młodego Sokolicza, ale nie może tu być mowy o stosunku. Chyba nie potrzebuję ci objaśniać, co się rozumie przez *stosunek* pomiędzy kobietą i mężczyzną.

— Nie wiem, co was łączy, i nie chcę wiedzieć. Wiem tylko, że od pewnego czasu, odkąd Jerzy zbliżył się do ciebie, czynisz mi życie nieznośnem, nie mówiąc już o tem, że wystawiasz na szwank moje uczciwe nazwisko. Tego nie ścierpię, więc...

— Co chcesz uczynić? przerwała mu nagle pani Zofia, która w tej chwili zaczęła go się bać naprawdę.

— Na razie mogę ci powiedzieć tyle tylko, że postanowiłem rozmówić się z Sokoliczem.

— A to w jakim celu?

— O tem dowiesz się jutro. Jutro bowiem, w południe, będę u Sokolicza. Możesz go uprzedzić o tem, żeby był u siebie w pracowni, bo nie chciałbym chodzić na próżno.

W głosie Henryka, spokojnym, ale chłodnym jak stał, brzmiała taka stanowczość, iż pani Zofia była bliską płaczu. Po tem bowiem, co usłyszała przed chwilą, miała słuszne powody lękać się o Jerzego. Wiedziała przecież, iż z Henrykiem niema żartów. Ale jednocześnie zrozumiała również, iż musi panować nad sobą, bo chcąc osłabić zaciętość Henryka, trzeba ją bagatelizować: jego energii przeciwstawić własną pewność siebie, a niepokój i rozgorączkowanie, których w tej rozmowie składał wymowny dowód, paraliżować spokojem i zimną krwią. Znając Henryka, wiedziała, iż nic go tak nie zachwieje w jego postanowieniach, jak jej spokój. To też, zorientowawszy się w sytuacji, usiłowała zapanować nad sobą, nad wzruszeniem, jakiemu chwilowo uległa, i w tej myśli odrzekła nie bez odcienia pewnej nakazującej stanowczości w głosie!

— Owszem, skoro sobie tego życzysz, uprzedzę Jerzego, ażeby jutro w południe oczekiwał

twojej wizyty. Tymczasem jednak, proszę Cię, nie mówmy już o tem więcej. Co ma być jutro, będzie i tak, a teraz jedziemy na raut, na którym chciałabym się bawić. Uważam nawet, że wszystko, coś mi powiedział przed chwilą, mogłeś mi równie dobrze powiedzieć po raucie i tym sposobem nie psuć mi zawczasu zabawy.

Henryk nie spodziewał się takiej repliki. Był przekonany, że Zofię zastraszy swem oświadczeniem. Tymczasem zachowała się tak, jakby niezbyt wielką wagę przywiązywała do tej jego jutrzejszej rozmowy z Sokoliczem. Taki obrót rzeczy, całkiem niespodziewany, niemało mu dał do myślenia, a nawet przyprawił o pewien niepokój. Nie umiał powiedzieć, dlaczego, ale miał uczucie, że z tej sceny nie on wychodził zwycięsko, lecz jego żona. Nie wiedział, ani przypuszczał, iż ta pozorna wygrana nie mało ją kosztowała, że udając, jakoby sobie niewiele robiła z jego postanowienia, naprawdę drżała na całym ciele, pełna niewystowionego lęku i bojaźni, a zarazem dręczona niepokojem i niepewnością, czy dobrze zrobiła, w ten sposób rozstrzygnąwszy kwestyę. Czy tem nie zgubiła Jerzego? Czy nie byłoby lepiej, zamiast się stawiać hardo, uderzyć w pokorę, w łzy, i błagać Henryka, by odstąpił od swego zamiaru, obiecać mu, iż zerwie wszelkie stosunki z Jerzym, że go

przestanie widywać, że wyrzeknie się go raz na zawsze, byle tylko nie dopuścić do skandalu, do jakichś zajść niepożądanych. Czuła bowiem, że w zaciętości swej, a zwłaszcza rozdrażniony jej wyzywającym zachowaniem się, Henryk gotów nie cofnąć się przed ostatecznością, a ta ostateczność mogła się równać Bóg wie czemu...

Dręczona podobnemi obawami, pani Zofia daremno siliła się na odzyskanie humoru. Chociaż, wchodząc do salonu pod rękę z gospodarzem domu, wyglądała jak królowa, i choć niebawem Jerzy — dorodny brunet z ogorzałą twarzą Wenecyanina — znalazł się przy niej, to jednak i on zauważył po krótkiej wymianie zdań, że była jakaś nieswoja, nie taka, jak zwykle. Rzeczywiście, po owej rozmowie z mężem, której każde słowo jeszcze jej brzmiało w uszach, nie mogła przyjść do siebie, nie mogła odzyskać wesołości i swobody myśli. Nawet na zalotność, w której tak celowała zawsze, zdobyć się nie mogła tym razem. Była jak spłoszony ptak, straciła kontenans. Miała uczucie, iż jest w przededniu jakiejś katastrofy, w przededniu jakiegoś nieszczęścia. Podczas rozmowy z Jerzym, która od samego początku dziwnie się nie kleiła, gubiła się w domysłach co do zamiarów Henryka, starała się odgadnąć, o czym jutro będzie mówił z Jerzym, czego zażąda od niego, jakie postawi

warunki. Na razie niepokoiło ją zachowanie się Henryka, ten bowiem, przywitawszy się z gospodarstwem w przedpokoju, wcale się nie pokazał w salonie, lecz odrazu przeszedł do gabinetu pana domu, gdzie stały trzy stoliki winta, i zasiadł do kart. Zdziwiło to panią Zofię, a tem samem pobudziło do refleksyi. Jakoż była tak roztargniona w rozmowie z Jerzym, że nie mogło to żadną miarą ujść jego baczności: zbyt przenikliwym był obserwatorem, by nie domyśleć się od pierwszej chwili, że coś się stało...

— Pani coś jest, zapytał w końcu, jeszcze pani nigdy takiej nie widział. Widzę, iż moja królowa ukrywa coś przede mną. Czy to się godzi?

Ponieważ siedzieli w salonie, w tłumie gości, których uwagę i tak już zdołali zwrócić na siebie, więc pani Zofia, zamiast odpowiedzi na pytanie Jerzego, zaproponowała mu zciszonym głosem z zachłarza, by przeszedł do przyległego buduaru, dokąd i ona przyjdzie za małą chwilę. Tam, uwolnieni od natrętnych spojrzeń plotkarek i plotkarzy, będą mogli pomówić swobodnie, a w rozmowie nie będą potrzebowali nazywać się *panem* i *panią*, czego już, gdy byli sam na sam, nie czynili od dawna...

— A mam z panem istotnie o ważnej sprawie do pomówienia, rzekła mu, gdy się miał oddalić,

przyczem szczególny nacisk położyła na wyraz *pan*, który umyślnie wymówiła tak głośno, by go i najbliższe sąsiadki dosłyszeć mogły.

Gdy po chwili znaleźli się sami w wytwornym buduaru damskim, pani Zofia, zajmwszy miejsce na eleganckiej kozetce *Louis XV*, na której i Jerzy siadł obok niej, rzekła bez żadnych wstępów:

— Mąż mój będzie u ciebie jutro.

Jerzy, starając się nie okazać wrażenia, jakie bądź co bądź uczyniła na nim tego rodzaju wiadomość, zamyślił się chwilę, potarł ręką czoło, wreszcie odrzekł:

— Rozumiem wszystko, ale jakże do tego przyszło?

Tu mu pani Zofia opowiedziała treść swej rozmowy z mężem, a w konkluzji dodała następującą praktyczną radę:

— Musisz być przygotowany na wszystko, nawet na wszystko najgorsze. Henryk nie mówił mi wprawdzie, czego będzie żądał od ciebie, ale w każdym razie błagam cię, staraj się zapanować nad sytuacją, bo inaczej wszystko może się obrócić przeciw tobie, a więc przeciw nam i naszej miłości, której ja przynajmniej nie wyrzeknę się za żadną cenę...

— Tembardziej ja, który żyję tylko wówczas, gdy jesteśmy razem.

— Nie przypuszczam, iżby ci trudno przyszło być panem położenia w tej przeprawie z Henrykiem, on bowiem, czując twą wyższość nad sobą, wogóle zawsze jest trochę onieśmielony względem ciebie. Sam mi to mówił nieraz, a łatwo zgadnąć, dlaczego tak jest. Przedewszystkiem jesteś młody i piękny, więc jako rywal masz stanowczą przewagę na nim. Nikt sobie tak dobrze nie zdaje z tego sprawy, jak on. Powtóre ty masz talent, jesteś artystą, jesteś sławnym, należysz do tych wybranych, co stoją na świeczniku społeczeństwa, będąc jego zaszczytem i chlubą. Że on, jako zwykły śmiertelnik, jako pracowity handlowiec i kupiec, pod żadnym względem nie może mierzyć się z tobą, o tem również wiem od niego samego... A wreszcie, imponując mu wogóle, najbardziej imponujesz mu tem, żeś sobie potrafił zdobyć moją miłość, której on nigdy nie miał. On, niestety, wie o tem, że nigdy go nie kochałam, ale pocieszał się tem, że on też nie kochała nikogo innego. Był przekonany, że wogóle jestem niezdolną do pokochania kogoś. Teraz, odkąd ciebie poznałam, ma dowód, że był w błędzie. Pomimo tego, gdyby ci wspomniał o tem, gdyby robił jaką aluzję do naszej miłości, wyprzyj się wszystkiego. Że się kochamy, że żyć nie możemy bez siebie, o tem ani słowa. Owszem, zapewnij go, że o miłości niema

tu mowy, że ani ty mnie kochasz, ani ja ciebie; że jest to zwykły flirt, a przynajmniej, że ty traktujesz to, jako flirt. Najwięcej się obawiam jednej rzeczy: by nie zażądał od ciebie słowa honoru, iż nie jestem twoją kochanką. Tego bowiem, iż rzeczy zaszły już tak daleko, jak zaszły, on jeszcze nie podejrzewa. Gdybyś odmówił tego słowa honoru, czembyś mu oczy otworzył na prawdziwą sytuację, gotów cię zabić. Sama nie wiem, co ci mam doradzać, bo przecież nie mogę wymagać od ciebie, żebyś frymarczył słowem honoru. Do pojedynku także nie dopuszczę...

— Nie lękaj się, złotko. Będę wiedział, jak sobie postąpić. Przyjdzie czas, przyjdzie rada. A teraz nie myślmy o tem, mówmy o czem innym. Co będzie *jutro*, mniejsza z tem, skoro *dziś* do nas należy.

Ale choć oboje mieli najlepsze chęci po tem, żeby nie myśleć o jutrze, przez cały wieczór byli jakby zwarzeni. To samo było przy kolacyi: siedzieli obok siebie, ale więcej, aniżeli o sobie, o tem, żeby się bawić, myśleli o Henryku, który — jakby im nie chcąc przeszkadzać — umyślnie usiadł nie przy głównym stole, lecz w jednym z dalszych pokojów, razem z młodzieżą i pannami. Pani Zofia nie wiedziała nawet, czy siedział sam, czy też prowadził kogo. Dopiero od pani domu, gdy podczas

kolacyi stanęła za jej krzesłem, dowiedziała się przypadkiem, że Henryk siedział przy osobnym stole razem ze swymi partnerami od winta. Wiadomość ta, jakkolwiek nie zawierała w sobie nic nadzwyczajnego, sprawiła mimo to, że pani Zofia do reszty straciła humor. Jakieś złe przeczucie, wbrew perswazyom i uspokojeniom Jerzego, trapiło ją coraz bardziej. Żeby się nie wstydziła, z pewnościąby się rozplakała, bo tylko łzy mogły jej przynieść chwilową ulgę. Nie miała pojęcia, co będzie jutro o tej porze, a natomiast drżała na myśl, że może ją spotkać jakiś cios fatalny. Bała się o siebie, bała się o Jerzego. A przytem głowa ją rozboleła szalenie.

To też, gdy wstano od kolacyi, odszukała męża i oświadczyła mu, że chciałaby zaraz wracać do domu. Była pewna, że Henryk zgodzi się na to odrazu; tymczasem doznała zawodu: Henryk bowiem, któremu dziś wyjątkowo szczęściło się w grze, nie chciał wychodzić przed ukończeniem robra. Odmowa ta, choć całkiem naturalna, jeszcze zwiększyła niepokój pani Zofii.

W tem uczuciu pożegnała się z Jerzym, któremu już nie pozwoliła odprowadzać się do przedpokoju, żeby nie drażnić męża; w tem uczuciu jechała do domu, prawie że nie rozmawiając z Henrykiem, który sam pierwszy nie wszczynał roz-

mowy, lecz tylko odpowiadał na pytania; w tem uczuciu położyła się do łóżka, ażeby w niem resztę nocy przeleżeć bezsennie, udając, że śpi, a naprawdę medytując o tem, co się stanie za kilka godzin, gdy Henryk znajdzie się w pracowni Jerzego.

Henryk również oka zmrużyć nie mógł, jakkolwiek i on udawał przed żoną, że śpi. Albowiem i on przemyślał o swych zapowiedzianych odwiedzinach u Jerzego... Skoro wybiła godzina 8-ma, wstał, ubrał się, a o 9-ej był już w kantorze swego domu handlowego, gdzie natychmiast wpadł w wir interesów. Ale i w kantorze zauważono, że był dziwnie roztargniony i zdenerwowany od samego rana. Oczywiście nikt go się zapytać nie śmiał o powód.

Tymczasem jego piękna małżonka, wstawszy po 10-ej, miejsca sobie znaleźć nie mogła. Niewyspana, a więc blada, i z podsiniałemi oczyma, z głową nabitą całym szeregiem najrozmaitszych «czarnych myśli» i przypuszczeń, z coraz bardziej rozigraną wyobraźnią, z nerwami w stanie najwyższego napięcia, przewidywała wszystko najgorsze: raz się trwożyła o życie Jerzego, lękając się, by go Henryk nie zastrzelił w przystępie uniesienia, to znowu przypuszczała możliwość rozwodu z mężem, co znów, pomimo całej miłości, jaką darzyła

pięknego, jak Antinous, kochanka, a niechęci, jaką żywiła dla męża, wcale się jej nie uśmiechało... Pod wpływem tych obaw, które jej towarzyszyły i w czasie rannej kąpieli, i przy śniadaniu, i przy widzeniu się z dziećmi, i podczas wizyty fryzjerki, i przy ubieraniu się, powzięła raptowną decyzję, by nie dopuścić do tego spotkania się Henryka z Jerzym. W tym celu, nie tracąc chwili czasu — ponieważ dochodziła już dwunasta — włożyła pierwszy lepszy kapelusz, zarzuciła pierwsze lepsze okrycie, i nawet nie przejrzawszy się w lustrze, nic nie mówiąc nikomu, dokąd idzie, pospieszyła do kantoru męża. Że go zastanie jeszcze, nie wątpiła ani na moment: nigdy nie wychodził przed 12-tą, bo aż do tej godziny zawsze przyjmował interesantów.

Lecz spotkał ją zawód: Henryk — jak o tem dowiedziała się w kantorze — wyszedł przed pół godziną, nic nie powiedziawszy, o której wróci. Pani Zofia, której już, gdy spieszyła do kantoru, serce biło mocniej znacznie, niż zwykle, teraz, skoro ją poinformowano, że przyszła na próżno, stała bezradna i zakłopotana, nie wiedząc, co czynić, jak postąpić. W końcu nabrała przekonania, iż nic jej nie pozostaje, tylko wrócić do domu, i zdawszy wszystko nieuniknionemu przebiegowi konieczności, czekać cierpliwie na powrót męża... Cokolwiek

ma się stać, niech się stanie, skoro stać się musi!...
I łzy jej zabłysły w oczach...

Tymczasem Henryk, od chwili, gdy po wyjściu z kantoru znalazł się na ulicy, szedł jak na ścieżce. W ten sposób minął ulicę Czystą. Na Wierzbowej zaczął żałować, że się zaangażował wobec żony, że ją uprzedził o swym zamiarze rozprawienia się w cztery oczy z Jerzym, że wogóle wspominał o tem. Należało, nic nie mówiąc Zosi, pójść któregośkolwiek dnia do Sokolicza, rozmówić się z nim, a żonę powiadomić dopiero o ostatecznym rezultacie rozmowy całej. Żałował, że tak nie postąpił, co by było daleko rozsądniej, choćby dlatego tylko, że pozostawiało całą swobodę działania. A tak, mając unemożliwiony odwrót, był skępowany i zmuszony *dziś* całą sprawę postawić na ostrzu noża i rozstrzygnąć tak lub owak, *dziś*, kiedy właśnie czuł się nieusposobionym po tem, kiedyby całą sprawę wolał odłożyć do innego dnia, choćby do jutra. Powtórę, źle się stało, że zapomniał spytać żony, czy o jego dzisiejszej wizycie i jej celu uprzedziła Jerzego, czy też mu nic o tem wogóle nie napomknęła. Niepewność ta, jak każda niepewność, jeszcze bardziej podcinała jego energię i stanowczość. Przedewszystkiem nie wiedział, od czego zacząć rozmowę z Jerzym: bo nie ulegało wątpliwości, że inaczej po-

winien się zachować, jeżeli Sokolicz już jest uprzedzony o wszystkim, a inaczej, jeżeli rzecz ma się przeciwnie. W końcu jednak, po dość długich rozważaniach wszelkich *pro i contra*, utwierdził się w przeświadczeniu, że Zosia nie mogła nie powiedzieć Jerzemu o tej jego dzisiejszej wizycie, i przeświadczenie to, rzecz dziwna, w jeszcze wyższym stopniu podziało nań deprymująco.

Na to przygnębienie jego i brak pewności siebie nie pozostał bez ujemnego wpływu także i pogrzeb, spotkany na placu Teatralnym. Każdy człowiek, w chwilach wyjątkowego natężenia psychicznego, bywa przesądnym, więc i Henrykowi, na widok tego pogrzebu, powlekła się dusza czarniejszym jeszcze kirem. Nie mógł się opędzić jakiegomuś złowrogiego przeczuciu, które mu zdawało się szeptać do ucha, że ostatecznym rezultatem tej dzisiejszej wizyty u Jerzego może być śmierć... pogrzeb... I ogarnął go jakiś nerwowy lęk, nad którym panował z trudnością. Rozumiał, iż cała ta sprawa obróci się na jego niekorzyść, ba, na jego zgubę, że gotów z niej wyniknąć pojedynek, w którym z pewnością on będzie ciężko ranionym, albo nawet padnie na miejscu. Bo o ile po Jerzym mógł się spodziewać zimnej krwi podczas takiej śmiertelnej rozprawy, o tyle sam był zbyt nerwowym do sytuacji tego rodzaju. Na to zaś musiał

być z góry przygotowany, że Jerzy nie ustąpi dobrowolnie, że zainterpelowany w kwestyi tak drażliwej, potrafi z niej wyjść honorowo... A zresztą miał już podobno jakiś pojedynek o kobietę...

Zastanawiając się nad tem wszystkiem, pełen rozpaczliwych przywidzeń, Henryk znalazł się w końcu na placu Resursy kupieckiej, przed bramą domu, w którym na 3-ciem piętrze Sokolicz miał swe mieszkanie i pracownię. Nim wszedł na schody, zawahał się na chwilę, czy może nie zawrócić się póki czas, ale go powstrzymała od tego myśl, że jednak Sokolicz, uprzedzony wczoraj, może czekać na niego. Czeką niezawodnie... Wobec tego, nie mając innej drogi przed sobą, zaczął wchodzić na schody, odpoczywając na każdym piętrze, bo mu wskutek nadmierne go wzruszenia poprostu brakło oddechu. Wreszcie zatrzymał się przed drzwiami, na których widniała mosiężna tabliczka z nazwiskiem *Jerzego Sokolicza*. Już miał zadzwonić, gdy sobie przypomniał nagle, że jeszcze się nie zastanowił nad tem, od czego zacznie, co powie Jerzemu, w jaki sposób wyłuszczy mu swoje pretensye. I pragnął ułożyć sobie zawczasu jakiś plan rozmowy, ale był tak rozstrojony, w głowie czuł taką pustkę, taką ciemność, że mu nic nie nasuwało się na myśl. I stał tak, dręczony niepewnością, z dziesięć minut. Chwilami przychodził mu

pomysł, żeby, zamiast tej kłopotliwej rozmowy z Jerzym, poprostu napisać do niego i wyłuszczyć mu w liście wszystko, ale niebawem uznał podobny sposób przeprowadzenia sprawy za niewłaściwy... W końcu, choć wciąż jeszcze nie miał pojęcia, jak poprowadzi rozmowę z Jerzym, zadzwonił. Niech się dzieje, co chce!

Otworzył mu służący.

— Czy jest pan w domu?

— Pan wrócił dziś bardzo późno i jeszcze śpi.

— Jeszcze śpi? zapytał osłupiały ze zdziwienia Henryk, któremu w głowie pomieścić się nie mógł ten smaczny sen Jerzego w przeciwstawieniu do jego bezsennej nocy i obecnego roznerwowania.

— Ale jeżeli pan ma jakiś interes do mego pana, to mogę go obudzić, bo i tak już wybiła dwunasta.

— W takim razie proszę obudzić pana.

— Może pan zaczeka w pracowni, to pan mój, jak się tylko ubierze, zaraz przyjdzie. A jak mam zameldować?

Henryk oddał swój bilet wizytowy, poczem, zdjęwszy futro w przedpokoju, skąd jedne drzwi prowadziły do pracowni, drugie zaś do prywatnego mieszkania artysty, wszedł do *atelier*.

Nie był tu po raz pierwszy, ale nie był już

przynajmniej z rok, wszedłszy więc, zaczął się rozglądać dokoła, zwłaszcza, iż od ostatniej bytności swej tutaj spostrzegł nie mało zmian i innowacyi w urządzeniu. Pracownia ta, z wielkiem oknem od północy, zajmującem prawie całą ścianę, widna niezmiernie, a zatem pogodna i wesoła, robiła wrażenie ogromnego buduaru. Z podłogą zasłaną dywanami, z mnóstwem stylowych mebli, starych bronzów i porcelany, cacek i bibelotów, o ścianach obwieszonych makatami wschodniemi i kilimkami, a nawet pasami słuckiemi, z mnóstwem obrazów i rzeźb, szkiców i fotografii z dzieł sztuki, było to *atelier* w wielkim stylu, wymownie świadczące o niepospolitej kulturze artystycznej Jerzego, a więc musiało podobać się każdemu, kto się znał na tych rzeczach. To też i Henryk, choć w tej chwili wcale nie był usposobiony do podziwiania dzieł sztuki, nie bez zaciekawienia zatrzymywał się przed niektórymi malowidłami i sprzętami.

Z pomiędzy wielu pozaczynanych obrazów, zwrócił na siebie jego uwagę szczególnie jeden: szkic do portretu Zofii, szkic mistrzowski, malowany z niezwykłym polotem, a będący jakby apoteozą demonicznej piękności pani Henrykowej, jakby peanem na jej cześć. Szkic ten, namalowany w ciągu jednego seansu, był jakby przedwstępem studyum do wspaniałego portretu, który obecnie

zdobił gabinet Henryka. Szkicu tego Jerzy nie chciał sprzedać za żadną cenę, lecz zachował go dla siebie, utrzymując, że nic lepszego nie zrobił nigdy w życiu. Uważał go za swoje arcydzieło, stworzone w chwili natchnienia...

Stojąc przed tym szkicem, zachwycony nim, rozmyślał Henryk jednocześnie o swej obecnej sytuacji, w której, jak mu się zdawało, zaczynał oryentować się coraz bardziej. Przedewszystkiem miał najzupełniejszą pewność, że o tej jego wizycie Zofia nie uprzedziła Jerzego, że nie przygotowała go na nią. Widocznie uważała za właściwe nie mówić z nim o tem. Gdyby była postąpiła przeciwnie, Jerzy bezwarunkowo nie spałby tak długo... Przeświadczenie to, rzecz szczególna, przyniosło dziwną ulgę Henrykowi. Nie umiał powiedzieć, dlaczego, ale bądź co bądź miał uczucie, że mu niemały ciężar spadł z serca. I był prawie wdzięcznym żonie, że całą scenę, jaka się wczoraj w karecie rozegrała pomiędzy nimi, zataiła przed Jerzym. I podziwiał jej roztropność...

Wtem wszedł służący Jerzego, oświadczając, iż pan już wstaje, że za kilka minut będzie służył. Tymczasem prosi o chwilę cierpliwości.

— Poleca też panu dobrodziejowi papierosy, które są tu na komodzie.

Henryk skorzystał z propozycji, zapalił papie-

rosa, zaciągnął się raz i drugi, a po wyjściu służącego, gdy znów został sam w pracowni, siadł na wygodnej otomanie naprzeciw szkicu do portretu Zosi, i przypatrując mu się z lubością, znów zaczął zastanawiać się nad tem, co powie Jerzemu, gdy ten za chwilę stanie przed nim.

W duszy jego rozgrywała się bolesna walka. Bo coraz bardziej tracił trzeźwość sądu, nie wiedząc, jak wyjść z tego labiryntu, w którym się znalazł z własnej nieprzymuszonej woli. Doznawał uczucia, jakby się złapał w potrzask, który przeznaczył dla kogo innego... Kto wie bowiem, czyby nie było najrozsądniej, iżby wszystko na razle zostawić w zawieszeniu.

Tymczasem z obecnej sytuacji bodaj że nie było wyjścia, bo skoro tu już przyszedł, musiał rozmówić się z Jerzym, choć, nic na tem zyskać nie mogąc, stracić mógł wszystko!

Tak rozmyślając, omal nie bliski rozpacz, że się opamiętał tak późno, zapalił nowego papierosa — co go zawsze cokolwiek uspokajało nerwowo — i stanąwszy przed portretem żony, rzekłbyś, że z jej wymownych oczu starał się wyczytać radę, jak się ma zachować za chwilę, w jaki sposób zapobiedz złemu.

Bo niezależnie od wszystkich wad charakteru Zofii, choć musiał przyznać z bólem serca, że z jej

powodu bardzo często czuł się ogromnie nieszczęśliwym, to przecież jednemu zaprzeczyć nie mógł, iż pomimo wszystkiego kochał ją do szaleństwa, że opętany jej urokiem, im więcej cierpiał, tem namiętniej kochał, że ani szczęścia, ani życia nie rozumiał bez niej, bez jej pieśszczot, któremi się upajał na jej łonie, a które mu dawały najwyższą sumę rozkoszy, jaka jest do osiągnięcia na ziemi. To też patrząc na portret, tak żywo odtwarzający jej piękność, jej czar, jej wdzięk, jej poezję, jej demoniczność, jej zmysłowy powab, kiedy pomyślał, iż ta łabędzioszyja Afrodyta, będąca jakby wcieleniem ponęt niewieścich, jest jego żoną, jego kobietą, jego kochanką, że te boskie ramiona, ile razy chciał, zaplatały mu się nad szyją, iż te alabastrowe kształty on okrywał gorącymi pocałunkami, że on spijał słodycz tych cudnych ust, że on wcałowywał się w te ogniste oczy, w te brwi zrośnięte, w te włosy o złotawym połysku; kiedy pomyślał, że on jeden posiadał ją, ile razy jej zapragnął, i kiedy się zastanowił, że na to znajdował się tutaj, by to wszystko utracić, nie mógł odżałować, iż nie zawrócił się ode drzwi. Teraz było już na taki odwrót za późno...

Tymczasem urok, bijący z portretu żony, coraz silniej działał na niego, coraz bardziej podniecał jego wyobraźnię, coraz gorętszy żar wlewał

mu w żyły. I zapatrzony w ten wizerunek Zofii, który go wprost hipnotyzował, nie mógł zapomnieć wrażenia, jakie na nim uczyniła wczoraj, gdy ją ujrzał w toalecie balowej. Przypomniat sobie, jak musiał panować nad sobą, by jej nie okazać swego zachwyty. A to samo powtórzyło się, gdy wracali z rautu. Sledził przy niej, nie mówiąc ani słowa, zaledwie racząc odpowiadać na jej pytania, a miał ochotę objąć ją wpół, wpić się w jej wiśniowe usta, zapamiętać się w pocałunkach. A jednak, pomimo szalonej pokusy, pomimo, iż trawiony żądzą, prawie odchodził od przytomności, siedział milczący i zimny napozór, rzekomo zagniewany, a w rzeczywistości wijący się z bólu, o jaki go przyprawiła ta ukrywana miłość, miłość, jak huragan hucząca w głębi duszy, siłą woli trzymana na wodzy, zrywająca wędzidła, a jednak opanowana i nie wybuchająca. Ten fizyczny urok, jaki na Henryku wywierała jego żona, sprawiał, że i teraz, na chwilę przed wejściem Jerzego, był gotów przebaczyć mu wszystko, zapomnieć o wszystkim, byle tylko nie narażać swych praw i przywilejów męża, byle tylko nie mącić swego pożycia z tą kobietą, która — cokolwiek miał jej do zarzucenia — była jego jedynem ukochaniem, jego jedyną namiętnością i żądzą, jego jedyną potrzebą i chęcią życia. Bez niej żyćby nie mógł, bez niej

nie miał celu w życiu; poza nią nic go nie nęciło, poza nią nie widział świata.

Gdy tak tonął w myślach o swej fatalnej miłości, otwarły się nagle drzwi z przedpokoju i wszedł Jerzy. O ile Henryk, ujrawszy go, pobladł na jego widok, o tyle on, choć dobrze był powiadomiony o celu wizyty Henryka, wszedł już z gotowym planem strategicznym. Plan ten był bardzo prosty: udawać absolutną nieznajomość sytuacji, nic o całej sprawie nie wspominać wpierw, dopóki Henryk o niej mówić nie zacznie; aż do tej chwili prowadzić zwykłą towarzyską rozmowę, nadrabiać miną, być swobodnym, uprzejmym, świetnym; a przytem o ile możliwości samemu mówić jak najmniej, dając wygadać się Henrykowi. Plan ten ułożył sobie w ostatniej chwili, bo wróciwszy o 5-ej do domu, zmęczony po dość uciążliwym dniu poprzednim, istotnie spał snem kamiennym. Zapowiedziane mu przez Zofię odwiedziny Henryka, lubo ich cel był dość niepokojący, nie przestraszały go. Najprzód był odważnym z natury, a powtórnie nie pierwszy raz znajdował się w podobnej sytuacji... Był otrzaskany z takimi położeniami bez wyjścia, których następstwem mógł być co najwyżej pojedynek.

To też, gdy zbliżył się do Henryka, przede wszystkim powitał go serdecznie, a uczynił to tem

skwapliwiej, że nie mógł ręczyć z góry, czy Henryk poda mu rękę. Skoro spostrzegł jednak, że ku jego powitalnej prawicy Henryk spieszy z podaniem swojej, odrazu przybrał ton wesoły, poufny i przyjacielski.

— Proszę mi wybaczyć, żem panu tak długo dał czekać na siebie, ale skoro się wróciło, jak ja, o 5-ej rano do domu, trudno zerwać się o zwykłej porze. Cóż dopiero, gdy się wróci z rautu, i to tak piekielnie nudnego, jak wczorajszy. Już to wogóle nie znam nic bezmyślniejszego, jak życie towarzyskie warszawskie, oparte przeważnie na próżności i nieszczerości. Wszyscy sobie zadają przymus, zarówno ci, co zapraszają, jak i ci, których się zaprasza. Wszyscy naprawdę nie lubią się wzajemnie, jedni obgadują drugich. Co pewna, że jest to strata czasu i sposób zabijania go nudniejszy od wielu innych. Jeszcze pan, który grasz w winta, posiadasz rodzaj antidotu na te zabijające nudy, ale dla mnie np., który jestem analfabetem na punkcie kart, taki raut, jak wczorajszy, to prawdziwa męczarnia. Trzeba rozmawiać z damami, którym niema się nic do powiedzenia, czyli, że trzeba się wysilać na prowadzenie najbanalniejszej rozmowy o teatrze, o Battistinim, o Anzelmim, o Bellincioni.

— W każdym razie pan możesz rozmawiać jeszcze i o sztuce.

— Ach, panie, o sztuce, której się służy, a zatem, którą się kocha, niepodobna rozmawiać z naszymi kobietami światowemi. Tak się znają na tem, jak ja na chińskiej gramatyce. Pojęcia nie mają o co chodzi, ale im to nie przeszkadza wypowiadać bezwzględne sądy na temat secesyi, impresjonizmu etc. Mówią o tem, jak ślepy o kolorach; to też zaprzysięgłem sobie, by z kobietami, to jest z naszymi warszawskimi paniami, rozmawiać o wszystkim, tylko nie o sztuce. Poco się irytować niepotrzebnie.

— Z tego widzę, że na wczorajszym raucie bawiłeś się pan nieszczególnie, zagadnął Henryk, ciekawy, jaką usłyszysz odpowiedź.

Jerzy atoli, domyślając się, że go Henryk pragnie wyciągnąć na słówko, odrzekł z całą swobodą, jak człowiek, który sobie niema nic do wyrzucenia.

— Co tu ukrywać. Przy kolacyi, do której miałem zaszczyt towarzyszyć pańskiej małżonce, czas mi upływał bardzo przyjemnie, nie wiem tylko, czy i druga strona bawiła się równie dobrze. Poza tem, zarówno przed kolacją, jak i po kolacyi, nudziłem się jak mops.

Henryk, słysząc, co Jerzy mówił o jego żonie,

zbladł w tejże chwili, ale usiłując zapanować nad sobą, rzekł niby od niechcenia:

— Wobec tego należało zaraz po kolacyi pójść do domu, tak mniej więcej, jakeśmy to my uczynili.

— Gdyby to zależało ode mnie wyłącznie, chętniebym się wycofał po angielsku. Ale nie wypadało mi tego uczynić, albowiem — proszę mi wybaczyć tę otwartość — właśnie na parę dni przed tym rautem otrzymałem od łaskawych gospodarstwa zamówienie na dwa ich portrety. To stało się też powodem, że mię zaproszono na ten raut. Wogóle byłem u państwa S. po raz pierwszy, tak dalece, że dopiero na dzień przed rautem, rzuciłem im bilety. Przedtem nie bywałem u nich nigdy. Zdaje się, że na raut ten zaproszono mię dlatego głównie, ponieważ mam portret pani domu malować w tualecie balowej. Obecność na tym wieczorze dała mi możność studyowania i obserwowania jej ruchów. Jakoż nie omieszkałem tego uczynić. W takich warunkach pojmuje pan, że interes nie pozwalał mi wymknąć się przed końcem zabawy. Jakoż wytrzymałem na stanowisku i należałem do ostatnich, co się pożegnali z gospodarstwem. Sam raut zresztą był świetny, a monologi Frenkła rzeczywiście nie mało dodały mu urozmaïcenia. Ale może papierosa...

— Dziękuję panu, już wypaliłem dwa.

— *Omne trinum perfectum.*

Przekonany tym argumentem, Henryk dał się namówić na trzeciego papierosa, a zapalając go, bił się z myślami, jak przejść do właściwego celu swych odwiedzin, jak sobie postąpić, od czego zacząć. Nie mając żadnego pomysłu w tej kwestyi, na razie starał się podtrzymać rozmowę, poruszając najrozmaitsze tematy, nic nie mające wspólnego z jego dzisiejszą bytnością u Jerzego, a tymczasem myślał o czem innem, nierównie ważniejszym.

Wychodząc z założenia, że Jerzy nic nie wie o celu tej jego wizyty, wpadł na całkiem niespodziewany pomysł, ażeby swe odwiedziny upozorować czem innem, uznał bowiem, że najlepiej, t. j. najrozsądniej uczyni, skoro się wycofa ze szranków. Żałował, że do tego zbawiennego wniosku doszedł tak późno, że mu ten dyplomatyczny środek wcześniej nie przyszedł do głowy, ale uważał jednocześnie, że nic nie jest stracone, skoro jeszcze nie wyszedł z kolorem. Jeszcze atut miał w ręku!...

Jakoż rozmawiając o wszystkim, tylko nie o tem, czem myśl miał zajętą, a więc o pogodzie, o literaturze, o malarstwie portretowem, o pięknym widoku z okna tej pracowni, o szkicu do portretu Zofii, do którego z czasem wypadnie pomyśleć o *pendant*, to jest o jego portrecie, starał się wy-

naleść jakiś zręczny i niewinny pretekst, któryby dostatecznie usprawiedliwiał jego obecną wizytę.

W końcu, po upływie przynajmniej 20 minut, gdy już i Jerzemu ten zbyt długi wstęp do właściwego przedmiotu rozmowy zaczynał się wydawać dziwnym, zwrócił się doń z następującemi słowy:

— No, ale zasiedziałem się u pana, a tu tymczasem zbliża się pora posiłku. *A propos* posiłku... W niedzielę o 7-ej wieczorem będzie u nas z okazji małej uroczystości rodzinnej kilkanaście osób na obiedzie, podczas którego żona moja hardzoby pragnęła widzieć przy stole także i pana.

— O, panie! przerwał Jerzy, wprost usłupiały.

— W miłej nadziei, ciągnął dalej z wersalską uprzejmością Henryk, że nas przyjemność ta nie ominie, że szanowny mistrz to zebranie nasze obecnością swą łaskawie zaszczycić i uświetnić zechce...

— O, panie! przerwał mu znowu Jerzy, ścisnąc go serdecznie za rękę.

— Żegnam pana obecnie i raz jeszcze dziękuję za obietnicę. Będzie nam bardzo przyjemnie: Do miłego zobaczenia zatem, w niedzielę o 7-ej.

— Serdecznie dziękuję za łaskawe zaproszenie, oraz za tę chwilę miłej pogawędki. Proszę ucałować rączki pani.

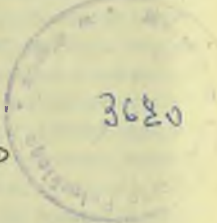
.
* * *

Po wyjściu Henryka, którego wyprowadził aż na schody, Jerzy, wróciwszy do pracowni, przetarł oczy, jakby się chciał przekonać, czy nie śni przypadkiem... Gdy sobie przypominał, że Henryk mówił między innemi o swym portrecie, któryby on malował, jako *pendant* do portretu Zofii, nie brakło wiele, a parsknąłby śmiechem. Swoją drogą, gdy sobie zdał sprawę z sytuacji, zrozumiał, co się musiało dziać w duszy Henryka, zanim taki nieprzewidziany obrót nadał całemu zajściu, zanim powziął zamiar nawet małego ośmieszenia się... dla świętego spokoju! Z kolei nasunęła mu się poważna wątpliwość, czy wobec wszystkiego, co zaszło w ciągu tych ostatnich 12-tu godzin, godzi się korzystać z zaproszenia Henryka, czy też, idąc za głosem sumienia i wspaniałomyślności dla pokonanego rywala, pod jakimkolwiek pretekstem wymówić się z tego obiadu? I nie znajdował dwóch odpowiedzi na tak postawione pytanie. Jakóż najgłębiej był przekonany, że nie powinien uczestniczyć w tym obiedzie. Takby postąpił każdy *gentleman*. To też, jako *gentleman*, postanowił inaczej wieczorem tym rozporządzić... Poprostu pragnął oszczędzić tego upokorzenia Henrykowi, któremu współczuł serdecznie. A zresztą miał wyrzuty wobec niego...

Lecz stało się inaczej, a stało się za sprawą

pani Zofii, która jeszcze tego samego dnia znalazła się w mieszkaniu Jerzego, uradowana, szczęśliwa, wesoła i rozpromieniona. Przyszła między innemi i w tym celu, żeby pokazać Jerzemu śliczny pierścionek brylantowy, który jej Henryk, wracając od Jerzego, kupił «na przeprosiny». Jakkż przebaczyła mu wspaniałomyślnie.

W niedzielę odbył się zapowiedziany obiad u państwa Henrykowstwa, Jerzy zaś, niezależnie od wszystkich skrupułów, jakie miał względem gospodarza, nie tylko, że był na tym obiedzie, ale przy stole siedział na honorowem miejscu, obok pani domu.



SPIS RZECZY.

	Str.
Monte Carlo	1
W Montmorency, sielanka z życia jenerała Kniaziewicza (1834)	57
Śmierć Juliusza de Goncourt	103
Z wrażeń paryskich	167
Przed obiadem	205



